

W s p o m n i e n i a .

Nazywam się Stanisław Antoni Szuwart. Jestem Polakiem, chociaż nie wszyscy moi przodkowie byli Polakami.

Moją matką była Maria Szuwart, primo voto Woś, z domu Pogonowska. Jej ojciec, a mój dziadek - Michał Pogonowski - był kowalem i stolarzem, wywodził się z zakorzenionego w czasach średniowiecznych starego rodu Pogonowskich, pieczętującego się herbem "Ogończyk". Dzieje tego rodu są opisane w monografii p.t. "Pogonowscy z Pogonowa", wydanej we Lwowie w roku 1928. Dziadek często brał mnie, wówczas 4-5-letniego chłopca, na kolana i czytał mi dzieje naszego rodu. Stąd wiem, że ojcem mego dziadka, a moim pradziadkiem był urodzony w 1822 roku Stanisław, który za udział w Powstaniu Styczniowym w 1863 roku był zesłany na Sybir, ale udało mu się stamtąd zbiec, po czym, kryjąc się przed rosyjskimi władzami carskimi musiał opuścić swe dobra rodzinne w zaborze rosyjskim i osiedlił się w tzw. Galicji pod zaborem ranyjsz austriackim. Ojcem Stanisława był urodzony w roku 1776 Jakub, ten zaś był synem urodzonego w roku 1746 Macieja. Ojcem Macieja był urodzony w roku 1700 burgrabia Łukowski Tomasz Pogonowski. Protoplastą tej gałęzi rodu był Kasper Ogończyk z Pogonowa, urodzony w roku 1410, a protoplastą całego rodu Pogonowskich był Ogen Piotr vel Piotr z Radzikowa, którego data urodzenia ginie w pomroce dziejów średniowiecza.

U schyłku XIX wieku mój dziadek Michał osiedlił się w Kutach i tu założył swoją rodzinę, żeniąc się z Antoniną Ott, córką Niemca Feliksa Otta i Ormianki Katarzyny z Janowiczów. Michał i Antonina Pogonowscy mieli i dobrze wychowali czwórkę dzieci: córkę Katarzynę - zamordowaną w bestialski sposób w roku 1944 przez ukraińskich banderowców, syna Stanisława urodzonego w roku 1891, chorążego Wojska Polskiego - zamordowanego przez NKWD w 1940 roku w Katyniu, syna Jana, który podczas wojny z bolszewikami w roku 1920 dostał się do niewoli sowieckiej i wrócił z tej niewoli dopiero pod koniec lat dwudziestych, z odbitymi nerkami i płucami, nigdy już nie podniósł się z łóżka i zmarł w roku 1933, w wyniku niemożliwych do wyleczenia doznanych w niewoli tortur. Najmłodszym dzieckiem moich dziadka i babki była córka Maria - moja matka, urodzona w roku 1905.

✓ Mój ojciec Jan Szuwart urodził się w roku 1900 w Niebieszczanach koło Sanoka. Jego rodzicami byli Józef Szuwart, wywodzący się prawdopodobnie z rodu węgierskiego i Maria z Adamowskich, Polka. Była to rodzina rolnicza, gospodarująca na niewielkim skrawku ziemi, raczej biedna. Mój ojciec miał dwóch braci: starszego od siebie Stanisława i młodszego Pawła.

W latach 1919-1920 mój ojciec jako ułan walczył w wojnie z bolszewikami. Brał udział w zdobyciu Kijowa, a podczas odwrotu spod Kijowa przy forsowaniu Dniepru zabito pod nim konia, ojciec jednak nie zginął, bo był świetnym pływakiem i o własnych siłach dotarł do brzegu. Potem dostał się do niewoli sowieckiej, ale był w niej tylko jeden dzień, bo konwojujący polskich jeńców patrol sowiecki natknął się na karczmę i spił się do cna, w międzyczasie gwałcąc wszystkie córki i żonę Żyda - karczmarza, a następnie okrutnie ich uśmiercając. Widząc to, trzeźwi jeńcy Polacy wykorzystali szansę i wytkukli pijanych sowieckich konwojentów, po czym udało się im przez linię frontu znów dołączyć do swoich.

Po roku 1920 mój ojciec w randze plutonowego otrzymał propozycję służby w Policji Państwowej, a gdy w roku 1927 dostał skierowanie do posterunku PP w Kutach, poznał tu Marię Pogonowską primo voto Woś i w roku 1928 ożenił się z nią.

Różni więc byli moi przodkowie i jak wynika z tego, co napisałem powyżej, w moich żyłach płynie krew polska, ormiańska, węgierska i niemiecka co najmniej. Krew płynie różna, ale jej krążenie zapewnia polskie serce. Polskie, nie inne.

Urodziłem się w Kutach 11 października 1930 roku, w domu nad potokiem bez nazwy. W latach 1928-1932 moi rodzice wynajmowali w tym domu u Rusinów Kudkużyków mieszkanie, a córka Kudkużyków Hania została na kilka lat moją piastunką.

W latach 1933-1935 mieszkaliśmy w Starych Kutach, w domu wynajętym u Ukrainki, której nazwiska nie pamiętam /Kasiuk?/. Było to porządne obejście, składające się z dwóch budynków mieszkalnych - większego, który nam wynajęto i mniejszego, w którym mieszkała nasza gospodyni wdowa z synami Jaciem i Kociem /Jakubem i Mikołajem/, oraz z zabudowań gospodarczych. Starszy Jacio był już dorosłym chłopakiem, w zasadzie pełnił rolę gospodarza. W roku chyba 1934 był powołany do służby w Wojsku Polskim, na przepustki i urlopy przyjeżdżał w pięknym mundurze ułańskim, z szablą u boku i z ostrogami przy butach z cholewami, z czego

był szczególnie dumny. Młodszy syn wdowy, Kocio, wtedy około 15-16 lat i nieustannie zaczytywał się w literaturze komunistycznej, poza nią prawie nic go nie interesowało. Kilkakrotnie podejmował Kocio nieudane próby ucieczki do Związku Radzieckiego, by znaleźć się w wymarzonym, a znanym mu tylko z literatury kraju wszelkiej pomyślności. Kilka razy Kocio był zatrzymywany na granicy przez polskich żołnierzy z Korpusu Ochrony Pogranicza i przywożony do matki z prośbą, by go lepiej pilnowała. Kolejna ucieczka chyba się jednak Kociowi udała, bo znikł z domu i więcej się już nie pojawił. Zrozpaczona wdowa aż do roku 1939 nie mogła u nikogo niezgo się dowiedzieć o losie swego syna. A kiedy we wrześniu 1939 roku do Kut wkroczyła Armia Czerwona, wdowa znów rozpoczęła dopytywać o Kocia, tym razem u władz sowieckich, w NKWD. W początkach 1940 roku otrzymała wiadomość, że jej syn został skazany jako polski szpieg na 10 lat więzienia i właśnie odbywa orzeczoną karę. Nie wiem, czy Kocio wrócił kiedykolwiek do matki, od 13 kwietnia 1940 roku mnie już w Kutach nie było.

Wróćmy jednak do mojej rodziny i do czasów międzywojennych, do lat 1918-1939.

Miasteczko Kut, stanowiące w zasadzie organiczną całość z wioską Stare Kut, położone jest na Podkarpaciu /Pokucie/ nad piękną górską rzeką Czeremoszem. Część miasta leży w dolinie nad Czeremoszem, rynek i główna część miasta z kościołami, szkołami, sklepami i różnymi instytucjami zbudowano na wyżynie, a zabudowa północnej części miasta i wsi Stare Kut rozciąga się coraz wyżej ku górom Podkarpacia, aż do podnóża najwyższego w tej okolicy szczytu, zwanego Owidiuszem. Kryształowa czystość powietrza i wód Czeremoszu, łagodny klimat, obfitość zieleni i licznych sadów owocowych oraz bliskość gór i lasów sprawiały, że okolice Kut i samo miasto przybierały w okresie międzywojennym coraz bardziej charakter miejsc wypoczynkowych i letniskowych. W okolicach Kut organizowano liczne obozy i biwaki dla młodzieży i działwy spod znaków harcerstwa i "Sokoła", do Kut przyjeżdżało coraz więcej turystów indywidualnych, zwanych wówczas letnikami.

Stałymi mieszkańcami Kut byli ludzie różnych narodowości, przede wszystkim Polacy, Rusini, Ukraińcy, Ormianie, Żydzi i Niemcy. Nie wiem, jaka była w tym okresie liczba stałych mieszkańców Kut. Przypuszczam, że około 6-7 tysięcy. Leksykon PWN z 1972 roku podaje, że wg danych z 1959 roku Kut liczą 3200 mieszkańców. Trzeba jednak pamiętać, że w latach 1939-1945

wielu mieszkańców Kut zginęło podczas działań wojennych, wielu młodych Polaków zbiegło przez "zieloną granicę" do Polskich Sił Zbrojnych na zachodzie, niemałą ilość deportowano na Syberię, Żydzi ulegli eksterminacji podczas okupacji hitlerowskiej, znaczna część ludności polskiej i ormiańskiej została wymordowana w roku 1944 przez zbirów banderowskich, a pozostali przy życiu Polacy i Ormianie prawie w całości repatriowali się po roku 1945 do Polski.

Przemysłu w okresie międzywojennym w Kutach prawie nie było. Były dwa młyny i dwa tartaki nad Czeremoszem, mała elektrownia, zajmowano się spławem drewna z gór, meblarstwem. Kwitło natomiast rękodzieło i rzemiosło, oraz handel. Najczęściej zajmowano się garncarstwem, hafciarstwem, koszykarstwem, wyrobem kilimów, stolarstwem. Większość utrzymywała się jednak z rolnictwa, hodowli bydła, warzywnictwa i sadownictwa. Kuty i okolice były prawdziwym zagłębiem owocowym - uprawiano tu winnice oraz sady owocujące wspaniałymi orzechami włoskimi, jabłkami, śliwami, gruszkami i innymi wspaniałymi owocami, jak morele i brzoskwinie. Działały liczne suszarnie owoców, a po susz i po świeże owoce zjeżdżali do Kut kupcy z różnych, odległych nawet stron Kraju. Były też Kuty miastem kwiatów - w przydomowych ogródkach, starannie pielęgnowanych, rosły cudowne róże, malwy, dalie, lewkonie, maciejki i mnóstwo innego kwiecica, a prawie wszystkie werandy i balkony obsadzone były pięknymi pelargoniami.

Najbardziej uroczysto świętowano w Kutach Boże Narodzenie i Wielkanoc, zarówno w obrządku katolickim jak i grekokatolickim czy prawosławnym, katolicki odpust w dzień Świętego Antoniego oraz święta Państwowe w dniach 3 Maja i 11 Listopada. Uroczystości obchodzono też żydowskie "kuczki".

W takim więc miejscu i otoczeniu żyli mój dziadek Michał i babka Antonina Pogonowscy ze swą rodziną. Była to rodzina patriarchalna, stateczna, spokojna i bogobojna. Dziadek Michał był mistrzem w dwóch zawodach: kowalskim i stolarsko-kołodziejskim. W kowalstwie potrafił nie tylko konia podkuć czy wykuć lemiesz, wykuwał też miecze jak prawdziwe, ozdobne lichtarze, zmysłne ogrodzenia zamożnych posiadłości i inne kowalskie precjoza. W stolarstwie też był wielkim mistrzem, a jego koronnym dziełem w tym rzemiośle był wystrój wnętrza zbudowanego w Kutach tuż po odzyskaniu niepodległości Domu "Sokoła". Prawdziwym cackiem był wyrzeźbiony w drewnie w tym Domu balkon - wspólne dzieło dziadka Michała i jego syna Jana.

Moja babka Antonina była urodzoną ogrodniczką i sadowniczką. Miała trzy duże sady: jeden stary, pięknie owocujący i przynoszący niemałe dochody ze zbiorów olbrzymich orzechów włoskich, wspaniałych złotych i szarych renet, kilku odmian słodkich soczystych grusz, śliw węgerek i renklod, a także moreli i brzoskwiń. Drugi sad był znacznie młodszy, w okresie mego dzieciństwa zaczynał dopiero owocować. Trzecim sadem była szkółka owocowa, w której babka osobiście eksperymentowała nad nowymi odmianami drzew, sama je szczepiła, okulizowała i sprzedawała wyhodowane przez siebie sadzonki, z niemałym zresztą zyskiem. Wokół domu rosły, uprawiane przez babkę, liczne krzewy różnych odmian mirtów.

W przydomowej stajni porykiwały dwie bardzo mleczne krowy, a miejscowy lekarz kupował mleko tylko u babki. Obok, w sąsiedztwie krów, stale hodowano 2-3 świnki. Po podwórku biegało mnóstwo kur z zadziernym kogutem na czele, dostojnie kręciło się i gulgotało stadko indyków. Domowa spiżarnia zawsze była pełna znakomitych wędlin i przetworów owocowo-warzywnych własnego wyrobu, a w niedużej piwniczce stały rzędem gliniane gary pełne świeżego i zsiadłego mleka oraz gąsiory z różnymi winami, również domowego wyrobu.

Pogonowscy mieszkali w niedużym parterowym domku o dwóch pokojach i jednej kuchni, z sianką i małym gankiem. Umeblowanie domu nie było wykwintne, ale ładne i solidne. Na honorowym miejscu w jednym pokoju wisiało duże zdjęcie cesarsko-królewskiej rodziny austriackiej z Franciszkiem Józefem I pośrodku, w drugim pokoju wisiał duży, własnoręcznie wyhaftowany przez moją ciocię Katarzynę i jej córkę Helenę portret Marszałka Piłsudskiego. Do budynku mieszkalnego przylegały w jednym rzędzie, kolejno: obora, kuźnia i stolarnia. Całego obejścia pilnowały: średniej wielkości łagodny pies łańcuchowy Rigo, niezwykle zjadliwy miniaturowy piesek pokojowy Dwidzius i dwa leniwe, spasiose koty.

Dziadek Michał mówił tylko po polsku i rozumiał język ukraiński - "ruski", jak wtedy mawiano.

Babka Antonina była poliglotką: równie biegle jak polskim władała językami ormiańskim, niemieckim, ukraińskim i żydowskim. Języka polskiego używała w domu, rozmawiając z mężem, dziećmi i wnukami. Po ormiańsku rozmawiała z koleżankami Ormiankami i na zakupach w sklepach ormiańskich, języka

niemieckiego i żydewskiego używała przeważnie w prowadzonych przez siebie interesach handlowych, a po ukraińsku rozmawiała z sąsiadami Ukraincami, a także kłóciła się i kłęła.

Antonina i Michał Pogonowscy całej czwórce swoich dzieci zapewnili pełne podstawowe wykształcenie, co w początkach XX wieku było wielkim poświęceniem ze strony rodziców i równocześnie sukcesem. Ich syn Stanisław został chorążym WP, przedwcześnie zmarły syn Jan był znakomitym stolarzem meblowym, a obie córki - Katarzyna i moja matka Maria zostały dobrze wydane za mąż i hojnie wyposażone. Dla obu swych córek Pogonowscy wybudowali w posagu piękne nowe domy, z założonymi przy nich sadami /sadzonymi z babcinej szkółki/. Dom, zbudowany w latach 1934-1935 dla mojej mamy, kosztował Pogonowskich 19 tysięcy złotych, sad założony przy tym domu liczył 72 drzewa. Pierwsze i ostatnie owoce z tych drzew zebraliśmy w roku 1939...

Pisząc te słowa w roku 1990, opisując po upływie ponad 50 lat to przedwojenne życie sielskie-anielskie, będąc człowiekiem pracującym i zaganianym ponad miarę, któremu ciągle brakowało i brakuje czasu na realizację wszystkich zamiarów, wciąż jestem pełen podziwu dla pracowitej i harmonijnej rodziny Pogonowskich. Babce i dziadkowi starczało czasu na wszystko, pracowali bez pośpiechu, spokojnie, ale skutecznie. Nigdy też nie brakło im czasu dla mnie, opiekowali się mną prawie codziennie, a ja czułem się bezpiecznie na kolanach babki lub dziadka, spokojnie zasypiając w trakcie słuchania opowiadanych mi sag rodzinnych lub bajek...

I jeszcze jedno wspomnienie. Teraz, w dobie nasilającego się w Polsce alkoholizmu, z rozrzewnieniem wspominam te czasy, gdy alkohol służył w polskich rodzinach prawie wyłącznie celom leczniczym. W domu Pogonowskich były sporządzane i przechowywane nalewki spirytusowe na kwiatach lilii, na orzechach i inne, ale używane były, w minimalnej ilości, tylko w razie potrzeby wyleczenia domowym sposobem jakiejś dolegliwości.

Uroczyste natomiast przyjęcia, rodzinne i dla znajomych, odbywały się bardzo często, latem prawie w każdą niedzielę. Urządzano je przeważnie w sadzie, na stołach pokrytych śnieżno białymi obrusami, do stołu podawano dość dużo dobrego jądka, misterne kanapeczki, różne przeważnie kruche ciasteczka nadziewane owocami lub płatkami róż, dostojnie i z umiarem pito wina domowe, herbatę i wodę sodową z sokami własnej roboty. Przy

biesiadach toczono wesołe rozmowy, załatwiano interesy, śpiewano, często przygrywał ktoś na gitarze lub na skrzypcach.

O rodzinie mego ojca niewiele mogę napisać. W dzieciństwie tylko raz byłem w Niebieszczanach, w sierpniu 1939 roku, tuż przed wybuchem wojny. Ledwo zdążyliśmy z mamą powrócić do domu przed rozpoczęciem napaści hitlerowskiej. Dziadka Józefa nie było już wtedy wśród żywych, a babka Maria z synami i synową byli wtedy bardzo zajęci żniwami. Swoje ostatnie przedwojenne wakacje spędzałem więc na zabawach z kuzynem i z kuzynkami, panowała ładna pogoda i było wesoło. Żywieni byliśmy nieźle, przeważnie króliczym lub kurzym mięsem, dużo jajek na surowo tam wypiliśmy, jedliśmy też rybki łowione na zawołanie w miejscowym strumyku. Pozostało mi w pamięci, że rodzina Szuwartów z Niebieszczan była również rodziną pracowitą, bogobojną i szanowaną przez sąsiadów, chociaż o wiele biedniejszą niż rodzina Pogonowskich z Kut. W Niebieszczanach byłem tylko z mamą, ojciec nie mógł z nami pojechać, bo wszędzie już mówiono o możliwości wybuchu wojny i policjantom wstrzymano urlopy.

Wróćmy jednak o parę lat wstecz. W roku 1934 rozpoczęto budowę naszego domu, którą ukończono w roku 1935. W tym samym roku zamieszkaliśmy w nowym domu, wyprowadzając się z domu wynajmowanego u wdowy-Ukraińki. Nasz dom zbudowano na terenie Starych Kut, gdzie za sąsiadów mieliśmy samych Ukraińców /Kardaszczuków, Szpyntiuków, Kasiuków i innych, których nazwisk nie pamiętam/. W naszym nowym domu były cztery duże pokoje, dwie kuchnie, przedpokój i duży, pięknie rzeźbiony w drewnie ganek. Dom miał dwa wejścia - frontowe i "kuchenne", dach pokryte ocynkowaną blachą. W tym czasie był to najpiękniejszy dom w Starych Kutach. Przed głównym wejściem rozpościerał się duży trawnik, okolony podkową wielkokwiatowych i wielobarwnych róż, sprawdzonych przez moją mamę od słynnego przed wojną poznańskiego hodowcy róż pana Hozakowskiego. Mama prenumerowała też wydawane przez niego pismo i wg zawartych w nim porad starannie swe róże pielęgnowała. Nasz dom wzniesiono na wzmocnionych fundamentach, by móc w przyszłości dobudować jeszcze jedną kondygnację z przeznaczeniem dla mnie, gdy dorosnę i założę własną rodzinę... Obok domu wzniesiono budynek gospodarczy ze stajenką dla kozy, bo lekarz zalecił mi picie koziego mleka, z dREWUTNIĄ - bo w Kutach palono w piecach drewnem, przeważnie bukowym lub dębowym, oraz z piwnicą dla przechowywania przetworów żywnościowych.

Za budynkiem gospodarczym był duży sad, rosły w nim 72 drzewa owocowe, pochodzące ze szkółki babki Antoniny. Ten sad pielęgnowała osobiście moja mama, wg wskazań jej mamy.

Cała nasza posesja była ogrodzona dość wysokim i ładnym drewnianym parkanem, a pilnowały jej dwa duże psy: wilczur Reks i buldog Żulik. Mieliliśmy też dwa koty - zwykłego szaroburego i czarnego angorę, ponadto dwa kanarki i wspomnianą wyżej kozę.

Zakup gruntu pod budowę, wzniesienie budynków, umeblowanie domu meblami robionymi na zamówienie, zakup kozy, róż i inne wydatki kosztowały moich rodziców ponad 22 tysiące złotych, z czego 19 tysięcy mama dostała w posagu od swoich rodziców Pogonowskich - przypomnijmy: od ojca Michała, kowala i stolarza w jednej osobie i matki Antoniny, sadowniczki, którzy dorobili się w ciągu jednego życia pracą własnych rąk, nigdy nie zatrudniali żadnych sił najemnych.

A zatem, w roku 1935 zamieszkaliśmy na swoim i w tym czasie nasze życie zapowiadało się cudownie. Mój młodszy brat Mariam zmarł w kilka tygodni po urodzeniu w roku 1934, byłem więc jedynakiem ukochanym przez rodziców, babkę i dziadka i przez wujka Staszka, który nie miał jeszcze swoich dzieci. Nie żałowano mi łakoci, zabawek i różnych prezentów. Najwięcej kupowano mi jednak książeczek, czytano mi je codziennie. Dzięki codziennym kontaktom z książkami, mając 5 lat nauczyłem się sztuki czytania, a w rok później sztuki pisania. Mój ojciec miał duszę artysty i duże umiejętności artystyczne: ładnie rysował, a z kawałka drewna potrafił w parę minut wyczarować przy pomocy kozika jakiegoś ludzika, samolot czy też inną figurę. Stale kupował dla mnie kredki, papier rysunkowy, obrazki do kolorowania. Dzięki temu też zacząłem nieźle rysować.

W roku 1937 zacząłem chodzić do szkoły. Po dwóch dniach pobytu w pierwszej klasie przeniesiono mnie do drugiej klasy uznając, że program pierwszej klasy mam już opanowany i na lekcjach przeszkadzałbym tylko pozostałym kolegom. W tym samym czasie zacząłem uczyć się gry na fortepianie u pani Stobieckiej, która wkrótce uznała mnie za jednego z najzdolniejszych swych uczniów.

W szkole moimi najlepszymi kolegami byli: Ignacy Szady, Franek Gredźuk /zmarł w czasie wojny na czerwonkę/, Marian Podiuk, Marian Napp /później też wywieziony na Syberię dał się zrusyfikować i już jako Napow wrócił do Kut, nie do Polski/, Kazik Krzeмиński i Ukrainiec Gogo Kulik, którego dziadek był wziętym adwokatem. Dzięki Gogowi i dzieciom sąsiadów-Ukraińców, w ósmym roku

napływały nad miasto, ale nie padało. Zebraną na szkolnym korytarzu działwę powitał Dyrektor Szkoły pan Leopold Migocki. Z jego przemówienia zapamiętałem do dziś takie mniej więcej słowa:

- Kochane dzieci! Nad naszą umiłowaną Ojczyzną zawisły ciężkie chmury, jeszcze cięższe niż te nad naszym miastem. Dziś nad Ranem, zdradziecko, bez wypowiedzenia wojny na Polskę napadły Niemcy. Ale nasz bohaterski naród nie da się! Mamy potężnych przyjaciół, wspólnie z Anglią i Francją pokonamy odwiecznego wroga! Po każdym zachmurzeniu następuje piękna pogoda /i w tej właśnie chwili, po tych słowach Dyrektora stał się jakby cud - zza chmur wyjrzało oslepiające słońce, jego promienie przez okna zalały cały szkolny korytarz/. Widzicie, kochane dzieci, że sam Bóg potwierdza moje słowa. To dla nas Polaków zaświeci słońce, my będziemy zwycięzcami w tej wojnie, nasi żołnierze będą defilować w Berlinie! A teraz idźcie do swych klas i ucźcie się pilnie, bo mądrzy Polacy zawsze będą potrzebni swojej Ojczyźnie!

Dyrektor Migocki, wielki patriota, został w latach wojny zamęczony przez hitlerowskich oprawców w Oświęcimiu.

Wracając po paru godzinach ze szkoły do domów, z zaciekawieniem oglądaliśmy krążący wysoko nad miastem samolot. Zadzieraliśmy głowy do góry, chcąc dostrzec znaki na jego skrzydłach, ale nie były one widoczne. Nasz czy niemiecki? Samolot zrobił parę rund nad miastem i odleciał. W następnych dniach mówiono, że inny samolot zrzucił na Kutę jedną bombę, od czego zginął jeden człowiek, ale ja nie byłem świadkiem tego wydarzenia, nawet wybuchu nie słyszałem.

Okolo 10 września zawieszono zajęcia szkolne. Nasi nauczyciele, którzy w większości byli mężczyznami, poszli do wojska. W tym też czasie przez Kutę zaczęła przewalać się fala uciekinierów z różnych stron kraju, zdążająca przez granicę na Czeremoszu do Rumunii. Nieprzerwany potok ludzi zdązał czym kto mógł: autobusami, samochodami ciężarowymi i osobowymi, rowerami, furmankami, pieszo z wózkami dzieciennymi załadowanymi walizkami, tobołkami itp. Przydrożne rowy wkrótce zostały zawałone różnymi pojazdami, dla których zabrakło benzyny, a ich pasażerowie szli dalej pieszo.

Całkowite zaś piekło rozpętało się na drodze po 17 września, kiedy od wschodu ruszyła na Polskę Armia Czerwona, by pomóc Niemcom rozgromić naszą Ojczyznę.

Policja, której za wiele w Kutach nie było, nie mogła

napływały nad miasto, ale nie padało. Zebraną na szkolnym korytarzu działwę powitał Dyrektor Szkoły pan Leopold Migocki. Z jego przemówienia zapamiętałem do dziś takie mniej więcej słowa:

- Kochane dzieci! Nad naszą umiłowaną Ojczyzną zawisły ciężkie chmury, jeszcze cięższe niż te nad naszym miastem. Dziś nad ranem, zdradziecko, bez wypowiedzenia wojny na Polskę napadły Niemcy. Ale nasz bohaterski naród nie da się! Mamy potężnych przyjaciół, wspólnie z Anglią i Francją pokonamy odwiecznego wroga! Po każdym zachmurzeniu następuje piękna pogoda /i w tej właśnie chwili, po tych słowach Dyrektora stał się jakby cud - zza chmur wyrzało oślepiające słońce, jego promienie przez okna zalały cały szkolny korytarz/. Widzicie, kochane dzieci, że sam Bóg potwierdza moje słowa. To dla nas Polaków zaświeci słońce, my będziemy zwycięzcami w tej wojnie, nasi żołnierze będą defilować w Berlinie! A teraz idźcie do swych klas i ucźcie się pilnie, bo mądrzy Polacy zawsze będą potrzebni swojej Ojczyźnie!

Dyrektor Migocki, wielki patriota, został w latach wojny zamęczony przez hitlerowskich oprawców w Oświęcimiu.

Wracając po paru godzinach ze szkoły do domów, z zaciekawieniem oglądaliśmy krążący wysoko nad miastem samolot. Zadzieraliśmy głowy do góry, chcąc dostrzec znaki na jego skrzydłach, ale nie były one widoczne. Nasz czy niemiecki? Samolot zrobił parę rund nad miastem i odleciał. W następnych dniach mówiono, że inny samolot zrzucił na Kutę jedną bombę, od czego zginął jeden człowiek, ale ja nie byłem świadkiem tego wydarzenia, nawet wybuchu nie słyszałem.

Około 10 września zawieszono zajęcia szkolne. Nasi nauczyciele, którzy w większości byli mężczyznami, poszli do wojska. W tym też czasie przez Kutę zaczęła przewalać się fala uciekinierów z różnych stron kraju, zdążająca przez granicę na Czeremoszu do Rumunii. Nieprzerwany potok ludzi zdązał czym kto mógł: autobusami, samochodami ciężarowymi i osobowymi, rowerami, furmankami, pieszo z wózkami dziecięnnymi załadowanymi walizkami, tobołami itp. Przydrożne rowy wkrótce zostały zawałone różnymi pojazdami, dla których zabrakło benzyny, a ich pasażerowie szli dalej pieszo.

Całkowite zaś piekło rozpętało się na drodze po 17 września, kiedy od wschodu ruszyła na Polskę Armia Czerwona, by pomóc Niemcom rozgromić naszą Ojczyznę.

Policja, której za wiele w Kutach nie było, nie mogła

sobie poradzić z opanowaniem narastającego rozgardiaszu, toteż od 17 września rozlokowano na pograniczu pułk żandarmerii wojskowej pod dowództwem płk. Popowicza, co pomogło w znacznym stopniu opanować sytuację i zapewniło bezpieczeństwo uciekinierom. Płk. Popowicz zamieszkał na parę dni w naszym domu, zajmując dwa pokoje i jedną kuchnię. Pułkownik nie był sam, lecz z całą swoją rodziną - z żoną i z dwójką prawie dorosłych dzieci /pamiętam, że córka miała na imię Krystyna/, oraz z towarzyszącymi im gosposią i kierowcą-adiutantem. Popowiczowie dysponowali dwoma dużymi czarnymi samochodami osobowymi: służbowym z kierowcą-adiutantem i prywatnym. Pułkownik był przygotowany do opuszczenia kraju, wcale się z tym nie krył, co do reszty nas przygnębiło. Opowiadał moim rodzicom, że jego dom w Warszawie został doszczętnie zburzony bombami w pierwszych dniach wojny i że z dorobku całego swego życia zdołał uratować tylko to, co ma w walizkach i w bagażniku samochodu. Gorąco zachęcał moich rodziców do opuszczenia Polski razem z nimi, bo tu, po upadku Polski, będzie gorzej niż w piekle. Oferował nam miejsce w swoim samochodzie, ale moi rodzice /szczególnie mama/ nie zgodzili się na wyjazd w nieznane, bo jakże to opuszczać strony rodzinne, wynozić się dobrowolnie z własnego, dopiero co wybudowanego domu...

Płk. Popowicz dzień w dzień i noc w noc dokonywał nieustannych inspekcji w podległych mu oddziałach żandarmerii. W tych trudnych czasach utrzymał żelazną dyscyplinę w szeregach żandarmerii i policji, zapewnił ład na drogach i bezpieczeństwo wycofującym się do Rumunii oddziałom wojskowym i uciekinierom cywilnym. Równocześnie był człowiekiem o gołęmbim sercu, a wiem o tym stąd, że pułkownik dwukrotnie zabrał mnie i swoją córkę Krysę do samochodu, wyjeżdżając na przegląd sytuacji na drogach. Byłem świadkiem, jak pułkownik wraz ze swoim adiutantem osobiście naprawili zapełniony uciekinierami autobus, zamiast zepchnąć go na pobocze, jak udzielali pomocy zaskabłym uciekinierom. Szczególnie utkwił mi w pamięci jeden przypadek: gdy wieczorem wracaliśmy do domu, samochód pułkownika potrącił krowę, którą chłop-Ukrainiec przepędzał akurat przez drogę. Krowa doznała złamania prawej tylnej nogi, chłop był zrozpaczony. Pułkownik wyjął z własnego portfela 200 złotych, dał chłopu i zapytał, czy ta suma wystarczy. Chłop padł do nóg pułkownika, chciał mu chyba buty wycalować, ale pułkownik go podniósł, pożegnał się z nim i pojechaliliśmy dalej.

To się wydarzyło 18 lub 19 września, dokładnie nie nie pamiętam. Poszliśmy z mamą zanieść ojcu coś do zjedzenia, w to miejsce, gdzie pilnował on porządku na drodze do Rumunii. W tym właśnie czasie nadjechała w asyście wojska olbrzymia, długa kolumna czarnych limuzyn i wolno pojechała dalej, do odległej już tylko o jeden kilometr Rumunii. W limuzynach jechali panowie i panie z opuszczonymi głowami, przygnębieni, nikogo nie pozdrawiali i nikt ich nie pozdrawiał - ani inni uciekinierzy podążający w tym samym kierunku, ani ludzie miejscowi, pozostawiani na łaskę lasu. W środkowej części kolumny kilkanaście chyba limuzyn miało zasłonięte lub zamalowane okna i było tak obciążonych, że ich karoserie wlokły się prawie po ziemi. Patrzcie się - powiedział do nas ojciec - ucieka za granicę cały nasz rząd, wywożą z sobą nasz skarb narodowy, nasze złoto.

W kilka dni po ucieczce rządu, płk Popowicz wraz z rodziną i żandarmerią również opuścił Polskę. Do końca namawiał nas do opuszczenia kraju razem z nimi. Odjeżdżając, przy pożegnaniu zostawił dla nas "na cięższe czasy" trochę konserw wojskowych - najbardziej z nich smakowały mi potem wojskowe ogórki konserwowe. O ile wiem, państwo Popowiczowie szczęśliwie przeżyli wojnę, nie wrócili jednak do Polski, po wojnie osiedlili się w Londynie.

Po opuszczeniu Kut przez polski rząd i żandarmerię płk. Popowicza, w mieście zapanowało swoiste bezkrólewie, dla utrzymania porządku pozostała tylko nieliczna miejscowa Policja Państwowa. W pewnym momencie policjanci otrzymali również rozkaz wycofania się do Rumunii i mój ojciec wraz z innymi policjantami udali się do leżącego na drugim brzegu Czeremoszu rumuńskiego miasta Wyżnica, ale tam po paru godzinach rozkaz zmieniono, policjantom kazano wrócić z powrotem do Kut, aby do końca pilnować bezpieczeństwa miejscowej ludności i wciąż płynącego potoku uciekinierów z całej Polski.

Nastało parę dni okrutnej niepewności. Już wiedzieliśmy, że Polska tę wojnę przegrała, ale nie wiedzieliśmy, jakie obce wkroczą do Kut i kiedy to nastąpi. Od strony Lwowa zbliżały się do nas wojska niemieckie, od Tarnopola szli na nas sowieci. Coraz częściej dochodziły wieści, że bliżej Kut są sowieci. Wówczas znienacka, jak grzyby po deszczu, obok polskiej policji pojawiły się w Kutach dwie milicje - żydowska z czerwonymi opaskami na rękawach i ukraińska z opaskami niebiesko-żółtymi. Obie milicje były uzbrojone

w karabiny i w rewolwery oraz w bagnety. Skąd zdobyły broń te milicje? Nie wiem. Przez kilka dni panującego w Kutach bezkrólewia polska Policja Państwowa oraz ukraińska i żydowska milicje nie przeszkadzały sobie nawzajem, nie walczyły ze sobą, a wprost przeciwnie, współdziałały ze sobą w utrzymywaniu ładu i spokoju w mieście.

W owych dniach z leżącej tuż za Czeremoszem rumuńskiej Wyżnicy przyjeżdżała do Kut codziennie, w niektóre dni nawet kilkakrotnie, polska ciężarówka wojskowa. To jedna z polskich jednostek wojskowych, stacjonujących już w Rumunii, wysyłała do Kut ciężarówkę po żywność dla wojska. Oficer - kwatermistrz kupował w Kutach mięso, jarzyny, chleb, płacił kupcom polskimi złotówkami, wspólnie z kierowcą i kupcami ładowali zakupione produkty do samochodu i ciężarówka odjeżdżała z powrotem do Rumunii. Miejscowi kupcy byli bardzo radzi, bo wojsko dobrze płaciło za towar.

Nie pamiętam daty wkroczenia Armii Czerwonej do Kut, ale stało się to mniej więcej po tygodniu, ~~z~~ a może po 10 dniach od zdradzieckiej napaści ZSRR na Polskę w dniu 17 września 1939 roku. Jako pierwsze wjechały do Kut trzy średniej wielkości czołgi sowieckie. Jeden z nich nie wjechał do śródmieścia, pozostając w okolicach Starych Kut, a dwa czołgi wjechały do centrum miasta i tu zatrzymały się, obsypane kwiatami ~~przez~~ przez milicjantów żydowskich i ukraińskich.

Milicjanci wdrapywali się na czołgi, czule witali i obcałowowali sowieckich czołgistów za wyzwolenie od pańskiego polskiego ucisku. Przy okazji poinformowali czołgistów, że właśnie przed chwilą, tą właśnie ulicą, w kierunku Rumunii pojechała polska ciężarówka wojskowa. Czołgiści z jednego czołgu natychmiast zamknęli włązy i ruszyli na pełnych obrotach silnika w pogon za tą ciężarówką, za nie przeczuwającymi najgorszego, siedzącymi w niej oficerem i kierowcą. Czołgiści coraz bardziej zbliżali się do polskiej ciężarówki, ale albo nie mając pewności dogonienia jej przed granicą z Rumunią, albo ze wściekłości do wszystkiego co polskie, puścili serię z karabinu maszynowego po kołach samochodu. Wtedy Polacy zobaczyli, co się święci, kierowca dodał gazu. Na jednym z zakrętów ciężarówką, wiozącą wtedy chleb dla polskiego wojska, potężnie zarzuciło, drzwi od strony oficera otworzyły się niespodzianie, siła odśrodkowa wypchnęła oficera z pojazdu na przydrożny parkan. Oficer na moment zawisł na parkanie i wtedy kolejna

seria z czołgowego cekaemu uśmierciła go na miejscu. Tym polskim oficerem był Tadeusz Dołęga-Mostowicz, jedna z niepowetowanych ofiar najazdu sowieckiego na Polskę w 1939 roku. Oprócz Tadeusza Dołęgi-Mostowicza w Kutach zginęło jeszcze kilku innych polskich oficerów, ale nie z ręki wroga, lecz śmiercią samobójczą. Zginęli ci, którzy widząc przegraną Polski i nie mogąc się z tym pogodzić, nie chcąc opuścić ziemi ojczystej dla tułaczki po obczyźnie, honor nad życie ceniąc tu, na ostatnim skrawku polskiej ziemi, nad Czeremoszem odbierali sobie życie.

W kilka godzin po czołgach do Kut wkroczyły z pieśnią "Moskwa moja" na ustach wojska sowieckie, maszerujące ciasno noga w nogę, w trójkowych kolumnach. Wiwatujące tłumy Ukraińców i Żydów obsypywały te kolumny kwiatami, witały je chlebem i solą. My Polacy też, chociaż w milczeniu, oglądaliśmy wkroczenie sowieckiego wojska. Przeważało w nas uczucie przygnębienia i wstydu, bo zobaczyliśmy wojsko bez naramienników, w dziwnych szpiczastych czapkach, w obszarpanych u dołu szynelach przepasanych przeważnie sznurkami, uzbrojone w długachne karabiny, też ze sznurami zamiast pasów. Zastanawialiśmy się: dlaczego nasze wojsko z czymś tak nędznym nie walczyło, jak można było z takim najeźdźcą i w dodatku bez walki, przegrać?

Po wejściu do Kut sowieci rozbili polskich policjantów oraz wyłapanych w mieście i okolicach żołnierzy-maruderów. Policjantów i żołnierzy zgromadzone na dużym skwerze przed kościołem, wszystkim kazano zdjąć buty i usiąść na trawie. Otoczyli ich kołem, z bronią gotową do strzału, "bojcy" Armii Czerwonej. Z trzech stron skierowano na Polaków lufy ciężkich karabinów maszynowych. Wszystkich wylegitymowano i spisano, po czym żołnierzy wywieziono w nieznanym kierunku, a policjantom... zwrócono broń i wyznaczono odpowiednie zadania policyjne. W każdym jednak z następnych dni policjantów pojedynczo znów rozbierano i aresztowano. W pierwszych dniach października odebrano broń memu ojcu, ale - o dziwo - nie aresztowano go przy tym. Po przyjeździe do domu mój ojciec natychmiast przebrał się w cywilne ubranie, czule pożegnał się z mamą i ze mną decydując się na ucieczkę do Rumunii przez, niestety, zamkniętą już i szczelnie obstawioną granicę, przez coraz bardziej wzbierający i burzliwy jesienią Czeremosz. Razem z moim ojcem podobną decyzję podjął przedownik policji Schick. Obaj poszli w ciemną noc i przez trzy tygodnie ukrywali się u różnych znajomych, przechodząc z domu do domu coraz bliżej Czeremoszu. W tym czasie mama i ja wychodziliśmy

co wieczór przed dom, z niepokojem obserwowaliśmy chmurne, czasem deszczowe niebo i gorliwie modliliśmy się o szczęśliwe przejście ojca przez granicę. Próbę przekroczenia granicy mój ojciec i pan Schick podjęli w nocy z 28 na 29 października. Niestety, próba okazała się tragiczną - czy to na skutek czyjejś zdrady, czy też zbyt silnej obstawy granicy, obydwaj zostali zabici przez sowiecką straż graniczną. Sowieci wielkodusznie wydali mojej mamie ciało zabitego ojca i w dniu 3 listopada 1939 roku urządziliśmy ojcu chrześcijański pogrzeb, pochowaliśmy go uroczysto na cmentarzu katolickim w Kutach, obok grobowca rodziny Pogonowskich. Mój ojciec był w Kutach lubianym i szanowanym człowiekiem, w jego pogrzebie uczestniczyło bardzo dużo ludzi, nie tylko Polaków.

Pogrzeb pana Schicka odbył się dopiero dwa tygodnie później, gdyż jego ciało, wyrzucone przez fale Czeremoszu na śródrzeczną wyspę, zostało odnalezione tam dopiero wtedy, gdy władze sowieckie wydały w początkach listopada rozkaz wycięcia na brzegu i wyspach Czeremoszu wszystkich krzewów, aby uniemożliwić ukrywanie się w nich osobom zamierzającym przedostać się do Rumunii.

Jeszcze wcześniej był w Kutach pogrzeb Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Sowieci, gdy dowiedzieli się kim był zabity, zezwolili zorganizować uroczysty pogrzeb pisarza. Polskie i ormiańskie społeczeństwo Kut samorzutnie zorganizowało pogrzebowy komitet, ciało pisarza umieszczono w potrójnej trumnie, aby umożliwić przetransportowanie jej kiedyś na miejsce wiecznego spoczynku zgodne z wolą jego rodziny i pochowano w gotowym już, ale jeszcze pustym grobowcu rodzinnym Ormian Ohanowiczów. Na płycie nagrobnej wyryto imię i nazwisko pisarza oraz datę jego śmierci. W pogrzebie uczestniczyły nieprzeliczone rzesze mieszkańców nie tylko Kut, ale też Kosowa Huculskiego, Kołomyi i innych miast. Muszę nadmienić, że krąży też inna wersja śmierci Dołęgi-Mostowicza, niż podana przeze mnie. Taka mianowicie, że w ostatniej chwili sam odebrał sobie życie, nie chcąc się dostać do niewoli sowieckiej.

W listopadzie 1939 roku sowieci zaczęli wysiedlanie ludzi z domów położonych w stumetrowym pasie od brzegu Czeremoszu, aby uniemożliwić ukrywanie się w tych domach potencjalnym zbiegom do Rumunii. Wszystkich, niezależnie od ich narodowości, siłą przekwaterowano do innych rejonów miasta, zagęszczając nieszczęśliwymi cudze domy i mieszkania. Do nas dokwaterowano rodzinę państwa Kuszyków z trojgiem dzieci, odstąpiliśmy im dwa pokoje.

Wkrótce nasz dom zaludnił się innymi jeszcze lokatorami. W połowie listopada przyszli do mamy dwaj oficerowie NKWD i po oświadczeniu, że będą u nas mieszkać, zarekwirowali dla siebie jeden pokój. Zamieszkała również u nas /w zimowej kuchni/ pani Schickowa, której mąż zginął razem z moim ojcem. Dla mojej mamy i dla mnie pozostał jeden pokój i kuchnia, zwana letnią.

Po śmierci ojca pozostaliśmy z mamą bez stałego dopływu środków do życia. Mieliśmy na szczęście nieco oszczędności, ponadto nasz sad jesienią 1939 roku po raz pierwszy i to obficie zaowocował. Mama zebrała i sprzedała prawie dwie tony owoców. Pieniądze za owoce i oszczędności dawały nadzieję na spokojne przetrwanie zimy 1939/40 roku, a nawet dłużej.

W listopadzie wznowiono zajęcia szkolne. Wszystkich uczniów cofnięto o jedną klasę - pierwszego września rozpoczynałem naukę w ~~trzeciej~~ czwartej klasie, a w listopadzie zaczynałem uczyć się znów w trzeciej klasie, którą miałem przecież już ukończoną, z samymi piątkami zresztą. Do nauki wprowadzono język rosyjski, obok polskiego i ukraińskiego. Kilku nauczycieli polskich zastąpiono nauczycielkami przysłanymi z ZSRR. Uczyły one swoich przedmiotów po rosyjsku, więc mało co rozumieliśmy z tego i nawet najlepsi uczniowie zaczęli obrywać dwóje.

W roku 1939 przeżyłem najsmutniejsze w życiu Boże Narodzenie. Nie mieliśmy w domu, po raz pierwszy, choinki. O zmroku byliśmy z mamą na cmentarzu. Na mogiłach mego Tatusia i mego bratczka Mariana oraz na grobowcu Pogonowskich złożyliśmy opłatki i zapaliliśmy świece. Po powrocie do domu zostaliśmy zaproszeni, wraz z samotną p. Schickową, na wieczerzę wigilijną do państwa Kuszyków. Była tu choinka i trójka dzieci w moim mniej-więcej wieku, ale mamie i mnie wciąż było smutno podczas tych pierwszych Świąt bez Tatusia. Gdy tak siedzieliśmy przy smutnym stole wigilijnym, w pewnym momencie usłyszeliśmy potężny huk, dolatujący jakby z pokoju zajętego przez enkawudzistów. I rzeczywiście - jeden z nich, po pijanemu bawiąc się swoim pistoletem, przestrzelił na wylot udo własnej nogi. Poweseleliśmy, ale tylko trochę.

Od stycznia 1940 roku moją mamę zaczęto wzywać, po dwa - trzy razy w miesiącu, na przesłuchania w NKWD i na milicji. Czasami otrzymywała wezwania pisemne, a najczęściej przychodziło po nią czterech uzbrojonych po zęby milicjantów i moja mama w asyście w asyście takich zbirów była doprowadzana na przesłuchania. Widok takiego konwoju bezbronnej kobiety był tragiczny i komiczny zarazem.

W lutym 1940 roku rozpoczęły się masowe aresztowania i wywożenie w nieznanym kierunku niektórych osób polskiego pochodzenia. Wywożono przeważnie całe rodziny i zawsze robiono to w godzinach nocnych. Pierwszymi ofiarami masowych wywózek w nieznanie stali się leśniczy, gajowi i ich rodziny.

W tym samym czasie władze sowieckie zezwoliły na wyjazdy do Niemiec lub na tereny polskie pod okupacją niemiecką osobom pochodzenia niemieckiego. Do Katowic wyjechała z Kut m.in. koleżanka mojej mamy, Niemka Rosenbergowa. Przed wyjazdem wielokrotnie namawiała moją mamę do wspólnego wyjazdu:

- Uciekaj stąd - mówiła - uciekaj od bolszewików. Niemcy są lepsi, kulturalni, a ty miałaś przecież mamę pół-Niemkę i też możesz wyjechać.

- Ale ja jestem Polką, jestem córką Pogonowskich herbu Ogończyk - odpowiadała mamam - i wierzę, że Polska znów zmartwychwstanie. Tu się urodziłam i tu pozostanę aż do naszego zwycięstwa.

- To daj mi chociaż swego syna - prosiła bezdzietna Rosenbergowa - dam mu w Katowicach najlepsze niemieckie wykształcenie, a tutaj zrobią z niego bolszewika.

- Sama nie wyjadę i dziecka ci nie dam. Sama potrafię wychować go na dobrego Polaka i uczciwego człowieka - replikowała mama.

I tak, Rosenbergowa wyjechała do Katowic tylko ze swoim bratem, bez nas. Pozostaliśmy w Kutach, gdzie mamę nadal zadreżczano częstymi wezwaniem na przesłuchania i przeprowadzanymi w naszym domu od czasu do czasu rewizjami.

W ostatnim doręczonym mamie wezwaniu polecono jej stawić się na kolejne milicyjne przesłuchanie w dniu 15 kwietnia 1940 roku, o godzinie 11. Wezwanie było podpisane przez naczelnika miejscowej milicji niejakiego Pełczuka.

Ja zaś nadal chodziłem do trzeciej klasy szkoły podstawowej, gubiąc się nieraz w zawiłościach języka rosyjskiego, w którym prowadzono coraz więcej zajęć.

Sowieci prześladowali i aresztowali coraz więcej osób, przede wszystkim tych, którzy w przedwojennej Polsce sprawowali jakieś funkcje państwowe. Aresztowano już i wywieziono w nieznanie wszystkich policjantów, sędziów, leśników i wielu innych. Te ich rodziny, które dotąd nie wywieziono, nękano nieustannymi przesłuchaniami i rewizjami. Gdy w sklepach zaczęło brakować żywności i innych towarów, pod pozorem walki ze spekulacją rozpoczęto

prześladowania i aresztowania kupców i zamożniejszych rolników. Nad wszystkimi zawisła atmosfera strachu, prawie każdy stał się podejrzanym. W zasadzie w każdym polskim domu spodziewano się rychłej rewizji, wezwania na przesłuchanie lub - co gorsza - aresztowania i wywózki w nieznaną. Młodzi Polacy coraz liczniej uciekali przez Czeremosz do Rumunii, a stamtąd do powstającego we Francji Wojska Polskiego. Uciekali mimo wzmocnienia sowieckich patroli granicznych, wycięcia wszystkich nadbrzeżnych zarośli i wysiedlenia wszystkich mieszkańców ze stumetrowej strefy przygranicznej. Wielu przypłaciło życiem próbę przedostania się do Rumunii, wielu złapano i aresztowano, a jednak nie było nocy na przełomie lat 1939-1940, by ciszę nocną nie przerywały echa wystrzałów znad Czeremoszu, świadczące, że znów ktoś odważnie przekroczył granicę, albo - jak mój ojciec - poległ na zawsze od wrażeń kuli, a spienione fale Czeremoszu zmyły z niego hańbę życia w sowieckiej niewoli.

Żyjąc pod okupacją sowiecką wkrótce pojęliśmy, że piękne hasło "jeden za wszystkich, wszyscy za jednego" zaczyna nabierać potwornego znaczenia. Nastąpiły czasy, gdy za sam fakt bycia Polakiem ulegało się prześladowaniom, aresztowaniom i wywózkom. Pretekstów do prześladowań sowietom nie brakowało - przecież prawie każdy miał w rodzinie wroga nowej władzy: policjanta lub wojskowego, leśnika lub urzędnika, uciekiniera za granicę lub "kułaka", szlachcica lub spekulanta.

Mama zrozumiała, że też nie jest bez winy. Jej dziadek był powstańcem z 1863 roku, jej bracia i mąż walczyli z bolszewikami w latach 1919-1920, jej mąż uciekał niedawno do Rumunii i został zabity a wszyscy jej przodkowie Pogonowscy herbu "Ogończyk" - to znienawidzeni przez sowietów "polskije pany".

"Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego" - tak, trzeba będzie ponieść odpowiedzialność, zbiorową odpowiedzialność za wszystkie grzechy swojej rodziny. Mama coraz częściej powtarzała:

- Już niedługo i po nas przyjdą. Dokąd nas wywiozą?

I coraz częściej płakała. Początkowo po słowach mamy strach mnie oblatywał, ale później przywykłem i nawet zżyłem się z myślą o wywózce.

12 kwietnia 1940 roku na lekcji języka rosyjskiego dostaliśmy zadanie domowe: na jutro nauczyć się na pamięć rosyjskiego wiersza, długiego na dwie strony podręcznika. Wierszy uczyłem się bardzo łatwo, nierzadko już po pierwszym przeczytaniu umiałem wiersz na pamięć. Z tego względu przed wojną zawsze

deklamowałem wiersze na różnych szkolnych uroczystościach. Tym razem wyczułem jednak, że nie dam rady. Ponad połowa słów w tym rosyjskim wierszu była dla mnie w ogóle nie zrozumiała. Wkuwałem ten wiersz przez całe popołudnie i po kolacji do późnego wieczora, a ciągle jeszcze się zacinałem. Zmęczony i zrezygnowany, kładąc się spać powiedziałem do mamy:

- Nie umiem wiersza na pamięć. Jutro dostanę w szkole dwójkę. Nie chcę tego. Wolę, żeby dziś w nocy wywieźli nas na Sybir.

Mama odpowiedziała:

- Wypluj te słowa. Co znaczy dwójka w ruskiej szkole? Niedługo znów będziesz uczyć się w polskiej szkole i znów będzie dobrze. Nie przejmuj się, kładź się spać.

Ze snu wyrwał nas potężny łomot do drzwi, o godzinie pierwszej w nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 roku. Rozespane i przerażone, do drzwi podbiegły równocześnie moja mama i mieszkająca u nas pani Schickowa.

- Kto tam? - zapytały obie naraz.

- Odkrywaj, NKWD! - brzmiała odpowiedź.

Do domu wtargnęło sześciu mężczyzn - dwóch enkawudzistów w skórzanych kurtkach i czterech uzbrojonych w karabiny milicjantów.

- Która z was Szuwart, a która Schick? - zapytał jeden z enkawudzistów.

Wystraszone, ubrane tylko w nocne koszule, kobiety przedtawiły się.

- Do swoich komnat! - zakomenderowano.

Jeden enkawudzista i dwóch milicjantów weszli do naszego pokoju, taka sama ekipa weszła za panią Schickową do zajmowanej przez nią zimowej kuchni. Czterech uzbrojonych milicjantów, z bronią gotową do strzału, obstawili dodatkowo wszystkie narożniki domu. Tak więc aż ośmiu milicjantów i dwóch enkawudzistów zaangażowano do zaaresztowania w nocy dwóch bezbronných kobiet i jednego dziecka.

"Nasz" enkawudzista nazywał się Konstantinow, towarzyszącymi mu milicjantami byli: Żyd Szerl i Ukraińiec Kuszneruk.

Po wejściu do naszego pokoju przybyli sprawdzili najpierw, czy nikt nie ukrywa się w szafach lub pod łózkami. Następnie Konstantinow odezwał się do mamy, bardzo uprzejmie:

- Madame, proszę bardzo szybko ubrać się za drzwiami szafy, a potem ubrać dziecko.

Po czym zwrócił się do milicjantów:

- Odwrócić się tyłem do madame i nie podglądać!

Sam zresztą też odwrócił się do mamy tyłem i nie podglądał. Ja ciągle leżałem w łóżku. Nagle oprzytomniałem: - nie dostanę dziś dwójkę w szkole! Na pewno zabierają nas na Sybir! W jednej chwili senność prysła, wyskoczyłem żwawo z łóżka i sam zacząłem ubierać się.

Gdy już byliśmy ubrani, Konstantinow powiedział:

- Madame, daję wam godzinę czasu. Pakujcie się. Jest was dwoje, możecie zabrać ze sobą 200 kilogramów rzeczy, po 100 kg na osobę. Pojedźcie daleko. Bierzcie ciepłe rzeczy, bo tam zimno. I coś do jedzenia na parę dni. Bierzcie zresztą, co chcecie, 200 kilogramów. A teraz przeprowadzimy rewizję, a także spisujemy to, co zostawiacie. Na nowym miejscu dostaniecie odszkodowanie.

Stałem sobie z boku i obojętnie przyglądałem się scenie pakowania przez mamę do dużej walizy i dwóch bieliźnianych koszy o wycie 200 kilogramów rzeczy, które pozwolono nam zabrać z dorobku całego życia rodziców. Obiektywnie muszę przyznać, że Konstantinow był wobec mamy grzeczny aż do przesady, ciągle tytułował ją słowem "madame", doradzał co zabrać, co się "tam" z pewnością przyda.

Na arkuszu "Opis imuszczenia" /spis mienia/ milicjant Żyd Szerl starannie, kaligraficznie zapisywał to, co pozostawiamy, a co było mu podyktowane przez Konstantinowa. Zapisał dom, budynek gospodarczy, kozę, meble, dywany, pościel itp. rzeczy, razem jednak tylko 55 pozycji. Nie zapisał tego, co z naszych przecież mebli i rzeczy użytkowali mieszkający u nas dwaj enkawudziści, państwo Kuszykowie i pani Schickowa. Nie zapisał psów, kotów i kanarków. Nie zapisał również tych rzeczy, które przypadły do gustu Konstantinowi, Kusznerukowi i jemu samemu, Szerlowi. Te rzeczy upychano pod łóżkami, a mama nie protestowała. Uprzejmość za uprzejmość. Przecież i tak nie mogła zabrać więcej niż 200 kg.

Podczas rewizji i spisu Konstantinow znalazł w szafie pamiątkową ułańską szablę ojca z wojny przeciwko bolszewikom, z wygrawerowanym na niej odpowiednim napisem.

- Madame, macie broń w domu. Nie zdaliście jej, mimo rozporządzenia. Szykujecie kontrrewolucję! Trzeba zrobić protokół i aresztować was! Ale czort z wami, daruję wam!

I szabla też wylądowała pod łóżkiem.

Uprzejmość za uprzejmość. Pełny Wersal pomiędzy mamą

i Konstantinowem, pomiędzy ofiarą i oprawcą w ich jedynym w życiu, wyznaczonym przez okrutny los spotkaniu.

Parę minut po godzinie drugiej, milicjanci pomogli mamie załadować na czekającą już przy domu furmankę 200 kilogramów zważonego przez tychże milicjantów "na oko", a pozwolonego nam zabrać ze sobą dobytku, mieszczącego się w jednej walizie i dwóch koszach bieliźnianych. Na furmankę załadowano też 100 kg rzeczy /2 walizki/, które pozwolono zabrać ze sobą pani Schickowej.

Dobrotliwy Konstantinow zezwolił nam jeszcze przed wyjazdem nakarmić po raz ostatni psy, koty, kanarki i kozę. Mama popłakała się przy pożegnaniu ze zwierzętami. Mnie też było smutno, ale nie płakałem.

Potem kazano nam i p. Schickowej usiąść na furmance. Konstantinow usiadł na koźle obok woźnicy, czterech milicjantów obstawiło furmankę /po jednym przy każdym kole wozu/, woźnica zaciął konie batem i ruszyliśmy w ciemną noc i w ciemną przyszłość.

Drugi z enkawudzystów i czwórka innych milicjantów pozostali przy opuszczonym przez nas domu.

Kiedy furmanka ruszyła, zauważyliśmy, że mimo głębokiej nocy i przenikliwego chłodu, wzdłuż drogi, przy swoich domostwach stali nasi sąsiedzi Ukraińcy. Kobiety były zapłakane, prawie każda z nich trzymała w ręku jakieś zawiniątko. Po kolei kobiety te podbiegały do furmanki i dawały mamie na drogę paczuszki z żywnością, żegnały się z mamą, niektóre całowały ją po rękach zawodząc: "Oj susidko, susidko, kudy was zabyrajut? Oj, hospody pomyłuj, wozmyte chotia jedy na dorohu". Konstantinow chyba udawał, że nic nie widzi, milicjanci też nie bardzo przeszkadzali w tych ostatnich pożegnaniach z sąsiadami. Dzięki temu w długiej podróży "na Sybir" mieliśmy dość dużo słoniny, masła, bryndzy, serów, jajek, owoców i chleba. Wspomagaliśmy nawet w biedzie tych, co z oszczędzenia nic do jedzenia ze sobą nie wzięli.

Furmanką zawieziono nas do Kosowa Huculskiego, odległego od Kut o 10 kilometrów. Jechaliśmy do Kosowa około trzech godzin, bo droga z Kut do Kosowa prowadzi prawie nieustannie pod górę. Szybkość furmanki musiała też być zgrana z szybkością marszu idących obok niej pieszo milicjantów.

W Kosowie wjechaliśmy na jakiś większy plac, na którym stała już pokaźna liczba innych załadowanych ludźmi furmanek i ciągle dejeżdżały coraz to nowe pojazdy konne, z podobnymi nam nieszczęśnikami.

Trwał upiorny, nocny, gwiaździsty zlot furmanek. Z okolicznych miasteczek i wsi zwożono do Kosowa coraz więcej ofiar nocnej obławy: kobiet i dzieci oraz nielicznych mężczyzn, przeważnie w podeszłym wieku. Wśród przywiezionych rozpoznałem m.in. moją wychowawczynię ze szkoły p. Rozalię Jankowską z dwojgiem dzieci, właścicielkę sklepu tekstylnego z Kút Żydówką z jej synami Maksem i Arturem, oraz moją ciotkę z Kosowa Stefanię Dziduch z czwórka dzieci.

Trochę przysnąłem, więc nie mogę powiedzieć, jak długo trzymano nas w Kosowie, ale było jeszcze szare, gdy na plac przyjechały samochody ciężarowe i autobusy. Wówczas wszystkich, wraz z ich tobożami, załadowano do tych pojazdów. Otrzymaliśmy nową obstawę, złożoną z uzbrojonych żołnierzy i długa kolumna samochodów ruszyła do Kołomyi, odległej od Kosowa o ponad 20 kilometrów.

O świcie dotarliśmy do Kołomyi, gdzie czekał już na nas długi pociąg, złożony z towarowych, bydłowych wagonów. Bezpośrednio z samochodów i furmanek /to chyba wygnańców z Kołomyi i najbliższych jej okolic/ przeładowano nas wśród ponagleń i popychań do wagonów, a w każdym wagonie sporządzono dokładną listę "pasażerów".

Po obu stronach każdego wagonu były 2-piętrowe prycze z nieheblowanego drewna. Każdy wagon miał cztery małe, nie oszklone, za to gęsto okratowane okienka z zewnętrznymi okiennicami oraz, zamiast ubikacji, wycięty w podłodze mały otwór. Nie było w wagonach żadnych umywalk ani piecyków, mimo panującego jeszcze zimna. Na każdej z prycz i na podłogach pod pryczami ulokowano po 8 - 10 osób, więc każdy z wagonów pomieścił średnio po 50 ludzi. Rzeczy zwalono na stos, pośrodku wagonu.

Po ulokowaniu nas w wagonach drzwi z grzaskiem zasunięto i zaryglowano od zewnątrz, zamknięto też okiennice i mimo wstającego dnia, wewnątrz wagonów znów zapanowała noc, wstrząsana szlochom kobiet i płaczem przerażonych dzieci.

Po pewnym czasie coś potwornie wstrząsnęło naszymi wagonami, do tego stopnia, że siedzący na skrajach prycz położyli się nagle na plecach lub z prycz pospadali, a toboży ze stosu potoczyły się po całym wagonie. Chyba celowo, na postrach, w taki sposób doczepiono do pociągu lokomotywę. Wkrótce lokomotywa cieniutko zagwizdała i pociąg ruszył. Dziś chciałoby się ironicznie powiedzieć: odjechał do ZSRR jeden z pierwszych "pociągów przyjaźni".

Przez cały dzień 13 kwietnia 1940 roku nasz pociąg zatrzymywał się na kolejnych mijanych większych stacjach i wtedy zachowywał się niby pijany: manewrował to w przód, to w tył, a takiej

jeździe znów towarzyszyły dziwne, silne wstrząsy. W ciemnym, zamkniętym wagonie najpierw straciliśmy orientację w którym kierunku i dokąd jedziemy, potem domyśliliśmy się, że na wielu stacjach sowieci doczepiają do naszego pociągu kolejne wagony. W ciągu dnia starsi chłopcy, którzy przemycili ze sobą scyzoryki i finki harcerskie, przy ich użyciu wydrubali śeki z desek wagonów i okiennic, dzięki czemu mogliśmy czytać nazwy mijanych stacji, a do wagonów dotarło trochę światła i świeżego powietrza. Przejechaliśmy przez Stanisławów, Lwów, Równe, Sarny i w drugim dniu jazdy stanęliśmy na przedwojennej granicy polsko-sowieckiej, w Husiatynie.

Tu przeładowano nas do czekającego już na nas na równoległym, ale szerszym torze, sowieckiego pociągu. Nowe wagony różniły się jedynie tym, że były nieco przestronniejsze i nie miały okiennic, a kraty w oknach nie były tak gęste. Prycze i ubikacyjny otwór w podłodze były identyczne /gdy podczas podróży jedna z osób "załatwiła się", dwie lub trzy inne osoby zaskaniały ją kocami/. Podobnie jak w poprzednim, "polskim" pociągu, po załadowaniu nas do wagonów sowieckich drzwi od zewnątrz zaryglowano. Większość wagonów była wyposażona w budki konduktorskie, w których jechała uzbrojona eskorta wojskowa.

Podczas przesiadania się do sowieckich wagonów zauważyłem, że pociąg jest potwornie długi, ma co najmniej 100 wagonów i dwie lokomotywy - jedną z przodu pociągu, drugą z tyłu.

Po krótkim postoju usłyszeliśmy po raz pierwszy ponury, gruby ryk sowieckich lokomotyw, pociąg drgnął i powoli nabierając szybkości ruszył w głąb Związku Sowieckiego. Ktoś powiedział: "wy, którzy tu wkraczacie, porzućcie wszelką nadzieję". Znów rozległy się szlochy kobiet.

Dalsza trasa "naszego" pociągu wiodła przez Kijów, Charków, Saratow, Ufę, Czelabińsk, Omsk do Nowosybirsk i dalej, gdzie znów zaczęła się "pijana" jazda, ale o tym nieco później. Powróćmy do warunków jazdy.

Tylko raz dziennie otwierano na krótko drzwi wagonów i wywoływano cztery osoby: dwie osoby po wodę i dwie osoby po zupę i chleb. Uzbrojony strażnik wołał:

- Dwa ciężawieka za wadoj i dwa ciężawieka za supam i chlebem! Wychadi skariej, swołacz, job twaju mat!

Szli najsilniejsi, a przyniesione przez nich cztery wiadra wody, dwa wiadra zupy i 8 - 10 bochenków chleba musiały starczyć dla wszystkich w wagonie na całą dobę. Przynoszący zupę

i wodę często nie umieli określić gdzie się znajdujemy, bo nie wolno im było z nikim rozmawiać, a pociąg zatrzymywano przeważnie na stacjach towarowych, gdzie nie było napisów z nazwami miejscowości. Czuwaliśmy więc na zmianę przy malutkich zakratowanych okienkach, by odczytywać nazwy mijanych miejscowości, a nadto by zaczerpnąć do płuc trochę świeżego powietrza, bo w wagonie było coraz bardziej duszno i smrodliwie. Z ciekawością i trwogą obserwowaliśmy też uciekające za okienkami obrazki z życia nieznanego nam dotąd kraju. Przerażała nas szarzyzna i jednolitość ubiorów u postrzeganych ludzi, ich przygnębione i smutne twarze. Poraziło nas, że za obuwie prawie wszystkim służą tu kalosze, założone na boscie nogi lub na stopy owinięte onucami. Prawie wszyscy odziani byli w nieznaną nam dotąd kufajki, brudne, w kolorze przeważnie zgniło-zielonym lub szarym.

Na całej trasie przejazdu miejscowa ludność raczej nam współczuła, widzieliśmy współczujące załamywania rąk, czasami usiłowano nas wspomóc wrzucaniem do okienek kawałków chleba lub owoców, lecz mało co z tego docierało do nas odbijając się od krat. Bywały jednakże, nieliczne wprawdzie, przypadki wygrażania nam pięściami i obrzucania nas epitetami w rodzaju "praklętyje polskije pany", "wragi naroda" itp.

Gdzieś w okolicach Uralu eskorta pociągu jakby zapomniała o nas. Przez cztery doby nikt nie odsuwał drzwi wagonów, by wrzasnąć sakramentalne "dwa czieławieka za wadoj, dwa czieławieka za supam... itd.", więc jechaliśmy przez cały ten czas bez jadła i wody. O ile z żywnością /przynajmniej w naszym wagonie/ nie było tragicznie, bo mieliśmy jeszcze zapasy zabrane z domów, z braku wody doszło do scen wręcz dantejskich. Bezustannie ryczały spragnione dzieci, płakał jak dziecko proszący chosiaż o jeden łyk wody staruszek pan Wielgosz, smród z niezmywanego otworu w podłodze stawał się nie do zniesienia. Nie pomagały ani pokorne błagania o wodę, ani natarczywe, połączone z waleniem garnkami o drzwi i ściany wagonu, domagania się jej dostarczenia. Eskorta pozostawała głucha i niewzruszona.

Już za Uralem, pewnego dnia zatrzymano nasz pociąg w szczerym polu, przy olbrzymiej łące. We wszystkich wagonach otworzono drzwi na całą ich szerokość i wszystkim kazano wyjść z wagonów na łąkę, otoczoną żołnierzami z bronią gotową do strzału. Bardzo nas to przeraziło - sądziliśmy, że oto nadszedł kres naszego życia. Nic złego jednak się nie zdarzyło - po prostu ten jeden

Jedyny raz podczas naszej podróży w nieznane pozwolono nam pospacerować, rozprostować kości. Ostrzeżono nas tylko, by nie zbliżać się do kordonu żołnierzy i nie próbować ucieczki, bo "bajcy strelat budut". Przy okazji zobaczyliśmy po raz pierwszy nasz pociąg w całej okazałości - 118 wagonów i dwie lokomotywy, jedna z przodu i druga u tyłu pociągu. Po dwóch godzinach zamknięto nas z powrotem w wagonach i pojechaliśmy dalej.

Z okienek, z za krat, widzieliśmy nie tylko codzienną szarzyznę, nędzne domostwa i biedę mieszkańców wielkiego kraju Sowietów, oglądaliśmy też zmieniające się z dnia na dzień krajobrazy. Podobne nieco do naszych, aczkolwiek biedniejsze tereny Ukrainy ustąpiły miejsca rozległym, płaskim terenom Rosji, z niekończącymi się jakby brzoźowymi lasami. Potem były posępne góry Uralu, a niedługo po nich piękna i groźna tajga, przez którą jechaliśmy aż do Nowosybirska niby w ciemnym, zielono-brązowo-czarnym, wykutym wśród drzew tunelu. Tak mrocznego lasu, jakim jest tajga, tak wysokich sosen, świerków, jodeł i modrzewi nigdy przedtem i nigdy potem już nie widziałem. Później podziwialiśmy jeszcze ośnieżone, piękne góry Ałtaju, a na koniec wjechaliśmy na bezkresne stepy Kazachstanu. Zauważyliśmy też, że z każdym dniem za okienkami zmniejsza się ilość osad ludzkich, że wjeżdżamy na coraz bardziej bezludne tereny.

Jak już wspominałem wcześniej, od Nowosybirska znów zaczęła się dziwna, "pijana" jazda naszego pociągu. Część wagonów odczepiono od pociągu i pozostawiono w Nowosybirsku, potem jeździliśmy w różnych kierunkach, raz do przodu, raz do tyłu, jakby zygzakiem, zahaczając o Tomsk, Krasnojarsk, Barnauł i inne jeszcze miasta, których nazw teraz już nie pamiętam. W każdym z tych miast odczepiano od pociągu kolejne grupy wagonów, początkowe lub końcowe. My, "środkowi", ciągle jechaliśmy dalej. Kolejny postój mieliśmy w Semipałatyńsku, tu odłączono od nas dużą, ostatnią już grupę wagonów. Teraz bardzo już króciutki, sześciowagonowy pociąg potoczył się dalej w kierunku południowym i zatrzymał się w szosowym polu o sto kilometrów od Semipałatyńska, niedaleko od stacji Czarsk /po kazachsku Szar/. Tu był kres naszej jazdy pociągiem. Wszystkim kazano szybko opuścić wagony, pusty pociąg zaraz odjechał a gromada około 300 wygnańców wraz z tobozami i eskortą wojskową pozostała przy torach na stepie. Był późny poranek dnia 3 maja 1940 roku, smutny dla nas dzień naszego Święta Narodowego.

Ale nie byliśmy sami. Czekają tu już na nas samochody ciężarowe ZIS-5 oraz furmanki zaprzężone przeważnie wołami.

Po krótkim rozgardiaszu nasza uzbrojona eskorta z pociągu rozpoczęła przekazywanie nas tutejszym, chyba przedstawicielom władz, według list sporządzonych w wagonach na początku podróży. Miejscowi decydowali, kto i w jakim środku lokomocji ma zająć miejsce.

Mamie i mnie, z naszym skromnym bagażem, kazano załadować się do ZIS-a. Kilka takich ciężarówek, załadowanych do pełna ludźmi i bagażami oraz uzbrojoną eskortą, odjechało wkrótce przez step, w kierunku wschodnim, prostopadłym do linii kolejowej. Pozostałych zaczęto rozwozić, samochodami i furmankami, w innych kierunkach.

ZIS-ami jechaliśmy ponad dwie godziny przez step połą drogą, a raczej dwiema koleinami wyżłobionymi w stepie przez furmanki, samochody i traktory. Był to kuź ostatni etap naszej podróży. W ten sposób nasza około stuosobowa grupa dotarła do sowchozu Czałabaj, po kazachsku Szał Abaj. Znaczy to: Starzec Abaj. Abaj Kunanbajew był kazachskim poetą, żyjącym w latach 1845-1914.

Do Czałabaju, który okazał się miejscem naszej zsyłki, dotarliśmy po równych trzech tygodniach jazdy, prawie w samo południe 3 maja 1940 roku.

Od linii kolejowej i od rejonowej osady Czarsk dzieli Czałabaj odległość nieco ponad 50 kilometrów. Czałabaj leży nad urokliwą, leniwie płynącą i bogatą w ryby rzeczką Kyzyłką, na zachód i południe od Czałabaju rozciągają się rozległe stepy, a od strony północnej i wschodniej otaczają osadę sopki - niewysokie pagórkowate wzniesienia, przeważnie z łupków wapiennych.

Sowchoz, według założenia, specjalizował się w produkcji mięsa i mleka. Osada liczyła nie więcej niż 500 stałych mieszkańców, a istniały w niej m.in.: szkoła /10-klasowa!/, klub z biblioteką, łaźnia, kuźnia, mleczarnia, dwa sklepy, stacja maszynowo-traktorowa, stadnina koni, duże stado krów, ośrodek sportowo-gimnastyczny na wolnym powietrzu, kamieniołomy wapienne, elektrownia spalinowa, radiowęzeł i magazyn zbóżowy. Ludzie mieszkali przeważnie w lepiankach, zagłębionych do połowy w ziemi. Dyrektorem sowchozu był Sabirow, Tatar z pochodzenia.

Gdy przywieziono nas do Czałabaju, eskorta kazała nam wysiąść z ciężarówek na centralnym placu sowchozu, przekazała nas za pokwitowaniem dyrektorowi Sabirowowi i szybko odjechała, chyba w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Dyrektor długo myślał i wzdychał zastanawiając się, co z nami począć. Wreszcie zdecydował: ulokować wszystkich Polaków w magazynie zbożowym, który był pusty. Magazyn miał wymiary około

15 na 15 metrów, miał wysokości około 4 metrów, nie było w nim wogóle okien, a wejście do magazynu stanowiła olbrzymia brama. Swym wnętrzem magazyn przypominał 3-nawowy kościół, najszerszą była nawa środkowa. Przy pomocy kilku brygadzystów i wyznaczonych przez dyrektora miejscowych robotników ulekowaliśmy się w tym magazynie, po uprzednim jego zamieceniu. Mama i ja zajęliśmy miejsce w jednym z kątów lewej nawy. Następnie zarządzono dla wszystkich kąpiel w łaźni. Jako pierwsze poszły kobiety z dziećmi, po nich mężczyźni. Ze względu na obecność dzieci w różnym wieku, większość kobiet zażywała kąpeli w majtkach i biustonoszach, liczne kobiety kąpały się jednak w stroju Łwy i wtedy ja, dziewięcioletni chłopiec, zapoznałem się po raz pierwszy i dość dokładnie z anatomią dorosłych kobiet.

Miało się już ku zachodowi słońca, gdy przywieziono dla nas kilka wiader zupy i jaglanej kaszy, posililiśmy się, po czym wszyscy, czyści i syci, posnęliśmy jak zabici.

Od następnego dnia nikt już z miejscowych władz nami nie interesował się, pozostawiono nas swemu losowi, jakby nas wogóle w Czakałabaju nie było. Żadnym jedzeniem więcej nas nie poczęstowano, tylko miejscowa ludność coraz liczniej przybywała oglądać nowych przybyszów. My też z ciekawością obserwowaliśmy miejscowych, nawiązywaliśmy pierwsze kontakty i rozmowy w dziwnej mieszaninie języków polskiego, ukraińskiego, rosyjskiego i kazachskiego oraz ożywionej gestykulacji. Na pytanie, jak się tutaj żyje, udzielono nam zwięzłej odpowiedzi: "przywykniesz - budiesz żyt", nie przywykniesz - podochniesz". Wychodząc na zmianę grupami z magazynu /zawsze ktoś zostawał dla pilnowania dobytku/, zaczęliśmy zwiedzać osadę i pilnie przypatrywać się codziennemu życiu miejscowej ludności. Z zacięciem oglądaliśmy kruszenie prosa w wielkich drewnianych stępach, mielenie grubej soli w kamiennych makutrach, pieczenie praśnych pszennych placków na płytach podwórkowych piecyków, wyrabianie olbrzymich cegieł "samanów" z nie palonej gliny, zbieranie "kiziaków", czyli kajna krowiego na opał.

Zaszokowało nas pierwsze zetknięcie się z Kazachami, Boże, jacy oni są wszyscy jednakowi! Różnią się co prawda między sobą płcią, wiekiem, wzrostem, ale wszyscy mają jednakowo czarne grube włosy, czarne oczy, żółtawe twarze, wystające kości policzkowe, skośne oczy, płaskie nosy. Dopiero po kilku tygodniach nauczyliśmy się rozróżniać ich, rozpoznawać w masie poszczególne osoby.

Nas, dzieciaków, zaciekały bardzo stroje małych dzieci kazachskich. Dzieci te, od niemowlęcia gdzieś do piątego-szóstego roku życia, nosiły kaftaniki z przyszytą do nich wielką ilością rozmaitych monet, wyglądały jak znani ze zdjęć i obrazów znakomici dowódcy, jak bohaterowie udekorowani orderami i medalami. Kazachowie wierzą, że noszenie takich kaftaników zapewni ich dzieciom bogatą i szczęśliwą przyszłość. Im więcej monet na kaftaniku, tym lepsze perspektywy życiowe. Wielu z nas przywiozło ze sobą polskie monety, dawaliśmy je dzieciom Kazachów i wśród innych monet na ich piersiach zaczął dumnie królować polski ofeż w koronie.

Wróćmy jednak do prozy życia codziennego. Trzeba było coś jeść i pomyśleć jak dalej żyć. Jak "przywyknąć, aby nie zdechnąć". W zasadzie każda z polskich rodzin przywiozła ze sobą jakieś pieniądze, my mieliśmy około trzysta rubli, uzyskane jeszcze w Kutach ze sprzedaży owoców z naszego sadu. W sklepach Czałabaju można było kupić mięso, kilka rodzajów kasz, makaron, nabiał, cukier, dwa rodzaje cukierków, wódkę i wino, perfumy i wodę kolońską, prymitywne zabawki, przybory szkolne, kreton i głośniki. W godzinach rannych sprzedawano chleb, po jednym bochenku dla rodziny. Ekspedientki, znając osobiście wszystkich swoich klientów, nigdy się nie myliły i nie sprzedawały nikomu drugiego bochenka. Stąd chyba wynikało pieczenie placków /tzw. lepioszek/ w rodzinach, gdzie było więcej dusz do nakarmienia.

Dyrektor sowchozu zjawił się u nas po kilku dniach i oznajmił, że każdy chętny otrzyma pracę, że w sowchozie dla każdego znajdzie się zajęcie.

Przez dłuższy okres - oprócz mojej mamy - do pracy nie zgłosił się nikt. Ludgie mieli pieniądze, a w sklepach było co kupować. Ci, którzy pieniędzy nie mieli lub ci, którym się one skończyły, zaczęli sprzedawać przywiezione ze sobą rzeczy. Miejscowa ludność słono za nie płaciła, szczególnie za damskie buty i sukienki i za odzież dziecięcą. Oni po raz pierwszy w życiu zobaczyli tak piękne rzeczy, płacili bez targowania się, pieniędzmi lub żywnością. Nagabywali nas codziennie o sprzedanie im czegośkolwiek.

W tej sytuacji nasze panie ani myślały iść do pracy, wolały przejadać przywiezione pieniądze oraz rzeczy swoje i swoich dzieci. Twierdziły, że nie będą "pracować na sowietów", liczyły na rychłe zwycięstwo naszych sojuszników Anglii i Francji, na pokonanie obydwu naszych wrogów i na szybki powrót do Kraju. A narazie jakoś to będzie. Podobnego zdania byli również nieliczni

między nami mężczyznami.

Moja mama była innego zdania. Mówiła tak:

- Jeśli zacznę sprzedawać nasze rzeczy, to w czym będziemy chodzić? A nawet, jeśli szybko wrócimy do Kraju, to co tam zastaniemy? Tam już wszystko chyba rozgrabiono, na początek trzeba mieć chociażby coś na grzbiecie. Po dwóch tygodniach wahań mama zgłosiła się do dyrektora Sabirowa z prośbą o przyjęcie do pracy.

- Za to, że przyszłaś pierwsza - powiedział Sabirow - dam ci dobrą pracę. Będziesz pomocnicą kucharki w stołówce polowej, od jutra do końca września. Dostaniesz 80 rubli na miesiąc i bezpłatne obiady dla siebie i dla dziecka. A później też dam ci dobrą pracę.

Stołówka mieściła się w niedużym baraku na stepie, prawie dwa kilometry od sowchozu. Czynna była od wiosny do jesieni, wydawano w niej obiady dla brygad polowych. Były to obiady jednodaniowe: pół litra zupy /przeważnie krupniku/, do której wkładano dość duży kawałek gotowanej baraniny lub wołowiny. Do zupy dodawano stugramową porcję chleba. Kucharką, przełożoną mojej mamy, okazała się pani Wasilewska, Polka z Ukrainy, zesłana do Kazachstanu przed kilku laty. Dobrze mówiła po polsku, chciała z dziwnym akcentem. Była bezdzietna. Ciągłe czekała na wiadomość od swego męża, którego aresztowano jeszcze na Ukrainie i od tej pory ślad po nim zaginął. Gdy mama zaczęła z nią pracować, z miejsca stałem się jej ulubieńcem i pupilem. Karmiła mnie obiadami nie w sali stołówki, ale w kuchni, jadłem ile chciałem i jeszcze na wynos dostawałem od niej codziennie po kilka porcji mięsa i chleba, więc razem z mamą mieliśmy też co zjeść na kolację. Sami przyrządzaliśmy sobie tylko śniadania.

Inni Polacy, kobiety i mężczyźni, zaczęli zgłaszać się do pracy po kolei znacznie później, gdy stopniały ich zasoby finansowe i rzeczowe. Dyrektor przydzielał ich do prac coraz gorszych i coraz bardziej uciążliwych, od prac polowych zaczynając, poprzez pracę przy budowie mostu i nowej drogi łączącej sowchoz z polami uprawnymi, aż do prac w kamieniołomach wapiennych, gdzie wśród kłębowisk jadowitych żmij ręcznie, łomami odłupywano bloki skalne, kruszono je młotami, urobek ręcznie ładowano na podwozy, zawożono do dwóch dużych pieców i wypalano z nich wapno. Dla wszystkich dzienne normy wydajności, a zarządzeniem dyrektora wprowadzono sprzedaż chleba dla Polaków dopiero po pracy, w ilości jednego kilograma na osobę, po okazaniu w sklepie potwierdzenia wykonania dziennej normy pracy. Za przekroczenie normy można było kupić

więcej chleba,, Dyrektor nazwał to "trudowym pieriewaspitanijem", czyli reedukacją Polaków przez pracę. Tylko jedna z pań, dentystka, otrzymała pracę w swoim zawodzie.

My, dzieci, narazie spędzaliśmy czas beztrosko. Jeden z nas, trzynastoletni wówczas Staszek Draguła, zorganizował tajną drużynę harcerską, do której ja też należałem. Uczył nas musztry i podchodów i piosenek harcerskich, a także wyszukiwania wśród stepowych traw stepowego czosnku i pewnego rodzaju badyli o smaku pomarańczowym, z których z lubością wysysaliśmy sok. Mogliśmy sobie pozwolić na te harce beztroskie, bo w maju do szkoły nas nie przyjęto, zalecono rodzicom, by dzieci w kontaktach z miejscowymi rówieśnikami poduczyły się języka rosyjskiego, a do szkoły będą przyjęte we wrześniu, w nowym roku szkolnym.

W owym czasie nauczyłem się łowić ryby. Rzeka Kyzżyłka obfitowała w ryby - płocie, leszcze, miętusy, szczupaki, okonie, węgorze i inne gatunki. Miejscowa ludność łowiła ryby sieciami i wędziami. Polacy łowili ryby na wędki, sporządzone z kijów łozowych i z włosia z końskich ogonów. Haczyki wykonywał w kuźni zatrudniony tam jako "mołotobojec" Polak Staszek Bednarz, słynący z olbrzymiej siły - sam jeden potrafił unieść w górę przód traktora, czym wzbudzał respekt i szacunek dla siebie u wszystkich mieszkańców Czałabaju. Najbardziej zapalonym wędkarzem wśród Polaków był staruszek pan Wielgosz, który szybko wykrył, że ryby z Kyzżyki najlepiej biorą na pasikoniki. A ponieważ pan Wielgosz nie potrafił łowić pasikoników ze względu na swój wiek i słaby wzrok, zabierał mnie ze sobą na ryby, ja łowiłem dla niego pasikoniki, zawsze dostając wzamian kilka złowionych przez pana Wielgosza rybek. Sam stałem się wędkarzem w dniu, w którym pan Wielgosz widząc branie na jednej z wędek, mnie pozwolił rybę z wody wyciągnąć. Udało się, a tą pierwszą moją rybą był duży okoń. Od tej pory wędkowaliśmy już wspólnie, pasikoniki łowiłem nadal, dla nas obu.

W sierpniu na polu sowchozowym sypnęło zbożem. W Kazachstanie zboża udają się przeciętnie co trzy lata, w pozostałych latach na skutek suszy zbiera się zboża bardzo mało lub wcale. W roku 1940 jednak sypnęło. Na pola wyjechały sowchozowe kombajny /tak, już były!/, samochody i podwozy. Trzeba było zwozić zboże do magazynu, a w nim mieszkają przecież Polacy! Co z nimi zrobić? Dyrektor zdecydował, aby przenieść Polaków do dużej krowiej obory. Bydło w tym czasie przebywało na dalekim letnim wypasie. W ciągu paru godzin przekwaterowano wszystkich do tej obory.

Obora miała około 50 metrów długości, środkiem była

wybetonowana, a po obu stronach wzdłuż obory były pojedyncze, odgródzone od siebie boksy dla krów, z kamiennymi żłobami i takimiż posadzkami. Zajęliśmy z mamą jeden boks, nasze skromne mienie ulokowaliśmy pod żłobem. Ja spałem w żłobie, a mama na posadzce obok żłobu. Jak by się to dziwnym nie wydawało, dzięki przeprowadzce do obory nasze warunki polepszyły się, przede wszystkim dlatego, że w oborze było jasno - nad każdym żłobem w oborze było okno.

- Co będzie, jak bydło wróci z pastwisk, co wtedy zrobię z Polakami? - zastanawiał się głośno Sabirow.

Po paru dniach znalazł wyjście. W centrum sowchozu stała jakaś niedokończona budowla z niepalonej cegły. Były to tylko nie zadane mury z oszodołami okien i otworem na drzwi. Wzdłuż budowli środkiem biegł korytarz, po obu stronach korytarza stały izby - jeśli dobrze pamiętam, po 5 z każdej strony - o wymiarach mniej więcej 6 na 6 metrów każda.

Postanowiono szybko dokończyć tę budowę i jeszcze przed zimą osiedlić w niej Polaków. Do tej pracy skierowano wszystkich mężczyzn Polaków, trochę kobiet i kilku miejscowych robotników - fachowców. W każdej izbie postawiono gliniany piec z metalową płytą, dach zbudowano z belek, na których ułożono wiązki karagany, na karaganę narzucano słomy, słomę przysypano gliną - i dach był gotowy. Najgorzej było z oknami i drzwiami, gdyż w stepowym Kazachstanie zawsze brak drewna. Znalezione tylko tyle drewna, że starczyło go na wykonanie pojedynczych okien. Na drzwi i podłogi drewna zabrakło.

Pod koniec września do tego budynku przeprowadzono z obory wszystkich Polaków. My, razem z czterema innymi jeszcze rodzinami, zajęliśmy ostatnią izbę po lewej stronie korytarza. Wspólnie z nami zamieszkali: moja ciotka Stefania Dziduchowa z czworgiem dzieci, żona burmistrza z Kosowa Stanisława Pilichowska z siedmioletnim synem Rudolfem, pani Koczwarowa z siedmiorgiem małych dzieci i dentystka /nazwiska nie pamiętam/ z dwójką dzieci. 20 osób na trzydziestu sześciu metrach kwadratowych! W pierwszych dniach spaliśmy wszyscy pokotem na glinianej podłodze. Później kupiliśmy u miejscowego rzemieślnika Gusiewa wiklinowe prycze, po 5 rubli za sztukę. Prycze ustawiliśmy na podporach z samanów, wyścieliliśmy je sianem i słomą, na to pościel i już mieliśmy luksusowe spanie. W izbie zmieściło się tylko 5 prycz, więc każda rodzina, niezależnie od ilości osób, musiała pomieścić się na jednej prycze. W innych izbach było nieco luźniej, bo każdy chciał miesz-

kać jak najdalej od tych drzwi bez drzwi wejściowych.

We wrześniu skończyła się praca mojej mamy w stołówce. Dyrektor Sabirow dotrzymał słowa, skierował mamę i jej szefową Wasilewską do pracy w mleczarni. Do mleczarni zachodziłem codziennie, niby to z jakąś wiadomością dla mamy, a w rzeczywistości by najeść się masła i sera, napić się maślanki i śmietany. Do domu mama też codziennie trochę nabiału przynosiła.

W połowie października nadeszła zima, a w listopadzie nastąpiły 30 - 40-stopniowe mrozy. Otwór drzwiowy w izbie zasłoniliśmy pięcioma kocami, każda z rodzin dała po jednym kocu. Okno do połowy wysokości zasłoniliśmy sianem i szmatami. W piecu paliliśmy cały dzień bez przerwy kiziakami podkradanymi miejscowym i karaganą, wyrąbywaną przez nas siekierami u podnóża sopek, prawie kilometr od naszej siedziby. A mimo to ściany, podłoga i koce na drzwiach pokryły się grubą warstwą szronu, a szyby okienne jeszcze grubszą. Woda, przynoszona do izby na noc z odległej studni lub z rzecznej przerębla, zamarzała w nocy w wiadrze do dna.

W takich warunkach mieszkaliśmy do połowy grudnia. Ja, przyzwyczajony do spania z rękami na pościeli, w tej izbie odmroziłem sobie wszystkie palce u rąk. Inne dzieci i dorośli też podmrażali sobie ręce lub nogi, a małeństwa pani Koczwarowej dostały ponadto okropnej biegunki i zapadły na krzywicę.

Pewnego dnia w połowie grudnia, z samego rana /było jeszcze ciemno/, do naszej izby weszło dwóch mężczyzn. Poprosili o zapalenie świec, gdyż w naszym budynku elektryczności nie było. Okazało się, że był to dyrektor Sabirow w towarzystwie jakiegoś niskiego, grubego, rudego, o czerwonej twarzy człowieka, odzianego w płaszcz skórzany, z przewieszoną przez ramię raportówką. Człowiek ten najpierw pośliznął się na szronie podłogowym i omal nie upadł, potem sprawdził grubość szronu na ścianie, zdrapując go aż do muru paznokciem. Następnie popukał palcem w lód w wiadrze, po czym obrócił wiadro dnem do góry i uderzył nim o podłogę. Z wiadra wyskoczyła na podłogę błoźkowa bryła lodu /w moich oczach była to piękna babka lodowa/. Rudy człowiek w skórze zapytał Sabirowa:

- Dyrektorze, kto tu mieszka?

- Polacy - odpowiedział Sabirow.

- Jeszcze raz pytam ciebie, poważnie, kto tu mieszka?

Sabirow nareszcie zrozumiał pytanie Rudego i nieswoim głosem odpowiedział:

- Ludzie. Kobiety i dzieci.

- Daję ci dwie godziny czasu - powiedział Rudy - na stworzenie ludziom ludzkich warunków. Dokwateruj, do kogo się tylko da,

po jednej polskiej rodzinie. Do siebie weź dwie rodziny, tym masz duże mieszkanie. Wykonać i to już! Ruszaj!

Sabirow, jak oparzony, wybiegł organizować ludzi i transport, a Rudy podszedł do pryczy, zajmowanej przez Pilichowską. Obok jej poduszki leżała Biblia, którą, ku pokrzepieniu serc, pani Pilichowska czytywała nam wieczorami na głos. Rudy wziął Biblię do ręki, przewertował parę kartek i delikatnie położył ją z powrotem na swoje miejsce. Po czym otworzył swoją wypchaną raportówkę i wyjął z niej prawie podobne objętościowo dzieło, z wytłoczonym na czerwonej okładce nazwiskiem "Karł Marks". Powiedział:

- To dzieło trzeba czytać! Biblię wyrzucić, to trucizna. Syna trzeba dobrze wychować, na naukach Marksa.

I schował swoje dzieło znów do raportówki, nie zostawił go Pilichowskiej. Może dlatego wychowała ona źle swojego syna - Rudolf mieszka obecnie w Stanach Zjednoczonych.

Rudy wychodząc powiedział nam "dowidzenia", ale nigdy więcej nie widzieliśmy go, nie poznaliśmy nawet jego nazwiska ani stanowiska w Semipałatyńsku, skąd przyjechał na jakąś kontrolę do Czałabaju, a przy okazji radykalnie polepszył nasz psi los. Chwała ci za to, Rudy!

Zaraz po wyjściu Rudego pod naszą siedzibę zaczęły podjeżdżać pierwsze sanie. Żądowano na nie ludzi i resztki ich rzeczy. Sabirow znów wpadł do naszej izby i powiedział szeptem do mojej mamy:

- Marusia, będziesz mieszkać u mnie. Weź ze sobą jeszcze jedną dobrą kobietę, z jednym dzieckiem.

Mama chciała mieszkać z kuzynką Dwiduchową, ale ta miała czworo dzieci. A polecenie Sabirowa było wyraźne: kobieta z jednym dzieckiem. Wybór mamy padł na panią Pilichowską. W ten sposób u Sabirowa wilk był syty i owca cała: wykonał rozkaz Rudego, wziął do siebie dwie rodziny, ale tylko cztery osoby.

Ze swego mieszkania Sabirow wydzielił dla nas jeden nieduży pokój, z łózkami, stołem i krzesłami. Innych mebli nie było. Duży, wmontowany w ścianę kaflowy piec ogrzewał naraz dwa pokoje: nasz i jeden z pokoi Sabirowa. Palenisko było w jego pokoju, więc opał i palenie w piecu było jego zmartwieniem. Podłoga była drewniana, okna podwójne, drzwi solidne i szczelne. Po pobycie w zatłoczonym i ciemnym magazynie zbożowym, w cuchnącej i kamiennej oberze oraz w glinianym i mroźnym baraku, teraz poczuliśmy się jak w raj.

Dla Sabirowa pozostały w mieszkaniu trzy pokoje i kuchnia. On, sam Tatarzyn, miał żonę Rosjankę i śliczną córeczkę Julę, o rok młodszą ode mnie. Wkrótce bardzo ją polubiłem, a jeśli można mówić o miłości w tym wieku - pokochałem.

Zbliżało się Boże Narodzenie i Nowy Rok 1941, nasze pierwsze, smutne święta na obczyźnie. O choince na stepach Kazachstanu nie można nawet marzyć, ale dwie i to duże choinki do sowchozu jednak sprowadzono i ubrano je bardzo ładnie - jedną w największym pokoju u Sabirowa, drugą w szkole.

Zastanawiałem się, jak uświetnić zbliżające się Boże Narodzenie, żeby choć trochę przypominało dawne radosne święta i żeby sprawić miłą niespodziankę mamie. Postanowiłem, w tajemnicy przed wszystkimi, zrobić szopkę. Szkielet szopki wykonałem, z nie małym trudem, swymi odmrożonymi palcami, z Mętych prętów karagany. Ściany i dach okleiłem papierem. Żłób zrobiłem również z karagany i wymościłem go sianem. Figurki świętej Rodziny wlepiłem z chleba, doklejając im twarze wycięte z obrazków, znalezionych w mamy księżeczce do nabożeństwa. Z chleba ulepiłem też figurki trzech króli, pasterzy, aniołów i bydlatek. Dach i dół całej szopki dokoła oblepiłem watą imitującą śnieg. Na szczycie szopki na jednym patyczku umocowałem gwiazdę betlejemską, na drugim naszą biało-czerwoną i szopka była gotowa. Schowałem ją w przydomowej stajni.

Do skromnej kolacji wigilijnej zasiedliśmy we czwórkę: mama, ja, pani Pilichowska i jej syn Rudek. Zamiast opłatkiem, dzieliliśmy się cieniutkim podpłomykiem, upieczonym przez mamę na płycie kuchennej. A kiedy kobiety po złożeniu sobie i nam życzeń zaczęły płakać, wybiegłem do stajni i przyniosłem swoją szopkę. Kobiety najpierw popłakały się jeszcze bardziej, ale potem poweselały i przy szopce długo wszyscy śpiewaliśmy kolędy. Cichutko, by nie przeszkadzać Sabirowym, którzy świąt nie obchodzili.

Chcę jeszcze wspomnieć o mojej nauce w czałabajskiej szkole. Naukę rozpocząłem we wrześniu w trzeciej /po raz trzeci/ klasie. Chodziłem do szkoły aż do grudnia, do dnia, w którym na jednej z lekcji zapoznawano nas z teorią Kopernika - wielkiego uczonego niemieckiego. Tak było napisane w podręczniku!

Podniosłem dwa palce do góry i kiedy nauczycielka zapytała, o co mi chodzi, powiedziałem:

- Kopernik był Polakiem.
- Siadaj i nie przeszkadzaj - zgniła mnie nauczycielka - jeśli w podręczniku napisano, że był Niemcem, to był Niemcem.
- Kopernik był Polakiem! - krzyknąłem na cały głos.

- Natychmiast wyjdź z klasy i nie wracaj do szkoły bez swojej mamy - padło z ust nauczycielki.

Na drugi dzień poszedłem do szkoły z mamą. Dość długa rozmowa mojej mamy z nauczycielką i z dyrektorem szkoły Michajlenką spęzła na niczym, mama też nie dała się przekonać do niemieckości Kopernika. Wzięła mnie za rękę i powiedziała dyrektorowi:

- Do takiej szkoły mój syn chodzić nie będzie. A poza tym nie ma zimą w czym chodzić, brak mu piżmów /walonek/, w bucikach nogi mu przemarzają. Ma też palce odmrożone i nie może pisać.

Po wyjściu ze szkoły mama powiedziała:

- Lepiej żebyś nie chodził do takiej zakłamanej szkoły. Nadrobisz straty, gdy wrócimy do Polski. A narazie ucz się sam, dużo czytaj, trochę ja ci pomogę w nauce, na ile potrafię. Idź do domu sam, ja muszę iść do pracy.

Do końca pobytu w ZSRR do szkoły już nie chodziłem. Nie było jednak u mnie dnia bez książki w ręku - polskiej lub rosyjskiej, a później i kazachskiej. Prawie każda z polskich rodzin przywozła ze sobą jakieś polskie książki, wypożyczaliśmy je sobie nawzajem, ja przeczytałem wszystkie, jakie tam były.

Muszę na chwilę powrócić do pierwszego okresu naszego pobytu w Czałabaju. W początkach czerwca 1940 roku rozpoczęło się tu przymusowe wydawanie Polakom sowieckich dowodów osobistych, tzw. paszportów. Wszystkim dorosłym rozdano ankiety do wypełnienia. W jednej z rubryk należało wpisać swoją narodowość. Między Polakami zaczęły się dyskusje: jak, z największą dla siebie korzyścią, wypełniać ankiety. Pani o niemieckim nazwisku B. namawiała moją mamę:

- Napisz, że jesteś Niemką. Nazwisko Szuwart można uznać za niemieckie. Niemcy nas stąd wyciągną, a u nich będzie nam lepiej, niż tutaj.

Ciotka Dwiduchowa doradzała mamie:

- Napiszmy, że jesteśmy Ormiankami, przecież nasza babka była Ormianką. Może jako Ormiankom pozwolą nam wrócić do domu, albo chociaż przenieść się do Armenii, tam będzie lepiej.

Niektórzy, zwłaszcza ci z nazwiskami o końcówce "uk" zastanawiali się, czy dla polepszenia losu nie wpisać sobie narodowości ukraińskiej.

Przy takich rozmowach moja mama pukała się tylko w czoło, mówiąc:

- Mój mąż żył, walczył i zginął jako Polak. Miałam polskich przodków. Mam polskie dziecko. Chcę wrócić do Polski, jestem Polką i pozostanę nią na zawsze.

Tylko pani B. wpisała sobie narodowość niemiecką, a jeden samotny staruszek ukraińską. Tragicznie to się dla nich skończyło.

Ale o tym później. Wróćmy do Sabirowych.

Jula wchodziła do naszego pokoju, kiedy tylko chciała. Po Wigilii szopka została na stole w naszym pokoju. Nazajutrz Jula dostrzegła ją.

- Jaki ładny domek - zaszcebiotała - powiedz, Staśka, co to jest, kto to zrobił?

Opowiedziałem Juli, najlepiej jak umiałem, dzieje narodzin Boga - Chrystusa. Jula zapytała:

- A kto to jest Bóg?

- Bóg to jest ten, kto stworzył niebo i ziemię, księżyc i gwiazdy, rośliny i zwierzęta, a na końcu człowieka. A człowiek, przy pomocy Boga, tworzy całą resztę na ziemi. Na przykład domy, mosty, traktory, chleb, masło.

Może była to pierwsza indywidualna lekcja religii w sowieckim Kazachstanie?

Na dwa dni przed Nowym Rokiem 1941 Sabirow polecił mojej mamie i pani Pilichowskiej nie iść do pracy, ale pozostać w domu.

- Przyjdą tu jeszcze inne kobiety - powiedział - i razem przygotujecie noworoczne przyjęcie dla dzieci przodowników pracy. Waszych synów też zapraszam.

Żona Sabirowa odciągnęła moją mamę na bok i uprzedziła ją:

- Do pomocy przyjdzie też moja mama. Trzymajcie przy niej język za zębami. To zawzięta komunistka. Własnoręcznie paliła cerkwie i wieszala popów. Rozkułaczała bogaczy.

W dzień Nowego Roku 1941 mieszkanie Sabirowa zaroilo się od dzieciarni. Częstowano dzieci herbatą, konfiturami z żurawiny, blinami, ciasteczkami i cukierkami. Dzieci deklamowały wiersze, śpiewały i tańczyły wokół choinki. Z jedynej posiadanej płyty co pewien czas odtwarzano na gramofonie piosenki "Kalinka" i "Suliko". Dziadek Mróz w towarzystwie Śnieguroczki rozdawał prezenty: jabłka, słodycze i zabawki.

Pozostałe dzieci z sowchozu bawiły się w szkole.

Podczas imprezy Juła opowiedziała dzieciom, że Staśka /tak mnie nazywała/ zbudował i ma u siebie domek, w którym Bóg się narodził. Gdy dorośli poszli do kuchni, by posilić się i coś wypić, dzieciaki zaczęły mnie prosić: pokaż, Staśka, ten domek!

Zaprosiłem dzieci do naszego pokoju, ledwo się pomieścili. Stół z szopką ustawiliśmy pośrodku pokoju. Opowiedziałem znów - tym razem dla około trzydziestu słuchaczy - o narodzinach Jezusa i o wszystkich postaciach z szopki.

Może była to pierwsza zbiorowa lekcja religii w Kazachstanie?

Szopka była nie oświetlona, a każdy z dzieciaków chciał jak najlepiej zobaczyć wnętrze szopki. Przyniosłem z choinki jedną zapaloną świeczkę i wstawiłem ją do szopki. Zaczęły się przepychanki i w końcu ktoś szopkę przewrócił, od zapalanej świecy zajęła się wata, w parę sekund cała szopka zapłonęła jak pochodnia i po szopce pozostała w pokoju tylko czarna chmura dymu.

Następnego dnia Sabirow powiedział mojej mamie:

- Nakaż Staśce, by nigdy więcej nie bałamucił naszych dzieci. U nas Boga nie ma i nie będzie. Zrozumiałas?

- Bóg jest zawsze i wszędzie - odrzekła mama.

I na tym skończyła się historia mojej szopki.

Wkrótce po Nowym Roku spadł obfity śnieg, pokrywając grubą warstwą okoliczne stepy i pola uprawne.

Trzeba wiedzieć, że w tej części Kazachstanu, gdzie nas osiedlono, opady atmosferyczne zarówno letnie jak i zimowe, są niezwykle rzadkością. A ponieważ odgólnie nakazano przekształcić duże połacie stepów w pola uprawne, trzeba zapewnić glebie odpowiednią ilość wilgoci, przez nawadnianie lub innymi sposobami. Jednym ze sposobów jest "śniegozadierżanije", czyli sztuczne zatrzymanie na polach jak największych ilości śniegu, który topniejąc na wiosnę zapewnia roślinom wilgoć, przynajmniej w początkowym okresie ich wegetacji. Niestety, śnieg z pól jest zimą doszczętnie zwiewany przez częste i silne wiatry, zwane buranami. Zmiatany z pól, śnieg zatrzymuje się tylko na przeszkodach naturalnych lub sztucznych, jak na przykład domy, które zasypuje po same kominy. Trzeba zatem ustawiać na polach uprawnych sztuczne przeszkody dla zatrzymania śniegu. Można by ustawiać specjalne płotki, ale na stepach brak drewna. Znalezione więc proste, a równocześnie genialne rozwiązanie: śnieg na polach zatrzymuje się przy pomocy... śniegu! Po opadach śniegu ludzie wyruszają na pola, szpadlami tną śnieg na duże prostokątne bryły i formują z nich piramidki, wysokości do dwóch metrów, jedną obok drugiej. Setki, tysiące takich piramidek formuje się na połaciach ziemi uprawnej. Później burany nawieją na piramidy śnieg ze stepów, pola pokryją się grubą warstwą śniegu, który wiosną da glebie dużo wilgoci.

W sowchozie zawrzało. Dyrektor i brygadziści nakazali wszystkim porzucić swoje zajęcia i zająć się od dnia następnego "śniegozadierżaniem" na polach, odległych od osady w granicach od jednego do sześciu kilometrów. Pogoda była słoneczna i mroźna, temperatura spadła do minus 40 stopni Celsjusza. Wszystkim wręczono

szpadle i wczesnym rankiem pieszo wyruszone na pola.

Miejscowi poszli do tej pracy odziani co najmniej w waciki, czapki uszanki i walonki na nogach, lub w odzieży ze skór baranich. Polki poszły do pracy w jesionkach lub w innych wiatrem poszytych płaszczach, w chustkach na głowach i w obuwi przywiezionym z Polski, tu zupełnie zimą nie przydatnym. Nikomu z Polaków sowchoz nie dał ubrań roboczych. Po paru dniach tej ciężkiej pracy na silnym mrozie, większość Polek zległa z wysoką gorączką, moja kuzynka Mietka Dziduchowa zmarła, a wszystkie doznały odmrożeń. Moja mama, po odmrożeniu sobie palców u rąk i nóg oraz łydek, za resztę posiadanych pieniędzy kupiła spodnie watowane, kufajkę, czapkę uszankę oraz walonki dla siebie i dla mnie. Mądry Polak po szkodzie...

Po zbudowaniu śnieżnych piramid wszyscy wrócili do swych poprzednich zajęć /mama do mleczarni/ i w miarę szczęśliwie przetrwaliśmy tę pierwszą dla nas, surową Kazachstańską zimą.

Korzystałem nawet z uciech zimowych, mając na nogach walonki. Jula miała sanki, prawie codziennie wozikiem ją na nich, lub razem zjeżdżaliśmy z różnych pagórków. Dzięki roztropności mojej mamy miałem jeszcze w co się ubrać, byłem też syty. Mieszkałiśmy przecież u dyrektora sowchozu. Dyrektor i jego żona szybko żyli się z moją mamą i z panią Pilichowską, nieraz jadaliśmy wspólnie posiłki. Z żywnością nie było większych kłopotów, bo dyrektor wysyłał swoją żonę lub moją mamę do magazynów sowchozowych, z odręcznie pisanymi kartkami: "wydać 5 kg mąki", "wydać 5 kg mięsa", "wydać 5 kg cukru", "wydać 2 kg masła" etc. etc., przy czym zaznaczał:

- Tę kartkę pokaż magazynierowi, ale mu jej nie zostawiaj, przynieś ją z powrotem do mnie.

Pobieraną w ten sposób z magazynów żywnością dyrektor często dzielił się z nami.

W wielu rodzinach działo się jednak gorzej, niektórym wręcz głód zaczął zaglądać w oczy. Ci, co wyprzedali lub wymienili za żywność wszystkie swoje rzeczy, sami zaczęli chodzić w łachmanach. Z nędznych zarobków w granicach 60 - 90 rubli miesięcznie bardzo trudno było wyżywić rodzinę, zwłaszcza liczną. Mało kto pracował przy takich zajęciach, gdzie można było i samemu coś zjeść i dla dzieci do domu coś przynieść, jak np. w oborze udojowej, w mleczarni czy w magazynach żywnościowych. Do niektórych polskich rodzin zawitała taka bieda, że matki zaczęły wysyłać swe małe dzieci na żebry do miejscowych.

Na całe życie utkwiał mi w pamięci obraz, który dotknął

mnie do żywego jako Polaka, napełnił mnie goryczą, wstydem i upokorzeniem. Oto jedna z matek, której nazwiska nie wspomnę, wysłała w mroźny dzień na żebry dwie swoje małe córki, na oko pięciosiedmioletnie. Dziewczynki miały na sobie letnie sukieneczki, główki i plecy owinięte miały chustami, a małe stópki szmatami. Dziewczynki chodziły od domu do domu, stukały małymi piąstkami do drzwi, a kiedy ktoś się w nich pokazał, rozpoczynały niby-taniec, takie śmieszne i żałosne podrygiwania, śpiewając równocześnie po ukraińsku taką ohydną piosenkę:

- Jak ja buła mołodaja, to ja buła krasna
i dawała pindzi-rindzi za kawałok masła.
- Jak ja buła mołodaja, to ja buła szczyra
i dawała pindzi-rindzi za kawałok syra.

Po odśpiewaniu tej wstrętnej piosenki, której zapewne mama je nauczyła, dziewczynki kłaniały się aż do ziemi i prosiły o jałmużnę...

Po każdym śniadaniu wypychałem kieszenie resztkami /i nie tylko/ z naszego i z dyrektorskiego stołu, szukałem dziewczynek, dawałem im jado i gonilem je do domu, ale matka znów wyganiała je na żebry. A była to młoda jeszcze i zdrowa kobieta, przy większym wysiłku mogła uchronić swoje dzieci i nas wszystkich od takiego upokorzenia.

Na wiosnę 1941 roku część Polaków i Polek skierowano do pracy w kamieniołomach wapiennych i przy wypalaniu wapna w odległej od Czałabaju o 4 kilometry miejscowości "Hurt Akkoj" i w jeszcze jednej osadzie, której nazwy nie pamiętam, położonej 7 kilometrów za Akkojem.

Akkoj, malowniczo położony nad rzeką Kzyżką i strumieniem bez nazwy, wśród sopek i przepięknych urwistych skał wapiennych, był osadą bardzo mąką, na wpół opuszczonym aulem kazachskim. W kilku obejściach mieszkali pasterze Kazachowie, kilka domów zbudowanych z żupków wapiennych zasiedlali tylko latem pracownicy kamieniołomów, a kilkanaście zrujnowanych lepierek stało pustych.

Nas zakwaterowano w domu dwuizbowym, składającym się z pokoju i kuchni. W kuchni zamieszkał wysoki, szpakowaty, chudy i flegmatyczny starszy pan Abrahamowicz z trójką synów w wieku od 8 do 12 lat, w pokoju mama ze mną i pani Pilichowska z Rudkiem.

Pan Abrahamowicz wypalał wapno w wielkim piecu nad rzeką, pani Pilichowska gotowała posiłki dla kamieniarzy, a moja mama otrzymała do dyspozycji dwukójkę zaprzęzoną w dorodną klacz i codziennie dowoziła z Czałabaju mleko i produkty żywnościowe

do kuchni, a gotowe posiłki z kuchni do tego dalszego kamieniołomu. Kobyła miała małego źrebaka, który podczas jazdy żwawo biegał przy dwukółce. Tak więc znów nam się udało: praca przy żarciu, w dodatku mama dojąc kobyłę podkradała mleko źrebakowi, dzięki czemu piliśmy z Rudkiem codziennie po kubku kobyłego, zdrowego mleka.

W kamieniołomach i przy piecach wapiennych pracowano bardzo ciężko, posługując się wyłącznie łomami, łopatami i własnymi rękami. Śniadania i kolacje robotników składały się ~~składały się~~ z kubka mleka i kromki chleba, czasami dodatkowo twarogu. Ich obiady składały się z talerza zupy z niedużą wkładką mięsną i porcji chleba. Nie zaspakajało to ich wilczego wprost apetytu, poza tym z posiłków mogli korzystać tylko robotnicy, a nie członkowie ich rodzin. Sklepów na miejscu nie było, z Akkoju chodzono pieszo co parę dni na zakupy do Czałabaju, a ludzie z dalekiego Kamieniołomu czynili zakupy za pośrednictwem mojej mamy, jeżdżącej codziennie tam i z powrotem. Starano się też zdobywać jakiegokolwiek pożywienie innymi sposobami, najczęściej robiły to dzieci. Na stepach zbierano rosnące gdzie niegdzie pieczarki, a z braku tłuszczu przypiekano je tylko na płytach kuchennych lub spożywano na surowo. Łowiono ryby w rzece, podbierano jaja z gniazd ptasich, uwitych w stepowych trawach lub w zaroślach karagany i tak dalej.

Trójka synów pana Abrahamowicza dzień w dzień spędzała czas na połowach ryb i nie było w zasadzie dnia, by wrócili oni bez okazałej zdobyczy - dorodnego szczupaka lub okonia. Zaraz po powrocie z "rybałki" zabierali się do sprawiania zdobyczy i gotowania zupy rybnej, doprawiając ją solą, stepowymi cebulkami i czosnkami oraz jakąkolwiek kaszą. Chłopcy byli zawsze tak głodni, że już w trakcie gotowania zjadali prawie całą zupę, niby to próbując nieustannie jej smak i gotowość. Złowioną rybę zawsze dzielili na pięć części - po jednym kawałku dla siebie, a dwa kawałki dla ojca, który ciężko pracuje i powinien więcej zjeść. Owe dwa kawałki dla ojca, to były zawsze ogon i głowa, środek ryby chłopcy zjadali sami. Wysoki, kościsty, dostoyny pan Abrahamowicz, po powrocie z morderczej pracy, powoli i z niezwykłym namaszczeniem delektował się przyrządzoną przez synów rybą i zupą rybną. Złowione małe rybki Abrahamowiczowie jadali na kolacje, przypiekając je - nawleczone na patyki - nad ogniskiem.

Rudek i ja też mieliśmy większy apetyt niż możliwości jego zaspokojenia. I my wybieraliśmy z gniazd malutkie, piękne, różnokolorowe jajeczka ptasie, z których, niestety, po ugotowaniu

część trzeba było wyrzucić, bo albo okrutnie śmierdziały, albo zamiast białka i żółtka ukazywało się nam ugotowane pisklę...

Wkrótce dokonaliśmy odkrycia, że zamiast jaj lepiej opłaca się wybierać z gniazd żywe ptaszki. Do tego wymuszonego głodem barbarzyństwa nadawały się wyłącznie wróble, których wielka ilość uwiła swoje gniazda pod okapami dachów we wszystkich zamieszkałych i opuszczonych chatach Akkoju. O zmroku, gdy wróble zleciały już na noc do swych gniazd, wychodziliśmy z Rudkiem na łowy. Jako starszy i silniejszy stanowiskiem "platformę, a Rudek stawał mi nogami na barkach, zapuszczał rękę do gniazda i wyciągał zeń oszołomionego wróbla. Za każdym razem przynosiliśmy po 20 - 30 wróbli, co starczało na kolację dla nas i dla naszych mam. Inni chłopcy też łowili wróbelki i mniej więcej po dwóch miesiącach w Akkoju wróbli prawie nie było.

W końcowym okresie ptasich łowów przeżyłem moment grozy. Rudek wsadził rękę do gniazda i nagle zaczął liczyć:

- Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć...
- Coś ty, tyle wróbli w jednym gnieździe? - spytałem.
- Nie, to chyba małe źmijki - odrzekł Rudek.

Odskoczyłem od ściany jak oparzony, ze strachu, że któraś ze źmijek wyląduje mi za kołnierzem. Rudek z koskotem wylądował na ziemi, ale nic mu się nie stało. Po tym wydarzeniu daliśmy wróblom spokój, chodziliśmy już tylko na ryby. Tu też miałem z nim groźną przygodę, bo pewnego razu Rudek wpadł do głębokiej wody i omal nie utonął, ale ja umiałem już dobrze pływać i wyciągnąłem go na brzeg.

Nam, dzieciakom, w Akkoju dotkliwie brakowało słodczy. Na szczęście żył tam pewien rodzaj os czy też pszczoł, które pod kamieniami na sopkach lepily sobie szare, jakby azbestowe plastry i napełniały je miodem. Nieduże to były plastry, najwyżej wielkości dłoni. Po wysłedzeniu gniazda owadów odwalaliśmy kamień, szybko oddzieraliśmy przyklepiony do niego plaster z miodem - i w nogi, jak najdalej od gniazda. Ani razu nie byłem użądłony. Już w domu z lubością wysysaliśmy z plastrów miód, czasami wystarczało go też dla naszych mam.

W Akkoju mieliśmy wielkie problemy ze spaniem. W izbach spać się nie dało z powodu niewiarygodnej wprost ilości pluskiew. Złaziły do łóżek ze ścian, spadały na śpiących z sufitu i gryzły wszystkich niemikosiernie. Na nic zdały się próby walczenia z nimi, łowienia i zabijania ich. Były niezwyciężone. Spaliśmy więc na płaskich dachach chat, a tu z kolei przeszkadzały w zasypianiu dochodzące ze stepów ponure wycia wilków oraz przenikliwe piski susłów i innych licznych gryzoni.

Rankiem 23 czerwca 1941 roku, mama jak zwykle pojechała do Czałabaju po żywność. Wróciła z wiadomością, że wszyscy robotnicy kamieniołomów muszą być popołudniu w Czałabaju na wiecu, bo wczoraj Niemcy napadły na Związek Sowiecki i zaczęła się nowa wojna.

Po paru dniach zaprzestano pracy w kamieniołomach, bo wszyscy młodzi i zdrowi mężczyźni /oprócz Polaków/ zostali powołani do wojska, a inni musieli zastąpić ich w ważniejszych i pilniejszych niż w kamieniołomach pracach. Niedługo potem zarekwirowano też dla potrzeb wojska całą sowchozową stadninę koni i cały tabor samochodowy, z którego pozostał tylko stary, zdezelowany dyrektorski kabriolet.

Po powrocie z Akkoju do Czałabaju zamieszkaliśmy znów u Sabirowych, a mama powróciła do pracy w mleczarni.

Miejscowa ludność, nauczona zapewne doświadczeniami z przeszłości, w ciągu kilku dni wykupiła w sklepach wszystkie zapasy. Z kupowanego chleba w każdym domu zaczęto suszyć suchary. Wkrótce w sklepach pozostała tylko wódka, perfumy i głośniki, tzw. "kołchoźniki". Pod koniec lipca ze sklepów znikła wódka, potem miejscowi wykupili i wypili cały zapas perfum, pozostały tylko głośniki. Na chleb, sprzedawany tylko z rana, wprowadzono kartki. Pracującym przysługiwał początkowo kilogram chleba dziennie, członkom ich rodzin, tzw. "iźdiwiencom", pół kilograma.

Wprowadzono bardzo ostre zarządzenia dotyczące dyscypliny pracy, norm pracy i ochrony mienia państwowego, pod czołowym hasłem "Wsio dla fronta". Nieco później wszelkich kierowników obdarzono nieograniczoną władzą i taką odpowiedzialnością na powierzonych im odcinkach. Na każdym kroku pojawiły się transparenty z hasłem "Priказ naczalnika - eto zakon" oraz plakaty i transparenty z napisami: "Rodina mat' zawiot", "My pabiedim", "Nasze dieło prawoje", "Smiert' faszystam" itp. Zabroniono komukolwiek wyjazdów na odległość większą niż 50 kilometrów, co nas, Polaków, szczególnie nie zmartwiło, gdyż i przedtem nie wolno nam było wyjechać choćby tylko do sąsiedniej osady.

Polacy w zasadzie żadnych zapasów nie poczynili, bo i nie mieli już za co i nie mieli takiego doświadczenia, jak miejscowi. A w psychice mieliśmy zakodowane pojęcie o ZSRR jako o "kolosie na glinianych nogach", sądziliśmy, że Niemcy szybko pokonają Sowieców, a po zwycięstwie pozwolą nam na powrót do domów... Wtedy nie przypuszczaliśmy nawet, jak długie jeszcze lata dziela nas od powrotu do Polski.

Zaczynały się ciężkie, coraz cięższe czasy. Każdego dnia z rana ustawiałem się w długiej kolejce po nasze półtora kilograma

chleba, potem z duszą na ramieniu wólizgiwałem się do mleczarni na łyk mleka, maślanki lub twarogu /o śmietanie czy maśle nie było już mowy - za dobrze pilnowali/. Znów łączyłem ryby z panem Wielgo-
szem, żeby mieć co usmażyć i zjeść, gdy mama wróci z pracy. Jeszcze ratowali nas Sabirowowie przynieszoną pod osłoną nocy z magazynów żywnością, ale pod zimę magazyny zostały ogołoczone, zapasy sowchozu zostały zabrane dla armii - "Wsio dla fronta".

Na szczęście, kombajny nie dość dokładnie zebrały z pól i tak liche w tym roku plony. Tu i ówdzie sterczały całe nieraz rzędy niezżętych, marnych kłosów. Kto mógł, jesienią i zimą wyruszał na pola zbierać te kłosa. Też chodziłem codziennie, po dwa - trzy kilometry w jedną stronę i przynosiłem, czasem nawet po kilka kilogramów, pszenicę lub proso. Proso łuszczyliśmy w drewnianej stępie na kaszę jaglaną, pszenicę męliśmy na żarnach i mieliśmy mąkę na zacierkę.

W grudniu 1941 roku "kołchoźniki" miejscowego radiowęzła gruchnęły wiadomością o podpisaniu układu pomiędzy rządem sowieckim i polskim rządem gen. Władysława Sikorskiego, oraz o przystąpieniu do organizacji Wojska Polskiego w ZSRR. Na podstawie tej umowy Polakom w ZSRR przyznano status obywateli I kategorii. Odtąd mogliśmy swobodnie poruszać się po całym terytorium ZSRR, nie wolno nam było wyjeżdżać tylko do miast I kategorii, czyli do stolic poszczególnych republik i do miast przyfrontowych. Swoim dziecięcym umysłem nie mogłem pojąć, dlaczego obywatelom I kategorii nie wolno przebywać w miastach I kategorii. Uważałem, że właśnie w tych miastach powinniśmy mieszkać aż do powrotu do Ojczyzny.

Z nastaniem możliwości podróżowania każdy z Polaków zapragnął gdzieś wyjechać - przede wszystkim do Wojska lub chociaż w pobliże miejsc jego formowania. Albo przynajmniej do miejscowości w pobliżu linii kolejowej, by może później wyjechać gdzieś, gdzie będzie lepiej.

Najbliższą dla nas miejscowością przy kolei żelaznej był Czarsk, odległy od Czałabaju o ponad 50 kilometrów i Semipałatyńsk, odległy o około 160 kilometrów. I tak po kolei, korzystając z różnych okazji, Polacy zaczęli opuszczać Czałabaj. Nasza współlokatorka u Sabirowa pani Pilichowska, z synem Rudkiem, wyjechała do Semipałatyńska tuż przed świętami Bożego Narodzenia 1941 roku. Zostaliśmy z mamą sami, na święta było nam i smutno i głodno, nawet na zrobienie nowej szopki nie miałem ochoty. Nie było też u Sabirowych ani choinki, ani przyjęcia z Dziadkiem Mrozem dla dzieci.

Tuż po Nowym Roku 1942, mimo że w porównaniu z innymi nasza sytuacja w Czałabaju nie była najgorsza, mama postanowiła

że wyjedziemy do Czarska, by mieszkać w większym skupisku Polaków i przy linii Kolejowej. Jedna z pań, która wcześniej wyjechała do Czarska, napisała do mamy, że ma tam dla nas umówione mieszkanie do wynajęcia.

Około połowy stycznia sowchoz wysyłał do Czarska kolejny transport mięsa i masła dla armii. Dyrektor zezwolił nam zabrać się z tym transportem do Czarska. Transport składał się z kilku sań, zaprzęzonych wołami. Serdecznie pożegnaliśmy się z Sabirowymi, ja szczególnie z milutką Julą, wsadziliśmy nasz skromny dobytek na jedne z sań. Sami też, opatuleni kocami, usiedliśmy na saniach i wolno, krok za krokiem, ruszyliśmy na dalszą tułaczkę.

Julii Sabirowej nigdy więcej nie zobaczyłem. Po dwóch latach dowiedziałem się, że wkrótce po naszym rozstaniu zapadła ona na jakąś dziwną chorobę, oślepla i zmarła.

Wozy ciągnęły sanie z szybkością nie większą niż 3 - 4 kilometry na godzinę, toteż jechaliśmy do Czarska dwa dni. Panowała piękna i słoneczna, choć niezwykle mroźna pogoda. Woźnice i my z mamą co pewien czas zsiadaliśmy z sań, aby dla rozgrzania się pobiegać po stepie. Nieskazitelna, roziskrzona słońcem biel stepów aż do bólu raziła oczy. Nasze ubrania, kece, brwi oraz brody i wąsy woźniców pokrywała warstwa szronu, a z pysków wołów zwisały ponadto sople lodu z ich zamarzniętej śliny. Przy oddychaniu z naszych ust i nosów oraz z wolich nozdrzy wydobywały się kłęby pary, niczym z parowozów. Po pierwszym dniu jazdy zatrzymaliśmy się na nocleg w jakimś kołchozie. Mamę i mnie przygarnęła na noc samotna kobiecina, matka gromadki dzieci. Jej mąż był na wojnie. Mieliśmy ze sobą tylko chleb i trochę twarogu, co widząc litościwa kołchożniczka poczęstowała mnie kubkiem mleka, a mamę gorącą, choć nie słodzoną herbatą.

O świcie ruszyliśmy w dalszą drogę i pod wieczór dotarliśmy do Czarska. Dźwigając i włócząc po śniegu nasze toboły udaliśmy się pod wskazany w liście adres. Właścicielką domu, w którym mieliśmy zamieszkać, okazała się starsza, ponura kobieta, matka starszego ode mnie syna i młodszej niż ja córki. Zapropnowała nam miejsce w kącie jedynej w domu izby, na środku której stał olbrzymi gliniany piec z legowiskiem. Syn gospodyni siedział właśnie na piecowym legowisku, kołysząc opuszczonymi w dół nogami i głową sięgającą sufitu. Wkrótce odezwał się do mnie tubalnym, niedzielnym głosem:

- Ej, ty! Zgadnij, co to jest: czornaja menda po pieczi ajda /czarna menda po piecu się szwenda/?

- To chyba właśnie ty - odpowiedziałem.

- Ot durak, nie znajet, eto że skawarada /patelnia/ - wyjaśnił chłopak i dodał - niuchaj druh chlebnyj duch /powąchaj kolego zapachu chlebowego/.

Po czym pierdnął tak głośno, że szyby z okien omal nie wyleciały. A po chwili znów swoje:

- Ej, ty! Zgadnij, co to jest: Czornaja menda... itd.

I znów pierdnął, aż zagrzmiało w okolicy, a on powtórzył swoje "niuchaj druh chlebnyj duch".

I tak w kółko, bez przerwy. Jego matka nie zwracała na to najmniejszej uwagi, ani razu go nie ofuknęła. W pewnej chwili do gospodyni podeszła jej córeczka z prośbą:

- Mama, daj jeść, jestem bardzo głodna.

Gospodyni odwinęła z brudnej ścierki kawałek chleba, odkroiła cienką kromkę, posypała ją obficie solą i podała dziecku.

Młaja mama zwróciła jej nieśmiało uwagę, że tak dużo soli może dziecku zaszkodzić.

- A co mam z nią zrobić, wciąż by tylko jadła i jadła. Skąd wezmę dla niej tyle chleba? Jak się naje soli, to wypije dużo wody i nie będzie czuła głodu - odrzekła gospodyni.

- Mam, uciekajmy z tego straszego i śmierdzącego domu - poprosiłem na boku mamę - idź zaraz, może jeszcze przed nocą znajdziesz inne mieszkanie.

Mama poszła i wróciła po niecałej godzinie, wesoła:

- Chodź, znalazłam. Będziesz zadowolony.

Z tobołami na plecach poszliśmy na ulicę Hercena 8, gdzie mama wynajęła mieszkanie, za 15 rubli miesięcznie, u Szury /Aleksandry/ Morozowej-Gridasowej. Jej dom składał się z kuchni, pokoju, dużej sieni i szopy, w której był opał na zimę oraz śliczny osiołek i siano dla niego. W domu było czysto i ciepło. Zamieszkaliśmy w kuchni.

Szura miała około trzydziestu lat, była bezdzietna. Jej pierwszy mąż Morozow został przed laty aresztowany jako "wróg ludu" i wszelki ślad po nim zaginął. NKWD doradziło Szurze zaoczne wzięcie z nim rozwodu i ona z rady tej skorzystała. Potem wyszła powtórnie za mąż, za Griszę Gridasowa, którego wzięto do wojska w pierwszych dniach wojny sowiecko-niemieckiej. Po paru miesiącach Szura otrzymała "powiestkę" o jego chwalebnej śmierci na polu walki. Idąc na wojnę, Grisza pożegnał Szurę słowami:

- Ja z wojny wrócę i ty musisz tę wojnę przeżyć. Jeśli zajdzie potrzeba - sprzedaj wszystko, nawet dom. Tylko mojego akordeonu nie wolno ci nigdy sprzedać!

Bo Grisza był mistrzem gry na tym instrumencie.

Szura pracowała jako woźnica-konwojent w spółdzielni spożywczej, rozwożąc swoim osiołkiem chleb do sklepów, mąkę do piekarni i inne produkty do stołówek. Kto pracował przy żywności, mógł przeżyć. A jednak pierwszą rzeczą, której Szura pozbyła się z domu, był akordeon Griszy.

- Ten instrument - mówiła - ciągle mi go przypominał. Patrząc na "harmoszkę" stale płakałam za moim ukochanym, zabitym na wojnie mężem.

Czarsk był dość dużą rejonową osadą, położoną przy Turkiestano-Sybirskiej kolei żelaznej. Głównymi zakładami pracy były "depo" czyli parowozownia i warsztaty naprawcze taboru kolejowego. Tu mieściły się rejonowe władze NKWD i milicji oraz partyjne, administracyjne i gospodarcze. Istniała spółdzielnia produkująca walonki i kufajki, oraz spółdzielnia spożywcza. Osada była zelektryfikowana. W kilku tutejszych sklepach sprzedawano chleb na kartki oraz głośniki /bez kartek/ i od czasu do czasu zieloną, prasowaną herbatę. Czynna była duża łaźnia z parówką do odwszawiania odzieży. Istniały trzy szkoły, w tym jedna podstawowa kazachska. Była drukarnia, wydająca co dekadę miejscową gazetę "Stalinskij put'", w nie dużym formacie i nakładzie. Działały dwie stołówki: kolejowa i spółdzielcza. Uprawnieni do korzystania ze stołówek mogli kupić tam raz dziennie, na specjalne talony, półlitrową porcję zupy.

Zupy w stołówce kolejowej były dość pożywne, bo kolejarze prowadzili własne 6-hektarowe gospodarstwo rolne, nawadniane wodą z rzeki Czarka. W zupie ze stołówki kolejowej, oprócz krup czy klussek, można było wykryć ziemniaki, kapustę i inne jarzyny.

Stołówka spółdzielcza serwowała na zmianę trzy rodzaje zup: "szczy", czyli osoloną wodę z odrobiną kiszzonej kapusty, "łapszą" - czyli wodę z kilkoma kluskami oraz "uchę", tzn. zupę rybną ale bez ryby, z dodatkiem odrobiny kaszy jaglanej.

W dzień po przyjeździe do Czarska mama udała się na poszukiwanie pracy. Dostała ją w szkole kazachskiej jako sprzątaczką, z pensją 80 rubli na miesiąc. Ważna była nie pensja, za którą mało co można było kupić, ale uprawnienia do kartek na chleb i talonów do stołówki. Spółdzielczej, niestety. Mamkę, jako pracującą, przysługiwała kartka na 600 gramów chleba dziennie, mnie tylko na 400 gramów. W danym dniu można było kupić chleb tylko na "dzisiejszy" odcinek, nie wykupiony odcinek "wczorajszy" ~~przez~~ tracił swą ważność bezpowrotnie, odcinka z datą "jutrzejszą" nie wolno było zrealizować. Sklepy otwierano ósmą rano, ale w kolejce po chleb należało ustawić się najpóźniej o godzinie czwartej, bo codziennie dla kilku

co najmniej osób chleba nie starczało. Obowiązek wystawiania w kolejce po chleb wziąłem na siebie i nie było dnia, żebym wrócił do domu bez chleba.

Do stołówki z talonami na zupę poszedłem tylko raz, a wróciłem bez zupy. Z ciekawości stanąłem przy okienku, przez które wydawano zupę i obserwowałem pracę kucharek. Zupę gotowano w dwóch olbrzymich kotłach, przykrytych drewnianymi pokrywami. Cała kuchnia była zagrzybiona i zawilgocona, z sufitu spadały nieustannie w dół krople wody, po całym suficie łączyły niezliczone tabuny stonóg tworząc największe skupiska wprost nad kotłami. Gdy kucharki zdejmowały z kotłów pokrywę, aby pomieszać, dosolić lub nabrać zupę, porażone buchającą z kotłów gorącą parą stonogi spadały z sufitu prosto do kotłów. Po zakryciu kotłów pokrywami na ciepłych miejscach nad kotłami gromadziły się nowe zastępy stonóg. I tak w kółko. Ogarnęły mnie mdłości, nie chciałem gotowanej na stonogach zupy. Popatrzyłem jeszcze tylko, czy ludzie jedzą tę zupę w stołówce. Jedli! Niektórzy wybierali stonogi łyżkami z zupy i wyrzucali je wprost na podłogę, inni odwracali wzrok w inną stronę i jedli zupę razem z obrzydliwymi, potwornie dużymi po rozgotowaniu się stonogami. Jeszcze inni wybierali z zupy tylko kluski i zjadali je, resztę pozostawiając w talerzach. Nie wiem jak jedli zupę ci, co brali ją na wynos. Gdy mama wróciła z pracy i oboje byliśmy bardzo głodni, z płaczem opowiedziałem, dlaczego nie przyniosłem zupy.

- Co więc będziemy jeść? - zapytała mama - Przecież oprócz kilograma chleba i herbaty nic nie mamy, a część chleba zjedliśmy już na śniadanie.

- Mamo, jutro, zaraz po kupieniu chleba poszukam jakiegoś pola z kłosami. Zanim wrócisz z pracy, ugotuję zacierkę.

Zjedliśmy resztę chleba z nieszkodzoną herbatą i ułożyliśmy się do snu. Nazajutrz wykupiłem nasz przydział chleba jako jeden z pierwszych. Na śniadanie zjedliśmy po dużej kromce chleba z gorącą herbatą i w trzaskający mróz razem wyszliśmy z domu - mama do pracy, ja po kłosy. Gospodyni Szura wskazała mi kierunek marszu na pola uprawne. Na ściernisko, odległe o ponad dwa kilometry, dotarłem o wschodzie słońca. Kręciło się tam już kilka osób, dorosłych i dzieci. To źle - pomyślałem - mniej kłosów przypadnie na każdego. To dobrze - pomyślałem - takiej gromady wilki nie zaatakują. Bo trzeba wiedzieć, że po stepach Kazachstanu grasowały liczne watahy wilków, które latem uciekały na widok człowieka, ale zimowe spotkania z wilkami często kończyły się dla ludzi tragicznie.

Po dwóch chyba godzinach zbierania moja torba zapełniła

się kłosami i ruszyłem w drogę powrotną. Już byłem blisko domu, gdy nagle zastąpił mi drogę mniej-więcej szesnastoletni osiłek. Zaдрżałem ze strachu, że odbierze mi moje kłosy.

- Ej ty, mały, jesteś tu nowy, prawda? Jak się nazywasz?

- Staśka - odpowiedziałem grzecznie - a ty?

- Waśka jestem. Tu każdy jest mi posłuszny i robi to, co mu każe, zrozumiałeś? Ty będziesz zbierać dla mnie okurki /pety/. Dwadzieścia okurków co tydzień. W każdą niedzielę jestem na bazarze i tam przynoszę dla mnie okurki. A teraz paszok won, panimajesz?

Uszczęśliwiony, że Waśka nie odebrał mi kłosów, poleciałem jak strzała do domu. Szybko ogrzałem przy piecu ręce, wyłuszczyłem pszenicę z kłosów i zważyłem swój plon na sprężynowej wadze Szury. Ucieszyłem się, bo nazbierałem ponad trzy kilogramy, więc starczy na zacierkę na kilka dni co najmniej. W sieni u Szury, jak prawie w każdym domu, stały żarna. Zmęliłem pszenicę, rozpałiłem pod płytą kuchenną, nastawiłem wodę, ugniotłem ciasto i rozdrabniając je w rękach na jak najmniejsze kawałki wrzucałem do wrzącej, osolonej wody. Kiedy mama wróciła z pracy, z dumą nalałem zacierkę do blaszanych talerzy, do pełna i podałem do stołu. Żeby się bardziej nasycić, jedliśmy zacierkę z chlebem, a przy jedzeniu mama głaskała mnie po głowie i płakała.

Wieczorem zasnąłem jak zabity, a nad ranem przyśniło mi się ściernisko, na którym żdźbła uginały się nie pod kłosami, ale pod żarzącymi się, dymiącymi petami, a ja gasiłem je palcami i zrywałem dla Waśki. Obudziłem się przerażony i w półśnie zacząłem sprawdzać, czy nie mam poparzonych palców. Zegar z kukułką w pokoju Szury odezwał się pięć razy. Boże, spóźniłem się do kolejki po chleb! Wskoczyłem z łóżka jak z procy, zaświeciłem światło i spojrziałem jeszcze raz na palce - nie były poparzone! Podeszedłem do umywalki umyć się i wtedy, pocierając dłońią o dłoń, poczułem dziwną szorstkość na powierzchni obu dłoni. Zauważyłem ze zgrozą, że obie dłonie pokryły się licznymi kurzajkami. Gdy kładłem się spać, dłonie miałem gładkie. Skąd się wzięły w ciągu jednej nocy? Nie wiem, może z dziwnego snu o petach? Ubrałem się ciepło i poszedłem po chleb.

Zbieranie petów dla Waśki było uciążliwe, obrzydliwe i upokarzające. Pierwszy raz w życiu wykonywałem coś pod przymusem, ze strachu. Przynosiłem pety z porannej kolejki za chlebem, zbierałem je na bazarze, pod stołówką i na ulicach. Zdobywanie petów było nielada sztuką, bo ich zbieraniem zajmowało się wielu ludzi, przede wszystkim nałogowi palacze. Trzeba było iść krok w krok za palącym lub stać obok niego i czekać aż odrzuci peta, by natychmiast rzucić się na niedopałek, nie dać ubiec się innym zbieraczom.

Często spotykał mnie srogi zawód, bo palacze nie rzadko sami chowali pety do kieszeni albo rozcierali je nogami na nie dającą się zebrać miazgę.

Po dwóch tygodniach miałem dość tego podłego zajęcia, ale nadal je wykonywałem, bo Waśka, nie dość że sam silniejszy ode mnie, był jeszcze hersztem szajki podobnych mu łobuzów, gotowych w każdej chwili obić niepokornego i zmusić go do posłuchu.

Postanowiłem w jakiś sposób zemścić się na Waśce i wpadłem na iście szatański ~~zmyślony~~ pomysł. Przy kolejnym wręczaniu petów spytałem go, czy zamiast brudnych niedopałków nie wolałby dostawać co tydzień szklaneczkę dobrego tytoniu. Zgodził się chętnie. Nadal zbierałem pety, ale teraz wysupływałem z nich tytoń i codziennie na ten tytoń siusiałem, od poniedziałku do piątku. W soboty tytoń suszyłem, a w niedziele wręczałem go Waśce. Waśka był bardzo zadowolony. Ja również, chociaż roboty raczej mi przybyło.

W taki sposób, na codziennym staniu w kolejce po chleb i zbieraniu petów, na jedno lub dwukrotnym zbieraniu kłosów w każdym tygodniu i na przyrządzaniu zacierki upływał mi czas od stycznia do kwietnia 1942 roku. Naszym pożywieniem każdego dnia w tym czasie był przydziałowy kilogram chleba, nie słodzona zielona herbata i raz dziennie spożywana zacierka, gotowana przeze mnie na osolonej wodzie. Nie stać nas było wówczas na nic innego. Na bazarze, czynnym w niedziele, sprzedawano mleko i kiszoną kapustę a czasami nawet jajka, ziemniaki i mięso, ale ceny były tak horrendalnie wysokie, że o kupnie czegokolwiek nawet nie marzyliśmy. Za bochenek chleba żądano od 200 rubli w roku 1942 do 400 rubli w roku 1943, za wiaderko drobnych ziemniaków od 40 do 80 rubli, za kilogram baraniny w granicach 50 rubli, za szklanekę mleka od 5 do 10 rubli itd., a moja mama zarabiała tylko 80 rubli miesięcznie, co wystarczało zaledwie na zakup kartkowego chleba, opłacenie mieszkania i czasem tylko na szklaneczkę mleka do zacierki.

Pod koniec kwietnia 1942 roku zapytałem mamę:

- Mamusiu, ile razy dzieciom wypadają zęby?

- Raz w życiu, te mleczne - odrzekła mama - a dlaczego pytasz o to?

- Bo czuję, że wszystkie zęby mi się ruszają i dziąsła mam opuchnięte, bolą mnie.

Mama razem z Szurą pooglądały moje zęby i dziąsła. Szura krzyknęła z przerażeniem:

- Marusia, u Staśki cynga! Spasaj rebionka! /Marysiu, Staszek ma szkorbut, ratuj dziecko!/.

W dniu następnym mama zwolniła się z pracy i poszła ze mną do "bolnicy", w której za jedynego lekarza, na cały rejon Czarski o promieniu około 70 kilometrów, pracował felczer. Inni lekarze już od dawna byli na froncie. Felczer obejrzał moje zęby i szczerze mamie oznajmił:

- Tak, to szkorbut. Dam ci hipermanganikum w proszku, innego lekarstwa nie mam. Rozpuść go w wodzie i niech dziecko kilka razy dziennie płucze jamę ustną tym roztworem. Niewiele to pomoże. Jemu potrzebne są witaminy. Uratować go może tylko cebula, czosnek i kiszona kapusta, Musisz to zdobyć natychmiast, za wszelką cenę. Powiem ci nawet, u kogo zdobędziesz najszybciej - idź do żony naczelnika stacji kolejowej, ona ma rodzinę w Ałma-Acie i dostaje od nich cebulę i czosnek.

Poszliśmy do tej pani zaraz po wyjściu od felczera. Naczelnikowa wzruszyła się moim losem i płaczem mamy i zachwyciła się jej złotymi kolczykami. Mama wyjęła kolczyki z uszu i wetknęła je w dłoń Naczelnikowej. Ta zaś odważyła na wadze trzy kilogramy cebuli i kilogram czosnku.

- Dodam do tego jeszcze pięć słoików kiszonej kapusty. To dlatego, że dziecka mi szkoda, bo kolczyki nie są tyle warte. Nu, idźcie z Bogiem, po kapustę przychodź co parę dni.

Pozostała mamie jeszcze złota obrączka na palcu. Nie wiem, czy obrączka nie przypadła Naczelnikowej do gustu, czy też nie zauważyła jej.

Zjadałem codziennie po jednej lub po dwie cebule i po kilka ząbków czosnku, pokrojonych i rozgniecionych, bo gryźć już nie mogłem. Połykałem w całości kiszoną kapustę i piłem sok z niej. Po dwóch tygodniach opuchlizna z dziąseł ustąpiła, zęby w dziąsłach znów mocno siedziały. Wyzdrowiałem.

Od maja 1942 roku nasz los - o dziwo - zaczął się polepszać, mimo coraz gorszej sytuacji dekoła, coraz większego głodu w całym ZSRR. W maju Szura tak do mnie powiedziała:

- Widzisz, mam kawałek ziemi przy domu. Nie mam czasu na uprawianie jej. Możesz tu zrobić ogródek. Dam ci nasiona. Co wyrośnie, to twoje. Nie będziesz miał więcej szkorbutu.

Przekopałem, jak umiałem, ziemię. Nasiałem przede wszystkim cebuli, kapusty, marchwi, pietruszki, ogórków i, gdzie się tylko dało, tytoniu - by nie zbierać petów dla Waśki.

Również w maju my, Polacy, zaczęliśmy otrzymywać pomoc amerykańską, w postaci paczek żywnościowych i odzieży. Mama i ja dostaliśmy w roku 1942 trzy paczki z żywnością i jedną parę butów męskich, wojskowych.

Paczkę, o wadze ośmiu kilogramów, przydzielano na dwie osoby, więc mama i ja dostawaliśmy oryginalną, nie rozpakowaną paczkę. Pamiętam, że paczki zawierały mąkę, cukier, zupę grochową w proszku, oliwę, tłuszcz roślinny, pyszne konserwy rybne, konserwy mięsne, czekoladę, gumę do żucia, papierowy i coś tam jeszcze.

- Co wolisz, Waśka - baślinione pety, byle jaki tytoń, czy amerykańskie papierosy, jakich w życiu nie paliłeś? - zagadnąłem Waśkę - Dam ci takie papierosy, jeśli do końca roku dasz mi spokój, zgoda?

- Zgoda - odrzekł Waśka - dawaj papierosy!

Nigdy więcej Waśka mnie nie zaczepiał. Mogłem nawet zostać członkiem jego szajki, ale nie chciałem i nie miałem na to czasu. Czasami jednak dawałem Waśce jakiś drobny prezencik, tak dla świętego spokoju i trochę jako dobrowolną pokutę za wcześniejszy zasiusiany tytoń.

W dniu, w którym otrzymaliśmy pierwszą paczkę, do Szury przyjechał jej wujek o imieniu Jochim. Był człowiekiem bez lewej nogi, kuśtykał na drewnianym szczudle. Nogę stracił w wojnie domowej walcząc po stronie bolszewików. Liczył sobie ponad 50 lat. Ten zasłużony inwalida-bolszewik pracował jako nadzorca w jednym z łagrów przy kopalni złota, odległej od Czarska o ponad 70 kilometrów. W odwiedziny do Szury przyjechał dwukółką, zaprzęzoną w małego konika.

Jochim bacznie przyglądał się rozpakowywaniu paczki i nagle zapytał:

- Marusia, czy mogłabyś to sprzedać?

- Nie mogłabym, bo zdechlibyśmy z głodu - odpowiedziała mama.

- Ale gdybyś chciała, czy mogłabyś, no... czy wolno by ci było to sprzedać?

- Pewnie, że mogłabym, ale nie sprzedam, bo to jedyny nasz ratunek.

- Ot, dura - powiedział Jochim - ja wcale nie chcę kupować. U nas w kopalni jest sklep z takimi samymi produktami. Kiedy moja brygada przekracza plan wydobywania złota, ja dostaję specjalne talony i mogę za nie brać ze sklepu co mi potrzebne, ale tylko na swój użytek. Gdybym wziął dla kogoś lub na sprzedaż, to zaraz sam poszedłbym kopać złoto, albo jeszcze gorzej. Talonów mam do czorta, potrafię przypilnować wrogów ludu, żeby przekraczali normy. A wy - proszę - możecie sprzedawać! Ot, sprawiedliwość!

Jochim dość długo kuśtykał po izbie tam i z powrotem, drapał się po głowie, widocznie głęboko zastanawiał się nad czymś.

Wreszcie przywołał mnie do siebie i rzekł:

- Słuchaj, Staśka! Raz na miesiąc przyjeżdżam do Czarska. Będę przywozić mąkę, cukier i konserwy, a ty będziesz sprzedawał to na bazarze. W razie czego powiesz że to twoje, albo uciekniesz - tobie wypada, jesteś jeszcze mały. Pieniędźmi podzielimy się sprawiedliwie. I pamiętaj - przed nikim nie wolno ci mnie zdradzić. Umiesz trzymać język za zębami?

- Jak ptaka w klatce!

- Mądry, uczony z ciebie chłopak! Za miesiąc przywiozę produkty.

Jochim przyjeżdżał do Czarska co miesiąc z jakimiś sprawozdaniami dla władz, zatrzymywał się na nocleg u Szury i za każdym razem przywoził, ukryte na wozie pod pianem: białuską amerykańską mąkę, cukier oraz konserwy rybne i mięsne, w sumie do 50 kilogramów żywności.

Do bazaru miałem niedaleko, najwyżej 300 metrów. W niedziele kursowałem między bazarem a domem kilkakrotnie, z workami mąki i cukru za pazuchą i z kilkoma konserwami w kieszeniach. Przy sprzedaży produktów sypkich i płynnych /mąki, cukru, tytoniu, słonecznika, mleka itp./ powszechnie używaną na bazarze miarą była mała szklanka. Handlować zaczynałem po upewnieniu się, że w zasięgu wzroku nie ma milicjanta, a po kilku minutach nie miałem już towaru. Handel na bazarze przypominał mi przedwojenne podwórkowe zabawy w policjantów i złodziei, budził spore emocje i dawał uczucie błęgiego zadowolenia po każdym szczęśliwym powrocie do domu. Moimi klientami byli przeważnie Żydzi, uciekinierzy z terenów Ukrainy i Rosji zajętych przez Niemców. Mieli oni dużo pieniędzy, nie liczyli się z wydatkami, nie targowali się, zależało im tylko na zdobyciu żywności. Po paru tygodniach przestałem chodzić na bazar, znosiłem towar do domów swych stałych odbiorców. Mąkę i cukier sprzedawałem po 10 - 20 rubli za szklanczkę, konserwy po 20 - 40 rubli za sztukę. Ceny stale rosły, głód był coraz większy.

Za każdą partię przywożonego przez Jochima towaru uzyskiwałem od trzech do czterech tysięcy rubli, z czego Jochim odpalał mi po 500 rubli i pytał jeszcze, czy jestem zadowolony. Skwapliwie odpowiadałem że tak, bo lekko zarabiałem sześć razy więcej miesięcznie, niż moja mama za ciężką pracę sprzątaczką, ponadto z Jochimowych dostaw zawsze coś dla nas udawało się uszczknąć. Handel towarami Jochima prowadziłem aż do początków 1943 roku, ku naszemu obopólnemu zadowoleniu. Dokoła trwał wielki głód, a ja byłem zdrowy i rumiany, jak ~~dotychczas~~ ~~dotychczas~~ ~~dotychczas~~

jak dzieci moich żydowskich klientów.

W międzyczasie znalazłem dodatkowe źródło zdobywania środków do życia. Przez Czarsk codziennie przejeżdżał pociąg osobowy z Alma-Aty do Nowosybirsk i miał tu dwudziestominutowy postój dla uzupełnienia wody i węgla w parowozie. Pasażerowie wybiegali w tym czasie na peron, z kociołkami, menażkami, butelkami i innymi naczyniami po "kipiatok", czyli po wrzącą wodę, którą specjalnie dla nich gotowano, by mogli naparzyć sobie herbatę. Chodząc po peronie zauważyłem, że niektórzy ludzie w pociągu jedzą jabłka i palą prawdziwe papierosy. Jabłka i papierosy były w tym czasie w Czarsku nieosiągalne, palacze kurzyli skręty z kupowanej na bazarze machorki-samosiejki. Miałem dużo pieniędzy. Udawało mi się każdego dnia kupować od pasażerów pociągu po 2 - 4 jabłka - płaciłem po 5 rubli za sztukę i po 2 - 3 paczki papierosów "Kazachstańskich" przeważnie, za które płaciłem po 10 rubli. Zaraz po odjeździe pociągu sprzedawałem papierosy po rublu za sztukę, co z nawiązką pokrywało mi koszt zakupu i papierosów i jabłek. Jabłka miałem za darmo - przedewszystkim dla mamy i dla siebie, czasami też dla Szury.

Nie zaniedbywałem ogrodu przy domu. Były już nowalijki, a plony zapowiadały się nieźle, bo dzień w dzień wylewaliśmy ~~razem~~ ~~razem~~ na grządki, mama i ja, co najmniej 40 wiader wody ze studni z żurawiem, która była przy domu. Robiliśmy to wieczorami, tuż przed zachodem słońca, po wszystkich innych zajęciach.

Od czasu, gdy dałem Waśce amerykańskie papierosy /były to "Chicesterfieldy"/ i zacząłem co pewien czas dawać mu po kilka sztuk "Kazachstańskich", nie musiałem wcześniej wstawać, by zająć dobre miejsce w kolejce po chleb. Szedłem po chleb dopiero o szóstej, a do kolejki wpuszczają mnie przed siebie któryś z oberwańców z szajki Waśki. Kolejka zbytnio nie protestowała. Wszyscy wiedzieli, że z taką bandą lepiej nie zaczynać, bo można oberwać kamieniem, stracić szybę w oknie, lub - co gorsza - pozbyć się dopiero co kupionego chleba. Oberwańcy nieraz tuż pod sklepem wrywali chleb z rąk skabszym - i tyle ich widziano, siły na nich nie było.

W czasie wakacji 1942 roku mama zmieniła pracę. Miała dość sprzątanina i wrzasku kałaśliwych dzieci w szkole kazachskiej. Została również sprzątaczką, ale w spokojnej siedzibie rejonowych władz "Zagotskotu", czyli firmy zajmującej się hodowlą i skupem bydła.

W sierpniu 1942 roku w naszym życiu nastąpiły dwa istotne

wydarzenia. Pierwsze z nich miało charakter polityczny: zorganizowana w ZSRR Armia Polska pod dowództwem generała Władysława Andersa została ostatecznie ewakuowana do Iranu, razem z towarzyszącymi jej cywilami, którzy masowo gromadzili się w pobliżu miejsc formowania polskich jednostek wojskowych. My też zamierzaliśmy wyjechać do Jangi-Julu w Uzbekistanie, gdzie powstawały polskie dywizje, gdzie było cieplej niż w Kazachstanie i gdzie, jak się nam podówczas wydawało, były większe szanse na przeżycie. Jednakże ci, którzy już się tam znaleźli, przysyłali niepokojące listy, pisząc przede wszystkim o licznych chorobach, jakie dziesiątkowały Polaków zgromadzonych wokół obozów wojskowych. Wielu, szczególnie zaś dzieci, chorowało tam i umierało na tyfus, malarię i na inne groźne choroby.

Mama wystraszyła się tych wieści, nie chciała stracić mnie, swego jedynaka i postanowiła, oddając się Bogu w opiekę, pozostać do końca wojny w Kazachstanie.

- Polska nigdy o nas nie zapomni - mówiła mama - i po wojnie wyciągnie nas z tej niewoli. A tu już trochę "przywykliśmy i nie zdychamy", mamy dobrych znajomych i przy boskiej pomocy jakoś przeżyjemy.

Zaraz po ewakuacji wojsk generała Andersa z ZSRR do Iranu, w prasie sowieckiej i w radiu rozpoczęła się zjadliwa nagonka propagandowa przeciwko Polakom. Obdarzano nas epitetami dezterterów i zdrajców, nie chcących walczyć wspólnie z Armią Czerwoną przeciwko Niemcom. Odebrano nam wszystkie przywileje, jak możliwości wyjazdów do innych miejscowości czy ogrzamywania okresowych zapomóg lub paczek. Staliśmy się z powrotem obywatelami radzieckimi i to najgorszej kategorii, bo niesprawiedliwie i bezkarnie opluwani przez czynniki oficjalne. Przypomniały sobie o Polakach NKWD i milicja, rozpoczęły się wzywania na przesłuchania, niektórych aresztowano lub wywieziono do przymusowej pracy w kopalniach Karagandy. Trzeba było mieć się stale na baczności, trzymać język za zębami, unikać zbędnych kontaktów z kimkolwiek.

Drugie z sierpniowych wydarzeń w życiu mamy i moim było dla nas korzystne. Dyrekcja "Zagotskotu" wysłała moją mamę do jednego z okolicznych kołchozów do pomocy przy żniwach. Mama pracowała w kołchozie do końca września, tam się żywiła, a po zakończeniu pracy otrzymała za swój trud dwa pudy /32 kilogramy/ pszenicy i był to dla nas w tym czasie skarb nieoceniony.

Gdy mama była w kołchozie, nasza "choziajka" Szura

przygarnęła do mieszkania /i do łóżka/ kierowcę Pietię, skierowanego wraz z ciężarówką ZIS-5 z Semipałatyńska do Czarska w celu przewiezienia płodów rolnych z kolejowego gospodarstwa rolnego do magazynów kolejowej stołówki. Już w drugim dniu swojej pracy Pietia zwrócił się do mnie z prośbą:

- Staśka, musisz być moim pomocnikiem. Bez pomocnika mało co dowiozę z pola do magazynu. Po drodze jest długi podjazd pod górę i mój stary, słaby samochód ledwo wjeżdża na tę górę. Na podjeździe czyha na mój samochód cała zgraja takich jak ty wyrostków, wdrapują się na skrzynię i wszystko rozkradają, za każdym kursem połowę tego, co wiozę. Będziesz jeździł ze mną i kijem odganiał złodziei. Nie za darmo, ma się rozumieć.

Trochę ze strachem, ale przystałem na propozycję. Do "pracy" wychodziłem wcześniej rano, razem z Pietią po śniadaniu, które przyrządzała dla nas Szuwa. Ona też wykupywała nam chleb na kartki. Rano przed wyjazdem tankowałem samochód benzyną, przelewając ją wiadrem z beczki do baku, ścierałem z samochodu kurz i sprawdzałem potężną, otrzymaną od Pieti lagę, czy wytrzyma czekające ją zadanie. Potem wsiadaliśmy obaj do szoferki i jechaliśmy na odległe o sześć kilometrów pole.

Woziliśmy ziemniaki, marchew, buraki, cebulę, kapustę, arbuzy i melony, aż do pierwszych dni października. Po założeniu samochodu Pietia siadał za kierownicą, a ja zajmowałem miejsce na skrzyni ładunkowej, tuż przy tylnej burcie, mocno ściskając w rękach dużą, sękatą lagę. Po dwóch kilometrach jazdy zaczynał się podjazd w górę. Ciężarówka rzęziła na najwyższych obrotach, ledwo-ledwo pięła się w górę i wtedy czepiało się burty co najmniej pięć-sześć par dziecięcych, małych, takich jak moje dłoni. Najpierw krzyczałem - "pusti, bit' budu" - a gdy nie pomagało, dla postrachu waliłem po rękach i głowach ziemniakami, kapustą lub arbuzami. Rzadko to pomagało. Waliłem więc na oślep lagą, nie za mocno, ale wystarczająco, by głodomory odczepiły się od burty i pospadały na twardą, spaloną słońcem kazachstańską ziemię. Jednak natychmiast kolejna grupa desperatów uczepiała się samochodu, by znów odpaść od niego po moich uderzeniach. I tak aż do osiągnięcia wzniesienia przez zdezelowany samochód. Zdarzało się, że leciał na mnie grad kamieni, ale z tym fantem szybko sobie poradziłem. Przyszły mi na myśl słowa Chrystusa: "Gdy ktoś rzuci w ciebie kamieniem, rzuć w niego chlebem". Na grad kamieni odpowiadałem gradem ziemniaków, marchwi lub buraków i miałem na pewien czas spokój, bo zgraja głodnych wyrostków

zaczynała walkę między sobą o zdobycie rzuconych warzyw.

W obronie przewożonych ziemioplodów walczyłem z mieszanymi uczuciami. Najczęściej żał mi było obijanych małych głodomorów, ale po każdym prasowym czy radiowym ataku na Polaków okładałem ich z dziką zawziętością. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie - myślałem. Szczególną satysfakcją napawało mnie wtedy rozbicie na czyjejs głowie dużego arbuza i widok nieszczęśnika ociekającego czerwonym sokiem, niczym krwią.

Każdego dnia wykonywaliśmy po dwa, trzy, najwyżej po cztery kursy, bo samochód częściej był naprawiany, niż jeździł. Obiady jadaliśmy razem z Pietią w stołówce kolejowej, do syta. W nocy samochód garażował pod domem Szury. Przy ostatnim w danym dniu kursie pojemnik pod siedzeniem w szoferce napełnialiśmy do oporu tym, co akurat przewoziliśmy. Po przyjeździe do domu zdobycz dzieliliśmy sprawiedliwie na trzy części: dla Szury, dla Pieti i dla mnie.

Po zakończeniu swojej misji w Czarsku, szofer Pietia zabrał swoją część, w ośmiu workach, do Semipałatyńska. Szura i ja mieliśmy podobne ilości zapasów na zimę. Dodając do tego dwa pudy pszenicy przywiezione przez mamę i plony z przydomowego ogródka, nie baliśmy się nadchodzącej zimy.

A dokoła panował wielki głód, ludzie zaczynali już jeść psy i koty.

Od października do grudnia 1942 roku nie zajmowałem się dosłownie niczym. Mając zapasy jada nie musiałem zbierać kłosów na odległych polach, a wobec nagonki na Polaków zaprzestałem handlu z Żydami i na bazarze, bojąc się kłopotów z milicją.

Mama nadal była sprzątaczką w "Zagotskocie", ja co rana kupowałem kartkowy chleb i gazety, a po śniadaniu dwie - trzy godziny traciłem codziennie na jazdę na łyżwach. Potem gotowałem obiad, a po obiedzie aż do późnego wieczora poświęcałem się lekturze. Poznałem w tym okresie wiele dzieł Tołstoja, Szołochowa, Dostojewskiego, Gogola, Puszkina, Lermontowa i Corneille'a w języku rosyjskim, przeczytałem też dużo książek polskich, pożyczanych od Polaków.

Ta - rzecz można - sielanka, została brutalnie przerwana przez NKWD pod koniec grudnia 1942 roku. Wezwano wtedy mamę na przesłuchanie, w porze wieczornej.

Zaprowadzono ją przed oblicze samego szefa rejonowego tej groźnej instytucji

- Podpisz ten papierek - powiedział szef bez ogródek.

- A co to takiego? - zapytała mama.

- Zobowiązanie, że poinformujesz nas o każdym anty-sowieckim, kontrrewolucyjnym wystąpieniu czy postępku kogokolwiek z Polaków, o każdej zasłyszanej wrogiej rozmowie, o wszystkim, co może zagrozić naszej władzy.

- Przecież ja z nikim się nie spotykam, chodzę tylko do ciężkiej pracy i opiekuję się dzieckiem, nie mam czasu na pogaduszki.

- Kłamiesz. Każdy codziennie z kimś rozmawia, słyszy co inni mówią w pracy, w kolejce czy na bazarze. Podpisuj!

- Nie podpiszę. Nigdy nie byłam "syszczykiem" /konfidentem/ i nie chcę nim być.

- Nie mam czasu na długie gadanie z tobą, ty polska swołocz! Jeśli zaraz nie podpiszesz, to jeszcze dziś wyślę cię do karnej pracy w kopalniach Karagandy!

- Dobrze, pojedę do Karagandy. Bóg i tam mnie nie opuści, pomoże mi przeżyć. Pójdę do domu spakować się i przygotować dziecko do wyjazdu.

- Nigdzie nie pójdziesz. Tu przenocujesz i prosto stąd pojedziesz rano do Karagandy. O dziecko nie martw się, umieścimy go w domu dziecka i wychowamy na dobrego komunistę, nie takiego gada, jak ty, Podpisuj!

Po tych słowach mama zemdlała. Ocucono ją, a szef NKWD znów ryknął:

- Podpisuj, gadzie, albo do Karagandy! Prosto stąd i bez dziecka!

Nie pomagały łzy i prośby o pozwolenie na zabranie syna ze sobą.

- Podpisuj, polskaja swołocz, albo do Karagandy!

Moja mama nie mogła zmieścić myśli o rozstaniu, i to na zawsze, ze swym jedynakiem. Po około dwóch godzinach psychicznego maltretowania jej załamała się i podpisała cyrograf. Miała wtedy jedyne pragnienie: jeszcze raz chociaż zobaczyć się z synem, a potem pod pociąg albo w step, gdzie wilki i mróz, zginąć razem z dzieckiem, uniknąć niesławny konfidenta i dobrego komunisty...

Kiedy z takimi myślami, opuchnięta i zapłakana wracała z NKWD do domu, przypadkowo natknęła się na swego przełożonego, dyrektora "Zagotskotu" Tarasienkę, który wracał do domu z jakiejś długiej narady.

- Skąd tak późno wracasz, Marusia? - zapytał Tarasienko. Jak ty wyglądasz?! Dlaczego płaczesz?

Mama rozszlochała się jeszcze bardziej i opowiedziała Tarsience o wszystkim co ją przed chwilą spotkało, mimo że w NKWD surowo nakazano jej zachowanie całkowitej tajemnicy aż po grób. Teraz mamie było to obojętne - i tak za chwilę pod pociąg albo w step, jeszcze tylko brak ostatecznej decyzji: sama, czy razem z dzieckiem...

Tarasienko wysłuchał mamę uważnie, a na koniec roześmiał się i powiedział:

- Ot, dura ty, dura, Marusia! Czym się martwisz? Śmieję się ze wszystkiego! NKWD zrobiło swoje, a teraz my zrobimy swoje. Idź spokojnie do domu, spakuj się, jutro rana przyślę po was sanie, pojedziecie do Suurków, dwadzieścia kilometrów od Czarska. Jest tam jedna z naszych baz, będziesz tam stróżem nocnym. Pracujesz w nocy, więc w dzień śpisz i z nikim nie rozmawiasz, rozumiesz? Poza tym w Suurkach nie ma ani jednego Polaka, nie będzie na kogo donosić. Po jakimś czasie NKWD o tobie zapomni, a może znów coś się zmieni w stosunku do Polaków? No, idź z Bogiem, spakuj się i jutro wcześnie wstawaj. Żeby tylko buranu nie było!

Nie spałem jeszcze, gdy mama wróciła z NKWD, czytałem jakąś książkę. Jakby nic się nie stało, mama spokojnie powiedziała do mnie i do Szury:

- Dyrektor "Zagotskotu" przenosi mnie nagle do Suurków. Bardzo nie chciałam tam jechać, dobrze mi tu, prosiłam o pozostawienie mnie w Czarsku, ale on uparł się, mówi, że w Suurkach brak ludzi do pracy i tam będę bardziej potrzebna jako stróż nocny, niż tu jako sprzątaczką. Żal mi rozstawać się z taką miłą choziajką, ale służba nie druźba. Pakujmy się szybko, bo wyjeżdżamy z samego rana.

- A czego chcieli od ciebie w NKWD? - spytała ze strachem Szura.

- Nic ważnego. Zrugali mnie za to, że syn do szkoły nie chodzi. Przyrzekłam im, że w nowym roku szkolnym pójdzie.

O prawdziwej przyczynie nagłych przenieśin do Suurków mama opowiedziała mi po powrocie do Polski. Dopiero po czterech latach dowiedziałem się o cyrografie podpisanym przez mamę w NKWD i o tym, jak dobry człowiek, Rosjanin Tarasienko, pomógł mamie wywieść NKWD w pole.

Spakowaliśmy się. Uzgodniliśmy z Szurą, że zostawimy u niej większość naszych zapasów zboża i warzyw, by ich ilością nie kłuć w oczy nie znanych nam jeszcze w Suurkach ludzi.

Ledwo zdążyłem rano wykupić w sklepie nasz przydział chleba, a już pod dom podjechały zaprzężone w wychudzoną szkapę sianie, na które załadowaliśmy nasz skromny dobytek i nieco żywności. Z Szurą pożegnaliśmy się wcześniej, przed jej wyjściem do pracy. Zamknąłem drzwi na klucz, zostawiając go w umówionym miejscu i ruszyliśmy w kolejną podróż w nieznane.

Jechaliśmy stepową drogą, koleinami wyżłobionymi tym razem w śniegu, biegnącymi wzdłuż nasypu linii kolejowej, co ratowało przed zabłądzeniem nawet podczas słabego buranu. Do Suurłów dotarliśmy dopiero w południe, bo szkapa leniwie stąpała krok za krokiem, z rzadka tylko symulując bieg. Lepszych komi w tym czasie już nie było, wszystkie zabrano na wojnę.

W Suurłach woźnica, starowina-Kazach, przekazał nas "zawie-
dujuszczemu" /kierownikowi/ tutejszej bazy "Zagotskotu", Walentinowi Litwinowowi. Był to wysoki, postawny mężczyzna, w wieku około trzydziestu lat. Już zdążył być powojować z Niemcami. Jedna z niemieckich kul strzaskała mu lewe udo, a chirurdzy usuwając z nogi odłamki kości skrócili ją o siedem centymetrów. Litwinow wrócił zatem z frontu jako inwalida wojenny, mocno kulejący, ale szczęśliwy że żyje. Mieszkał w Suurłach z ładną, wysoką żoną Tamarą, jako kierownik zajmował w bazie "luksusowe" mieszkanie - dwa małe pokoiki z kuchnią. Litwinowowie byli bezdzietni.

Bazę "Zagotskotu" w Suurłach stanowił jeden gliniany parterowy budynek, mieszczący pod wspólnym dachem mieszkanie kierownika, sześć jednoizbowych mieszkań dla pracowników, trzy pomieszczenia magazynowe i dużą stajnię, z zainstalowaną w niej wagą do ważenia bydła. Część stajenną odgradzał od części mieszkalnej podłużny korytarz. Obiekt miał dwa wejścia: od strony północnej bramę w stajni dla bydła i od strony wschodniej drzwi dla ludzi. Od strony zachodniej do budynku przylegała koszara, której ogrodzenie, wysokości ponad dwumetrowej, było wykonane z nawozu owczego i bydlęcego. Na północ od bazy, w odległości około 50 metrów, znajdowała się studnia z żurawiem i długim korytem do pojenia bydła. Obok koszary była latryna, czyli wykopany w ziemi dół, wielkości i głębokości podobnej do grobu, z położonymi na nim w poprzek dwiema belkami i ogrodzony dość szczelnym wiklinowym płotem. Była to latryna przenośna: gdy dół zapełniał się więcej niż do połowy ekskrementami - zasypywano go, a obok wykopywano nowy dół, wyposażając go w przeniesione ze starego belki i ogrodzenie. Korzystanie z latryny zimą było wielką sztuką, trudno było utrzymać równowagę na oblodzonych i śliskich belkach, nieraz ktoś

wpadał do dołu, ale nie brudził się specjalnie, bo przy czterdziestostopniowych mrozach gówno zamarzało na kość. Latem w latrynie było bezpieczniej, ale dokuczwały roje much i potworny smród.

Suurły były bardzo małą osadą, leżącą przy linii kolejowej "Turksib", jednak zatrzymywały się tu oba jeżdżące wówczas po "Turksibie" pociągi osobowe: jeden w kierunku Ałma-Aty, drugi w kierunku Nowosybirsk. Oprócz naszej bazy i małego dworca kolejowego z bocznica i rampą, było tu nie więcej niż 10 małych domków, w których mieszkaly rodziny kolejarzy oraz Kazachowie, żyjący na codzień z hodowli nielicznych krów i owiec, a okresowo zatrudniani w bazie "Zagotskotu" - przy sianokosach, prasowaniu siana, przepędzaniu bydła do rzeźni w Semipałatyńsku itd. Nie mieszkał tu nikt z Polaków. Nie było w Suurłach ani elektryczności, ani rzeki, co mnie szczególnie zmartwiło.

- Co mam z wami zrobić? - zafrasował się Litwinow. To dobre, że będzie wreszcie nocny stróż. Widzę /to do mamy/, że jesteś zdrową i silną kobietą, poradysz sobie, zresztą dostaniesz dubeltówkę. A ty /to do mnie/, jak się nazywasz? Staśka? Ile masz lat? Dwanaście? To możesz już pracować, też się przydasz. Dam ci dobre zajęcie i roboczy przydział mąki. Ale gdzie was ulokować? Wolne izby są, ale piece trzeba naprawić, zrobimy to latem. Teraz muszę was do kogoś dokwaterować. Już wiem - do Igubajewa, wprowadzajcie się.

Wszystkie izby pracownicze miały podobną wielkość: około 25 metrów kwadratowych. Tylko mieszkanie kierownika miało podłogi z desek, w izbach były gliniane polepy. W każdej izbie było jedno podwójne okno, szczelne drzwi i wysoki gliniany piec z łuchenną przybudówką z metalową płytą i wmontowanym kotłem.

Kazach Igubaj Igubajew, do którego nas dokwaterowano, pełnił tu funkcję brygadzysty. Podobnie jak Litwinow zdążył już zostać inwalidą wojennym, wrócił niedawno z frontu z przestrzeloną, unieruchomioną na zawsze w łokciu lewą ręką. Ten kruczo-cz^oyrny, więcej niż średniego wzrostu ponad trzydziestoletni mężczyzna, zawsze uśmiechnięty, mieszkał w swojej izbie ze swarliwą, ale o gołębim sercu żoną Erystą, znacznie starszą od niego. Igubajowie mieli dwójkę dzieci: młodszego trochę ode mnie syna Bikena i raczkującą córeczkę o imieniu Tisztyk. Po lewej stronie izby, zaraz przy wejściu, stał piec, za piecem łóżko Igubajów, na którym spali w trójkę wraz z synem. Mała Tisztyk spała w kołysce, zawieszanej u sufitu obok łóżka. Ulokowaliśmy się pod oknem w prawym rogu izby na podłodze, wymoszczonej sianem. Był jeszcze w izbie kufer

z ubraniami Igubajów, barania skóra na podłodze przy łóżku i duży, okrągły, niski kazachski stół, ustawiany na środku pokoju tylko w czasie posiłków, a na resztę czasu ustawiany na stojąco pod ścianą.

W pozostałych izbach mieszkali: Kairbek Kairbekow z żoną i pięciorgiem dzieci, jego rodzony brat Dairbek Dairbekow z żoną i szóstką dzieci oraz tutejszy parias Tochtyrbaj Tochtyrbajew z żoną i ośmiorgiem dzieciaków płci obojga. Ci wszyscy byli Kazachami i - z wyjątkiem Igubajewa - analfabetami. A że w Suurłach szkoły nie było, ich dzieci również wyrastały na analfabetów.

Kolejną izbę zajmował koń - stary, zniedołężniały i chory, cały we wrzodach. Wymagał stałej opieki: gdy się położył, nie mógł wstać o własnych siłach, podnoszono go drągami. Niestety, nikomu nie wolno było skrócić jego męczarni, bo koń figurował w ewidencji wojskowej.

Dwie izby stały puste, z rozwalonymi piecami, bez drzwi i ~~skrzyni~~ ram okiennych.

- Latem zdobędę ramy okienne i drzwi, wprawimy je, naprawimy piece i zamieszkacie sami, w najlepszej izbie, przy samym wejściu, przy świeżym powietrzu - obiecał Litwinow.

Wszystkie izby były dość dokładnie zapchlone i zawszone. Iskanie "bituków" /wszy, po kazachsku/ było codziennym, nieustannym zajęciem kobiet kazachskich. Nieustannie polowano też na pchły, ale nie było siły na zwalczenie tych plag. Na pocieszenie, nie było w izbach pluskiew.

Parę słów o geografii Suurłów. Z północy na południe /lub odwrotnie/ biegnie obok osady linia kolejowa "Turksib", łącząca Nowosybirsk z Ałma-Atą, poprzez Semipałatyńsk i Czarsk. Na zachód od linii kolejowej rozciąga się malownicze pasmo sopek, a na wschód od niej rozległe połacie stepów, przekształconych gdzie-niegdzie w pola uprawne. Najbliższa rzeka, Czarka, przepływała w odległości kilkunastu kilometrów na wschód od Suurłów. Wodę dla ludzi i dla bydła zapewniały tylko studnie i nieliczne stepowe źródła. W stepach i wśród sopek grasowały ~~stajxwikkxw~~ liczne stada wilków.

Baza w Suurłach zajmowała się skupem bydła z obowiązkowych dostaw od okolicznych sowchozów, kołchozów i indywidualnych posiadaczy rogacizny, oraz wypasem lub dokarmianiem tegoż bydła przed jego wysyłką na rzeź do Semipałatyńska. Każdy kołchoz lub sowchoz, każdy posiadacz krowy lub owcy, miał ściśle wyznaczoną ilość obowiązkowych dostaw i terminy ich realizacji. Praktycznie każdy przychówek od krów i owiec musiał być sprzedany co roku

państwu. Na właścicieli rogacizny nakładano coraz większe kontyngenty dostaw żywca i hodowcy mogli zostawiać sobie przychówek tylko w szczęśliwych przypadkach bliźniaczych ocieleni czy wykoceń. W bazie zajmowano się też wypasaniem, dokarmianiem i leczeniem bydła przed wysłaniem go do rzeźni, bo skupione sztuki często były zaniedbane, niedożywione lub chore. Po skupieniu odpowiednio dużego stada i poprawie jego kondycji, bydło pędzono stepami na rzeź, do odległego 140 kilometrów Semipałatyńska. Rzeźnia i wytwórnia konserw w Semipałatyńsku miała wtedy zdolność przerobową do 500 krów lub 5 tysięcy owiec na dobę, a pracowała wyłącznie dla potrzeb walczącej na froncie armii. Aby mieć czym dokarmiać bydło skupowane w okresie zimowym, trzeba było latem przygotować duże zapasy siana. Zimą zgromadzonym sianem dokarmiano nie tylko bydło skupione na miejscu, ale również duże stada krów, owiec, jaków i wielbłądów, pędzone na rzeź do Semipałatyńska aż z Mongolii.

Mieszkałiśmy i pracowaliśmy w Suurłach ponad dwa lata, od grudnia 1942 roku do marca 1945 roku, z dwumiesięczną przerwą latem 1944 roku, gdy doraźnie skierowano nas do pracy w innej bazie "Magotskotu", w Nowo-Taubince. Mama stróżowała po nocach, pełniąc swoją powinność na płaskim dachu bazy, skąd w zasięgu wzroku miała zarówno bydło zgromadzone w koszarze, jak i - przez specjalnie zrobiony otwór w dachu - na bydło nocujące w stajni. W Suurłach po raz pierwszy dano mamie ubranie robocze: nowe ciepłe walonki, olbrzymi kożuch tzw. "tułup" okrywający mamę od głowy do stóp, ciepłe skórzane jednopalcowe rękawice i futrzaną baranią czapkę uszanke. W tym stroju nawet w największe mrozy mama nie odczuwała zimna i lekko tylko odmroziła sobie policzki. Na noc Litwinow dawał mamie potężną dubeltówkę /kaliber 12/, z poleceniem, by każdej nocy co najmniej dwa razy wystrzeliła w powietrze, dla odstraszenia ewentualnych złodziei. Często w nocy wdrapywałem się na dach, z uciechą wyręczając mamę w tej czynności.

Ja też w Suurłach pracowałem. Na początku wykonywałem proste czynności: odnieżałem bazę, pomagałem poić bydło i zadawać mu siano, opiekowałem się sforą psów; latem pasłem bydło lub grabikiem i zwoziłem siano podczas sianokosów, a w końcu, gdy Litwinow zauważył że jestem najbardziej "gramotnym" wśród innych pracowników bazy i nazwał mnie "uczonym Stašką" - pracowałem jako klasyfikator i wagowy przy skupie bydła.

W Suurłach nie otrzymywaliśmy chleba, bo nie było tu piekarni. Zamiennikiem chleba była mąka, razowa, którą otrzymywaliśmy co 10 dni, za okres przepracowany. Zamiast 600 gramów chleba pracujący otrzymywali po 420 gramów mąki dziennie, a członkowie ich rodzin po 270 gramów mąki jako równoważnik 400 gramów chleba. Co 10 dni wysyłano z bazy do Czarska podwodę lub sanie po przysługującą pracownikom bazy i ich rodzinom mąkę. Mama i ja, jako pracujący, dostawaliśmy co 10 dni 8 kg i 400 gramów mąki, nic ponadto nam się nie należało, nie było też w Suurłach żadnej stołówki. Na szczęście mieliśmy jeszcze swoje jarzyny, które co pewien czas przywoziłem od Szury, z Czarska. Z mąki piekliśmy praśne placki, gotowaliśmy kluski lub zacierkę a nawet pierogi, gdy zdobyło się coś na nadzienie.

Zamieszkanie w jednej izbie wspólnie z Kazachami Igubajowymi miało złe i dobre strony. Złe, bo nie mając kózka spaliśmy na glinianej polepie, a w izbie było pełno pcheł i wszy. Byliśmy skrępowani, nie mogąc umyć się zgodnie z naszymi zasadami higieny. Maleńka publiczna łaźnia była w Suurłach czynna tylko raz w tygodniu. Krępowało nas gotowanie i spożywanie posiłków. Czasem oni, a czasem my nie mieliśmy co do garnka włożyć i wtedy z zazdrością zerkaliśmy do cudzych talerzy, a dzielić się nie było po prostu czym. Dobrą stroną, z naszego punktu widzenia, było to, że nie martwiliśmy się o opał: Igubajowie mieli duże zapasy kiziaku, hajcowali w piecu aż miło, w izbie było ciepłutko. Drugim pożytkiem było opanowanie przeze mnie do lata języka kazachskiego.

Praca jak praca, mieszkanie jak mieszkanie, nie ma sensu rozwodzić się o tym dłużej. Chcę natomiast pokrótce wspominać o ludziach i wydarzeniach, moim zdaniem, szczególnych. A także o ludziach lub okolicznościach dzięki którym przeżyliśmy owe trudne czasy poniżenia i głodu, dzięki którym "przywykliśmy i nie zdechliśmy".

K i z i a k .

Podstawowym opałem w Kazachstanie był kiziak, czyli łajno bydlęce, skrupulatnie zbierane przez wszystkich na miejscach wypasu bydła, następnie formowane w duże klocki, suszone na słońcu i składowane na zimę w komórkach lub przy ścianach domów, pod okapami dachów. Najbardziej kaloryczny jest kiziak z łajna owczego i dlatego stajnię bazy w Suurłach czyszczone tylko raz w roku, pod koniec lata. Przez cały rok owce własnymi nogami udeptywały swoje odchody, mieszając je przy okazji z zadawanym im sianem.

W ciągu roku warstwa baranich odchodów osiągała w stajni grubość do 30 centymetrów i była twardsza niż węgiel brunatny. Pod koniec lata kroiko się tę warstwę kilofami i szpadlami na kostki, które wynosiło się na tydzień na słońce, by wyschły. Wysuszony kiziak układało się wzdłuż ścian pod okapami dachów i wszyscy pracownicy bazy mieli zapewniony na zimę opał. Znając srogość kazachstańskich zim, ochoczo pracowaliśmy przy tym ~~zają~~ smrodliwym zajęciu. Widząc czystą stajnię po wyrąbaniu kiziaka czułem, że jesteśmy lepsi od Herkulesa, bo stajnię też wyczyściliśmy, a łajna nie zmarnowaliśmy, jak on.

Najgorzej na pobycie w tej czyszczonej raz na rok stajni wychodziły owce: ich kończyny i podbrzusza były oblepione pancerzem zaschłego łajna. Nikt się tym nie przejmował, bo każde stado, po krótkim u nas pobycie, i tak było gnane na rzeź.

Na konto wilków.

Przydziałowa mąka była naszym jedynym legalnym pożywieniem. Co mógł zrobić pracujący człowiek z 42 deka mąki? Mógł zagnieść ciasto na wodzie, bez jajka, upiec z tego ciasta na płycie kuchennej dwa małe placuszki, zjeść je za jednym zamachem i po godzinie znów był głodny. Mógł ugotować na wodzie talerz gęstej zacierki, z podobnym efektem. W mące brak tłuszczów, białka i witamin.

- Trzeba żyć - powiadał nasz zawiedujuszczyj Litwinow - póki tu jestem, nie pozwolę nikomu na bazie umrzeć z głodu.

Gdy Litwinow widział, że z głodu zaczynamy już skłaniać się na nogach, przywoływał Igubaję lub Kairbeka i polecał:

- Wyłów ze stada największego barana i zarżnij go. Odetnij mu przednią nogę wraz z łopatką, razem ze skórą i niech Staśka da ją na chwilę psom dla zabawy. Resztę do wspólnego kotła. Niech się zgotuje, zjemy mięso wszyscy razem, a tymczasem napiszemy protokół, że barana wilki zjadły. Poszarpana przez psy barania noga będzie dowodem, że barana wilki rozszarpały.

Ugotowanego "zagryzionego przez wilki" barana dzielono sprawiedliwie, po równo dla wszystkich. Po zjedzeniu mięsa delectowano się surpą, czyli wywarem z baraniny i cebuli. Gdy mieliśmy choć trochę mąki, dodawaliśmy do surpy klusek i przybierała ona postać baraniego rosółu z makaronem. Pycha.

Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Oprócz wielu owiec, na wilki zwaliliśmy pożarcie dwóch krów. Za dowód posłużyły poszarpane przez psy krowie łby wraz z szyjami, racice i ogony. Wołowinę podzielono sprawiedliwie, według ilości osób w każdej rodzinie.

Nie zapominaliśmy o psach, naszych współgrzesznikach. Dla nich przeznaczaliśmy jelita, część podrobów i wszystkie kości z owiec i krów, zjedzonych przez nas na konto wilków.

K o Ń .

Stary, zniedołężniały, chory, cały we wrzodach koń, choć budził nasze współczucie, stanowił dla wszystkich coraz większą udrękę. W dzień, chociaż z wielkim trudem, koń utrzymywał się na własnych nogach. Każdego wieczoru kładł się, a raczej padał na brzuch i nocę spędzał na leżąc, rano zaś nie mógł wstać o własnych siłach. Dairbek, najstarszy z Kazachów, codziennie o świcie stukając do okien i drzwi robił wszystkim pobudkę. Wołał przy tym piskliwym głosem:

- Wstawaj, bystrzej, nado łosząd' podnimat'!

Klnąc i złorzecząc, życząc koniowi wszystkiego najgorszego, zwlekaliśmy się z ciepłych posłań nawet wtedy, gdy nic innego nie było do roboty, poza koniecznością podniesienia i ustawienia konia na jego własnych nogach. Nikt nie miał odwagi skrócić męczarni konia, bo stanowił on własność wojska, figurował w ewidencji wojskowej.

Podsuwaliśmy pod konia cztery długie drągi, po dwa z jego lewej i prawej strony i na komendę "raz, dwa - wzięli!" unosiliśmy konia drągami do góry, dopóki nie stanął o własnych siłach. Rzadko kiedy udawało się ustawić konia na nogi za pierwszym podejściem.

Pewnego poranka Dairbek zbudził nas jeszcze wcześniej niż zwykle, wołając wystraszoną głosem:

- Wstawaj, bystrzej, łosząd' padychajet!

Po wejściu do izby, w której przetrzymywano konia, zobaczyliśmy wstrząsający obraz: koń leżał na boku, jego sztywnie wyciągnięte nogi drgały konwulsyjnie, a z pyska i z nozdrzy wypływała różowa piana. Litwinow zdecydował:

- Dorżnijcie konia.

Ekzekucji dokonał Kairbek przy pomocy Dairbeka. Na polecenie Litwinowa zdjęto z konia skórę, wypruto wnętrzności, odcięto od tułowia głowę wraz z szyją, dolne części kończyn i ogon. Całą końską tuszę, skórę, głowę, nogi i ogon umieszczono w magazynie, w którym panowała temperatura co najmniej minus 20 stopni. Tam "corpus delicti" miał czekać na jakąś komisję i jej decyzję, co dalej z tym fantem zrobić.

Wnętrznosci końskie Litwinow rozdzielik sprawiedliwie: podroby dla pracowników i dla siebie, zoładek i jelita dla psów.

Od wielu dni głodowaliśmy w tym czasie, nie mieliśmy nic oprócz resztek mąki. Chociaż pomni odrażającego wyglądu chorego konia, podroby z niego zjedliśmy jeszcze tego samego dnia. Ale przeżyliśmy, nikt nawet nie zachorował.

Po kilku dniach głód znów stał się nie do zniesienia. Litwinow zezwolił odrąbać z tuszy końskiej nieco mięsa dla ludzi i kości dla psów. I tak robiliśmy co kilka dni, chyba przez półtora miesiąca, aż do zniknięcia całej tuszy. Potem był nowy skup owiec i znów świeża baranina, na konto wilków...

Bardzo często przychodziła do nas Hilda Rausch, ładniutka, piętnastoletnia dziewczyna z rodziny Niemców nadwożańskich. Niemcy znad Wołgi zostali przymusowo przesiedleni do Kazachstanu po napaści Niemiec na Związek Radziecki, w obawie przed zagrożeniem tyłów armii. W Suurłach osiedlono kilka rodzin niemieckich, dokwaterowując ich do miejscowych Kazachów.

Rodzina Rauschów była bardzo biedna. Ojciec Hildy ciężko chorował na gruźlicę, nie mógł nawet wstać ze swojej pryczy, często pluł krwią. Matka Hildy pracowała przy robotach torowych, nie mając możliwości zdobycia niczego poza przydziałową mąką. Przymierająca głodem Hilda przychodziła więc często do nas, a moja mama wspomagała ją czasem talerzem zupy, kubkiem mleka lub porcją mięsa.

Pewnego dnia Hilda przyszła cała zapłakana. Powiedziała, że jej ojciec umiera i prosi, by dać mu przed śmiercią chociaż jeden kęs mięsa. A ona nie może spełnić ostatniego życzenia ojca.

Mama bezradnie rozłożyła ręce - też nie mieliśmy ani grama mięsa. Wtedy przypomniałem sobie o łbie końskim z szyją w magazynie. Pobiegłem do Litwinowa, poprosiłem go o odrąbanie kawałka końskiej szyi dla umierającego Niemca. Litwinow zaśmiał się:

- Coś za bardzo podoba ci się ta śliczna Hilda. Czy nie wiesz, że Niemcy to nasi wrogowie? Niech zdychają!

Poszedł jednak ze mną do magazynu, odrąbał siekierą co najmniej kilogram zmrożonej szyi końskiej, dał mi to mięso.

Nigdy dotąd nie widziałem jak umiera człowiek. Wiedziony dziecięcą ciekawością, poszedłem z Hildą do jej domu. Hilda natychmiast zabrała się do gotowania końskiej szyi, w osolonej tylko wodzie. Umierający ale przytomny ojciec Hildy rzeźził na swojej pryczy, świszczącym szeptem mówił coś po niemiecku, a grdyka na jego długiej wychudłej szyi przeskakiwała od podbródka

aż do mostka. Czegoś takiego nigdy przedtem nie widziałem. Drugo gotowane mięso ciągle było twarde, a Rausch nieustannie szeptał coś o fleischu, kaszał i rzeził. Wreszcie Hilda uznała, że można odkroić kawałeczek mięsa i podać go ojcu.

Rausch przyjął koninę do ust jak komunię, a jego twarz przybrała błogi, niebiański wyraz. Grdyka zamarła na chwilę w bezruchu. Z widocznym wysiłkiem Rausch przełknął mięso, a jego grdyka uniosła się jeszcze raz do podbródka, opuściła się jeszcze raz aż do mostka i wracając powoli w kierunku podbródka zamarła, zatrzymała się w pół drogi na zawsze.

Przytuliłem do siebie główkę zaszlochanej Hildy, pocałowałem ją w policzek i wyszedłem od Rauschów.

Po pewnym czasie późnym wieczorem, gdy wszyscy już spali, do bazy podjechał samotny jeździec na koniu. Stróżująca na dachu moja mama zauważyła go już z daleka. Dla postrachu wystrzeliła z dubeltówki, potem zeszła na dół, zaświeciła naftową latarnię i mierząc dwururką w przybysza oświetliła jego postać. Zadrżała z przerażenia. Otuliła całkowicie swoją twarz kołnierzem tułupa. W przybyszu rozpoznała rejonowego szefa NKWD - tego samego, który zmusił ją do podpisania cyrografu. Nie tracąc jednak zimnej krwi zapytała:

- Wy kto i do kogo?
- Nie pytaj, tylko zbudź Litwinowa!
- Muszę wiedzieć, kogo w nocy wpuszczam do bazy. Jeśli nie powiecie, to będę strzelać i poszczuję psami!
- Jestem naczalnik NKWD z Czarska. Widzę, że Litwinow ma dobrego stróża. No idź szybciej, zbudź go!

Mama posłusznie wykonała polecenie. Wystraszony Litwinow zaprowadził gościa do swego mieszkania.

- Słuchaj Litwinow - powiedział naczalnik NKWD - poratuj czymkolwiek, nie mam w domu nic do jedzenia.

A Litwinow w tym czasie też nic nie miał. Poza jego krową nie było w stajni ani jednej sztuki bydła. Zaprowadził gościa do magazynu i pokazał mu cały nasz majątek: głowę, nogi, skórę i ogon konia. Naczalnik wyjął z zanadrza pusty worek.

- Ładuj do worka głowę i nogi - rozkazał.

Worek z głową i nogami konia przytroczył do siódła i odjechał w ciemną noc do Czarska. Litwinow i mama odetchnęli z ulgą. Mama spytała Litwinowa:

- Naczalnik o mnie nie pytał?

- Pochwalił ciebie za dobre stróżowanie, radził by dać ci jakąś nagrodę. Ale co ja mogę ci dać, nawet końskiego łba już nie ma, została tylko parszywa skóra i ogon.

Wiosną, z nastaniem ciepła, skóra i ogon zaczęły cuchnąć. Zjawiała się wreszcie długo oczekiwana komisja. Ugoszczona przez Litwinowa samogonem i baraniną, stwierdziła konieczność zabicia konia i zakopania go w całości ze względów sanitarnych

Cuchnącą skórę i ogon wrzuciliśmy do latryny i grubo zasypaliśmy ziemią. Tak zakończyła się historia konia, skreślonego w końcu z ewidencji wojskowej.

T r o c h i m .

Już nie pamiętam czy działo się to wiosną 1943 czy też 1944 roku. Termin "wiosna" jest zresztą w odniesieniu do północnego Kazachstanu pojęciem dość umownym, bo właściwie wiosny tam nie ma, jest krótkotrwały przełom zimy i lata. Po srogich mrozach następuje /nie w każdym roku o tej samej porze/ nagła, trwająca nie dłużej niż miesiąc odwilż, a po niej zaczynają się upały i nastaje lato.

Stary, małego wzrostu, o sumiastych wąsach dziadek Trochim przyjechał do Suurków w mroźny dzień saniami, zaprzężonymi w parę wołów. Przyjechał z odległego o około 30 kilometrów kołchozu, wydelegowany po odbiór na stacji kolejowej ziarna siewnego dla swego kołchozu.

Trochim, czekając na przybycie wagonu z ziarnem, za zgodą Litwinowa zamieszkał kątem u Igubaja, w naszej bazie /my w tym czasie mieszkaliśmy już w osobnej izbie/. Przeworny kołchoz dał Trochimowi na drogę żywność - kilka bochenków chleba.

W dwa dni po przybyciu Trochima nastąpiła gwałtowna odwilż, a na trzeci dzień przyjechał wagon z ziarnem. Przez całą dobę, w rozmokłym śniegu, Trochim przewoził swoimi saniami workowane ziarno siewne z wagonu do magazynu w naszej bazie.

W kolejnym dniu Trochim załadował część worków na sanie i pojechał do swego kołchozu. Pod wieczór jednak powrócił wraz z ładunkiem, bo przecinająca drogę rzeka Czarka wezbrała ponad lodem wodą, lody zaczęły pękać i przeprawa przez rzekę stała się niemożliwa. Mostu na rzece nie było, na drugą stronę przeprawiano się zimą po lodzie, a latem płytkimi brodami. Wrócił więc Trochim i oczekiwał zmiłowania Pańskiego: ponownych mrozów albo lata i opadnięcia wody w rzece.

Woły Trochima żarły nasze siano. Trochim zjadał resztki swego chleba i popijał go naszą herbatą. Mieliśmy akurat na stanie dwie dojne krowy, z litości dawaliśmy Trochimowi co dzień kubek mleka. Po paru dniach Trochimowi skończył się chleb i człowiek ten, pilnujący kilkunastu ton ziarna, pozostał bez jedzenia. Podzielić się z nim naszymi skromnymi przydziałami mąki nie mogliśmy, dla nas było jej za mało.

Przez kilka dni, żyjąc tylko o kubku mleka i kilku kubkach nie słodzonej herbaty dziennie, Trochim zabijał głód paleniem dużej ilości skrętów z machorki. Miał, na szczęście, duży jej zapas. Przed każdym zapaleniem skręta mawiał z chochłacka:

- Zakurymo, prykurymo, szczob doma ne żuryłysia!

Gdy głód dokuczył mu już na dobre, Trochim zaszedł do magazynu. Sprawdził metki na workach. Wszystkie worki były górami przeszyte mocnym sznurkiem, ometkowane i oplombowane, nie do otwarcia. Na sznurku z plombą dyndała ceratowa metka z nazwą zboża, jakimiś literowymi i cyfrowymi symbolami, z nadrukiem trupiej główki i ostrzeżeniem: "Zaprawione trucizną".

Wszyscy widzieliśmy te metki i chociaż z pożądaniem zerkaliśmy na worki z ziarnem siewnym, uznaliśmy to zboże za owoc zakazany. Strach przed śmiercią od trucizny brał górę nad głodem.

A Trochim, po dłuższym namyśle, znalazł kawałek starego drutu i wyszarpał nim dziurkę w dole jednego z worków. Do podstawionej czapki Trochima do pełna nasypała się pszenica.

- Jeśli umierać, to z pełnym brzuchem - powiedział Trochim.

Po czym pożyczyl od Erysty patelnię i prawie całą pszenicę na niej uprażył. Z przerażeniem patrzyliśmy, jak ten samobójca zjada garściami uprażoną pszenicę. Jakby na pożegnanie, ktoś mu dał do popicia drugi w tym dniu kubek mleka.

Nie mogliśmy spać tej nocy. Do izby, w której spał Trochim, co rusz ktoś wpadał by zobaczyć, czy Trochim jeszcze żyje. A ten chrapał w najlepsze.

Rano, zaraz po przebudzeniu, Trochim wyrzekł swoje "zakurymo, prykurymo...", zapalił skręta i zabrał się do prażenia pozostałej w czapce ~~metki~~ pszenicy. Do wieczora znów czekaliśmy na zgubne działanie zatrutej pszenicy, ale Trochimowi nic się nie stało, był zdrowy. Pod wieczór Trochim powiedział:

- Moje woły żrą wasze siano, ja piję wasze mleko i herbatę. Teraz ja zapraszam na moją pszenicę - widzicie, że nie jest zatruta. Tak napisali, żeby nikt nie kradł!

Z każdej rodziny poszedł ktoś z jakimś naczyniem lub z dużą czapką. Trochim porobił drutem w kilku workach szarpane dziurki, z których posypała się pszenica napełniając podstawione naczynia i czapki. Trochim, z ironicznym uśmiechem, powiedział:

- W waszym magazynie grasuje dużo szczurów!

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

Na konto szczurów siewną pszenicę kołchozu Trochima jedliśmy przez trzy tygodnie. Niestety, woda w rzece opadła, lód spłynął, brody stały się przejezdne. Z kołchozu przyjechały podwozy i wywozły z naszego magazynu worki z ziarnem. Przez pewien czas mieliśmy jednak co jeść, psim swędem znów uniknęliśmy głodu, po prostu przeżyliśmy kolejny trudny okres.

Ś w i n i e .

Przez całe sześć lat swego pobytu w Kazachstanie świnie widziałem tylko jeden raz, za to w ilości dwunastu sztuk naraz.

Trzody chlewnej nie hodowano z tej prostej przyczyny, że nie było dla niej karmy. Do hodowli świń potrzebne są zboża i ziemniaki, a tych brakowało dla ludzi. Jeden z kołchozów zaryzykował jednak hodowlę trzody chlewnej i pod koniec 1943 roku przywiózł dwanaście świń do sprzedaży w naszej bazie, w ramach obowiązkowych dostaw żywca rzeźnego.

Takich świń w życiu nie widziałem. Były ogromnie wysokie i długie, a równocześnie potwornie chude. Miały wygląd olbrzymich leszczy, którym nie wiadomo dlaczego i po co zamiast płetw wyrosły nogi.

Razem ze świniami kołchoz dostarczył karmę dla nich - około trzystu kilogramów ziemniaków, wymieszanych z owsem i otrębami. Ziemniaki były bardzo drobne, wielkości czereśni.

Litwinow przeraził się tą dostawą. Co począć ze świniami? To nie krowy ani owce, pieszo do rzeźni w Semipałatyńsku nie dojdą, paść się po drodze nie potrafią. Można zamówić wagon, ale nie wiadomo kiedy go podstawią i czy karmy do tego czasu wystarczy. Poza tym szkoda tej karmy dla świń, gdy ludzie na bazie od dawna nie widzieli ziemniaków. Litwinow porozumiał się telefonicznie z rzeźnią i uzgodnił, że świnie zarżniemy na miejscu, a zmrożone tusze wyślemy do rzeźni transportem kolejowym.

Następnego dnia z rana Litwinow kazał Kazachom dokonać uboju. Kazachowie, oprócz Igubaja, zaprotestowali. Wszyscy byli wierzącymi muzułmanami, dla których świnia jest zwierzęciem nieczystym, niegodnym nawet dotknięcia. Litwinow w ostrych sło-

wach przypomniak im, że teraz prawem jest rozkaz przełożonego, a za nie wykonanie polecenia grozi sąd doraźny. Poskutkowało. Klnąc i spluwając dokoła, Kazachowie zabrali się do dzieła.

Nie mając nigdy do czynienia z trzodą chlewną, Kazachowie zabrali się do uboju świń jak do rzezi owiec. Kairbek z Dairbekien, a Igubaj z Tochtyrbajem, parami podeszli do świń. Zaczęli od największych sztuk. Obalili po jednej świni na ziemię, jeden przytrzymał nogi zwierzęcia, a drugi zaczął podrzynać świni krótkim nożem gardło. I wtedy zaczęło się piekło. Dwie śwynie z naderżniętymi gardłami wyrwały się z rąk oprawców i brocząc krwią, oszalałe, zaczęły niesamowicie kwiczeć i biegać po całej stajni. Przerażenie okaleczonych świń udzieliło się nietkniętym jeszcze sztukom, wszystkie śwynie ogarnął dziki szal.

Na przeraźliwy wrzask świń nadbiegła moja mama. Pouczyła Kazachów, że śwynie zabija się długim nożem wbijając go w serce zwierzęcia, a nie podcinając mu gardło. Na bazie nie było jednak długiego noża. Znalaziono dość długi, ale nadłamany, tępy pilnik.

Cała czwórka Kazachów rzuciła się tym razem na jedną świnię, tę największą. Obalili ją na ziemię, przygnietli ciężarem swych ciał, a najsilniejszy z nich Kairbek z rozmachem wbił pilnik w ciało świni. Albo pilnik był za krótki, albo uderzenie nie celne - świnię otrząsnęła się z Kazachów jak pies z wody i znów po całej stajni rozpoczął się szaleńczy bieg świń, a ta z naderżniętym gardłem i wbitym w ciało pilnikiem zaczęła atakować ludzi. Kazachowie dali za wygraną i uciekli w popłochu.

Widząc co się dzieje, Litwinow poszedł do swego mieszkania, po chwili wrócił z dubeltówką i w ciągu kilku minut wszystkie oszalałe śwynie wystrzelał.

Potem rozcięto świniom brzuchy i wypatroszono je. Z ubitych zwierząt rzeźnia przyjmowała tylko tusze, podroby zostały więc dla nas, a jelita dla psów. Za przyzwoleniem Litwinowa, z obu stron rozcięcia na brzuchach świń odciałem po solidnym pasie mięsa, a przecinając od wewnątrz żebra - po kawałeczku schabu z każdej świni. Tak ograbione tusze złożono w magazynie do zmrożenia, a później wyekspediowano do Semipałatyńska.

Część uzyskanego mięsa i żołądków Litwinow polecił przeznaczyć na wspólną ucztę. Mimo protestów żony Igubaja Erysty, wieprzowinę ugotowano w jej kotle. Igubaj zmusił swą żonę do ustępstwa, bo on jadł już wieprzowinę na froncie i powtórne zgrzeszenie nie było dla niego problemem.

Gotowaniem wieprzowiny zajęły się moja mama i żona Litwinowa. Erysta przez cały czas miotała obelgi i przekleństwa, oburzona zbeszczeniem jej kotła. Ja zaś, łykając ślinkę, nie mogłem się wprost nawąchać buchającego z kotła, zapomnianego od czterech lat zapachu gotowanej wieprzowiny. Boże, jaki cudowny zapach! Jak pięknie pachnie prawdziwe, nie baranie, mięso!

Ucztowaliśmy w sześć osób: Litwinów z żoną, mama i ja oraz Igubaj z synem Bikenem, mimo protestów ze strony Erysty.

Pozostali Kazachowie /nawet najbiedniejszy Tochtyrbaj/ nie tknęli wieprzowiny. Tym większa była nasza radość, bo resztę mięsa, żołądków i podroby podzieliliśmy tylko na trzy części: dla Litwinowych, dla Igubaja z synem i dla nas. Oszczędnie dozując, delektowaliśmy się wieprzowiną przez cały miesiąc.

Następną wieprzowiną jadłem dopiero w roku 1946, po powrocie do Polski.

Karmę, przywiezioną przez kołchoz dla świń, podzieliliśmy sprawiedliwie dla wszystkich, według ilości osób w rodzinach.

15 cukrowych buraków.

W początkach zimy 1943-1944 roku, z jakiegoś kołchozu na rampę kolejową w Suurłach zaczęto zwozić buraki cukrowe. Zwożono je na czterech zaprzężonych w woły saniach, po dwa - trzy razy w tygodniu. Woźnicami były kobiety: trzy dość młode Rosjanki i jedna stara Kazaszka. Kazaszka miała stale wydęte wargi - zażywała w ten sposób tabakę, trzymając ją pod wargami. Co pewien czas z pomiędzy resztek zębów strzykała zielono-brunatną, tabaczaną śliną. Robiła to doskonale: siedząc na saniach strzykała śliną aż pod przednie nogi wołów, ponad ich głowami.

O cukrze czy o jakichkolwiek innych słodyczach w Suurłach nie można było nawet pomarzyć - a tu na rampie nagle zaczęła rosnać góra słodkich buraków. Niestety, nic nie wyszło z próby ukradzenia choćby jednego buraka: rampy pilnował uzbrojony strażnik, grożący użyciem dubeltówki nawet przy próbie zbliżenia się do buraków. Na nic zdały się próśby o podarowanie lub sprzedanie jednego choćby buraka, kierowane do woźnic Rosjanek. Śmiganie batów było jedyną odpowiedzią. Udało się ze starą Kazaszką. Pewnego dnia zapytałem ją:

- Tiotia, może potrzebujesz dobrej tabaki?
- Potrzebuję - odrzekła - po ile szklanka?
- Za pieniądze nie sprzedam, wymiennie za buraki. Będę z tabaką, jak przyjedziesz następnym razem.

- Dam pięć buraków za szklanekę tabaki. Przyjedziemy znów za dwa dni, jeśli nie będzie buranu. Będę jechać jako ostatnia i przed wioską rzucę buraki w śnieg. Czekał tam, ale nie zbieraj buraków póki nie odjedziemy daleko. Tabakę dasz mi przy rampie, ostrożnie, żeby nikt nie widział. Tylko mnie nie oszukaj!

Miałem jeszcze dużo tytoniu z ubiegłorocznych zbiorów z ogródka Szury w Czarsku. Na płycie kuchennej wysuszyłem liście tytoniu na pieprz, a potem gniotąc je i rozcierając zrobiłem z nich tabakę.

W umówionym dniu co pewien czas włąziłem na dach stajni by dojrzeć na horyzoncie sanie z burakami. Wreszcie dostrzegłem cztery małe punkty: trzy blisko siebie i jeden nieco od nich oddalony. Pod połę płaszcza wepchnąłem worek i powolutku poszedłem w kierunku zbliżających się sań. Po drodze znalazłem i podniosłem dwa krążki zmarzniętego krowiego łajna - niech woźnice Rosjanki pomyślą sobie, że zbieram na stepie kiziaki.

Jadąca z tyłu, w sporej odległości za Rosjankami, stara Kazaszka rzuciła w śnieg pięć dorodnych buraków. Gdy sanie były już w wiosce, wyrzuciłem precz krowie łajno i pozbierałem do worka buraki. Później pobiegłem pod rampę i zawiniątko z tabaką wsunąłem niepostrzeżenie do rękawa kożucha Kazaszki.

- Poczekaj - szepnęła Kazaszka - spróbuję, czy dobra twoja tabaka.

Wypluła z ust resztki swojej tabaki, za obie wargi napełniła mojej, przez dłuższy czas mrucała i żuła wargami świeży nabytek. Potem strzyknęła śliną daleko, daleko.

- Dobra tabaka, dobra - powiedziała - przynieś jeszcze. Przyjedziemy jeszcze dwa razy z burakami.

Nigdy nie poznałem imienia Kazaszki - była staruszką i nie wypadało mi zapytać ją o to. Ale dzięki niej zdobyłem 15 słodkich buraków. Trzymałem je na mrozie, pod śniegiem, by nabrały jeszcze większej słodkości. Oszczędnie, co drugi lub co trzeci dzień, gotowałem po pół buraka pokrojonego w cieniutkie plasterki. Jedząc słodkie talarki buraczane i pijąc słodką herbatę zaparzaną na wywarze buraczanym, przez prawie trzy miesiące mieliśmy z mamą trochę słodkości w ustach.

P s y .

Zaraz po przyjeździe do Suurłów powierzono mojej pieczy cztery psy, czyli wszystkie, jakie były w bazie. Dwa z nich były z rasy wołkodawów, nie spotykanej nigdzie poza Związkiem Radziec-

kim. Nazywały się Kokdau i Kusdau. Trzeci pies Tarłan był wilczurem i stanowił własność Litwinowa. Czwarty, Karała, był chartem syberyjskim i własnością Tochtyrbaja, ale tylko oficjalnie, bo Kazach nie miał czym psa karmić. Zadaniem psów była ochrona bazy przed złodziejami i stad bydła przed wilkami. To pierwsze zadanie najlepiej wypełniał Tarłan, to drugie - pozostałe psy.

Wołkodawy są większe od bernardynów i nie tak długowłose. Mają potężne łapy, łby i klatki piersiowe. W walce z innymi psami, a szczególnie z wilkami, ich pierwszym atakiem jest piorunujące uderzenie przeciwnika łapą przez grzbiet; najczęściej ulega on wówczas złamaniu. W następnej fazie walki następuje zaciśnięcie szczęk wołkodawa na karku lub szyi leżącego już przeciwnika i uduszenie go. W stosunku do ludzi wołkodawy z urodzenia są łagodne jak baranki, ale można je wytresować też przeciwko ludziom. Nasze były łagodne, oba były koloru biało-beżowego.

Wilczur jak wilczur, nie ma o czym pisać. Moim zdaniem: jedna z najgłupszych ras na świecie. To psy zdraдлиwe - opiekowałem się Tarłanem dobrze, a on w podzięcie ugryzł mnie pewnego razu w pachwinę. Na szczęście niegroźnie.

Chudzielec z natury Karała był najwyższy w kłębie. Miał, jak to chart, bardzo brzydki chód, ale podczas biegu był wspaniałością. W wyskoku rozpręzał się w idealnie prostą linię, w zetknięciu z ziemią spręzał się w kulkę z przednimi nogami w tyle, a tylnymi w przodzie. Prawdziwa poezja ruchu! Karała był czarno-biały.

Wkrótce przyplątał się do mnie piąty piesek. Było to tak: pewnego ranka robiłem kupę obok latryny, bo bałem się do niej wejść i wpaść do dołu ze śliskich, oblodzonych belek. Poczujęm nagle na swej pupie jakieś ciepłe tchnienie. Wystraszony obejrzałem się i zobaczyłem niedużego, wychudzonego, jasnobrązowego kundla, który wyjadał spode mnie to, co z siebie wydalikem. Żał mi się zrobiło tego piska. Wyciągnąłem do niego rękę, a on w wiernopoddającym odruchu położył się na grzbiecie i zaskomlał żałośnie. Wziąłem go na ręce, zaniósłem do bazy i nakarmiłem. Odtąd chodził za mną krok w krok, miałem własnego psa! Za radą Litwinowa nazwałem go Bobikiem.

Cieszyłem się Bobikiem prawie rok. Niestety, pewnego dnia w lutym 1944 roku Bobik nagle znikł. Wołałem go i szukałem dokoła bazy i we wszystkich jej zakamarkach. Znalazłem Bobika w jednym z pustych pomieszczeń: nad zarżniętym pieskiem klęczał Tochtyrbaj i zdejmował z niego skórę. W rozpaczy rzuciłem się na Kazacha

z pięściami, a ten, po ochłonięciu, przyłożył mi do gardła nóż ociekający krwią Bobika. Zdołałem wyrwać się Kazachowi, uciekłem do Litwinowa. Opowiedziałem mu co się stało. Litwinow wziął dubeltówkę i pokuśtykał na miejsce zbrodni. Wymierzył strzelbę w Tochtyrbaja i zapytał go:

- Dlaczego to zrobiłeś, swołocz?

- Bo ja, moja żona i ośmioro naszych dzieci nie mamy nic do jedzenia, ani grama. A ten pies był najtłuszcniejszy i nie rasowy.

Litwinow dał mi klucze od magazynu i kazał przynieść bańkę z terpentyną. Przyniosłem. Kazał mi polać zwłoki psa terpentyną. Polałem. Kazał mi wynieść psie zwłoki i zakopać w śniegu. Zrobiłem to. Potem Litwinow powiedział do Tochtyrbaja:

- Za to, że zarżnąłeś Bobika, twój pies Karała od dzisiaj i na zawsze jest psem Staški. A teraz chodź ze mną.

Litwinow miał piękną własną krowę, która ocieliła się przed niespełna dwoma miesiącami. Wyprowadził od swojej krowy cielaka i powiedział:

- Tochtyrbaj, zarżnij to cielę i nakarm swoje dzieci. Trochę mięsa daj Stašce, a wszystkie kości dla psów. Nie dziękuj, trzeba tę wojnę przeżyć.

Opiekowanie się psami, szczególnie zaś zdobywanie dla nich pożywienia, przysparzało mi wiele pracy zarówno zimą jak i latem. Otoczony zawsze wiernymi mi psami nie bałem się jednak nikogo, nawet wilków gdy pasłem na stepach stada krów lub owiec.

Gdy w roku 1945 opuszczałem na zawsze Suurły, w obecności Litwinowa zwróciłem oficjalnie charta Karałę staremu Tochtyrbajowi. Kazach popłakał się ze szczęścia.

- Tylko go nie zarżnij! - powiedziałem, śmiejąc się i grożąc Kazachowi palcem.

Susły i skoczki.

To nieprawda, że czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci. Od czasu powrotu do Polski, czyli od roku 1946, nie zarżnąłem ani jednej kury, nie zabiłem ani jednego wróbla czy też innego żywego stworzenia, po prostu nie potrafię zabić czegoś żyjącego. A w wieku dziecięcym w Kazachstanie...

O wróblach już pisałem - każdemu z nich musiałem urwać główkę przed usmażeniem go.

W Suurkach Litwinow dał mi dziesięć kapkanów, czyli metalowych potrzasków na stepowe gryzonie, mówiąc:

- Nie zawsze mamy mięso lub kości dla psów, a karmić je

trzeba. Latem będziesz dokarmiał psy mięsem susłów i skoczków, jest ich na stepach bez liku.

Nauczył mnie otwierania kapkanów i ustawiania ich przy wejściach do nor. Susły i skoczki wpadały do kapkanów wcześniej rano, wieczorem i w nocy. Nie każdemu zwierzątku kapkan ścisnął szyję, dusząc je natychmiast. Najczęściej złowrogą metal ścisnął łapki zwierzątka i zmuszony byłem je dobić. Dobiјаłem skoczki i susły waląc grubym patykiem po ich główkach. Z ich nozdrzy, pyszczków i uszu wypływała wtedy jasnoczerwona krew.

Własnoręcznie zdejmowałem skórki z ciepłych jeszcze zwierzątek. Rozciągnięte na deseczkach skórki suszyłem w słońcu i zarabiałem po parę rubli na sprzedaży skórek w punkcie skupu.

Nie wierzę, że można zajadać się suszonym mięsem, jak opisują niektórzy w swych wspomnieniach z Kazachstanu. Nawet moje psy jadły to mięso z obrzydzeniem. Raz zdarzyło się, że zawsze głodny Tochtyrbaj poprosił mnie o dwie susłe tuszki, Dałem i niezmiernie ciekaw zacząłem obserwować, jak je będzie przyrządzać i jeść.

Tochtyrbaj ustawił na dworze dwie duże cegły i rozniecił między nimi ogień. Na cegłach ustawił suchą patelnię, wrzucił na nią obie tuszki. Gdy patelnia rozgrzała się, szybko zaczął topić się susły tłuszcz. Powoli susły zaczęły pływać we własnym tłuszczu, a wkrótce zupełnie zatopiły się w nim - tak tłuste są te zwierzątka. Wydzielał się przy tym smród nie do wachania, nie do zniesienia. Po usmażeniu susłe tuszki przemieniły się w szkieleciki obrosnięte odrobiną mięsa, reszta była roztopionym tłuszczem.

Tochtyrbaj ze wstrętem obgryzł mięso z jednej tuszki, drugą wyrzucił psu.

- Tego nie da się zjeść, strasznie śmierdzi - powiedział ze smutkiem w głosie.

Nasze jagnięta i cielęta.

Obciążane coraz większymi kontyngentami dostaw żywego rzeźnego, kołchozy i sowchozy nie mogły wywiązać się z nich w sposób normalny, lecz musiały. Zaczęły więc przysyłać na skup cielne krowy i kotne owce. Armia domagała się żarcia.

Wtedy, dla naszego dobra, Litwinow wpadł na genialny pomysł. W porozumieniu z weterynarzem uznano za chore i za bardzo wycieńczone te krowy i owce, które miały wkrótce wydać na świat potomstwo. Skazano - sdieżano! Kilka cielnych krów i kilkanaście kotnych owiec odłączono od stada wysyłanego na rzeź i pozostawiono

w bazie, pod pozorem konieczności wyleczenia i dokarmienia ich przed drugim, 140-kilometrowym marszem do rzeźni.

Pieczę nad tym stadkiem powierzono mnie. Musiałem paść je od świtu do zmroku w stepie, za horyzontem. Nie wolno mi było wrócić ze stadem do bazy w ciągu dnia, by ktoś obcy nie zorientował się, o co tu chodzi. Brałem ze sobą jednego z wołkodawów, Bobika lub Karałę, za pazuchę trochę jedzenia i przytroczony do paska kubek, jeśli w stadzie była już dojna krowa.

Krowy i owce po kolei wydawały potomstwo. Gdy przychówek dorastał i mógł już sam żywić się, matki z żalem /bo dojne/ wysyłaliśmy na rzeź. Nielegalny przychówek pasł się lub był dokarmiany nadal, aż do osiągnięcia zdolności marszowej do rzeźni. Wtedy wysyłaliśmy go na rzeź z kolejnym stadem, z którego w zamian wybieraliśmy najbardziej dorodne sztuki pod noż dla nas i dla weterynarza. W sztukach wszystko grało co do jednej, waga rozpływała się w dużym stadzie.

Dwa razy wróciłem jednak ze stadem do bazy w dzień.

Na moje szczęście, nie byłem ze stadem dalej niż półtora kilometra od bazy, gdy wróciłem w dzień po raz pierwszy. Tego dnia, jak zwykle, była piękna pogoda. Koło południa od strony północnej nagle ściemniło się. Czarna, pomrukująca chmura zasłaniała coraz większą część nieboskłonu. Boję się piorunów, więc powoli zacząłem kierować stadko w kierunku bazy. A potem coraz szybciej, popędzając krowy i owce biciem. W końcu biegiem, gdy przyjrzałem się chmurze lepiej. Takiej chmury nigdy przedtem i nigdy potem nie widziałem. Była tak duża i tak czarna, że od czasu do czasu śni mi się ona do dzisiaj. W środku czarnej chmury krążyło, szybko wirowało, jej potężne żółtego koloru jądro. I mnie i bydło ogarnęła panika, już galopem pędziliśmy do bazy. Do wrót stajni nie było już więcej niż sto metrów, gdy z chmury sypnęło gradem, wielkości dorodnych śliwek. Bite gradem bydło ryczało i beczało, potrząsając dziko głowami. Zaskoniłem głowę rękami, ale i tak porządnie oberwałem po głowie i po plecach, zanim schroniłem się pod dachem.

Mama była szczęśliwa, że nie zginąłem, a Litwinow pochwalił mnie za ucieczkę ze stepu.

Drugim razem było tak: pasłem stadko też niezbyt daleko, bo zaraz z rana okociła się jedyna w stadzie czarnego koloru owca. Pozostałe owce były białe.

Do wieczora jagnię będzie brykać - pomyślałem sobie - a teraz niech mamusia wylże i nakarmi swoje dziecko. Nie będę odchodził ze stadem za daleko od szczęśliwej mamusi.

Owcę z jagnięciem miałem stale w zasięgu wzroku, krążyłem ze stadkiem wokół niej, w promieniu do trzystu metrów. Nagle zdębiałem: do czarnej owcy i jej jagnięcia chyżo zbliżały się dwa wilki. Przy mnie były dwa psy - wołkodaw Kokdau i mój Bobik. Pokazując palcem kierunek, wydałem psom komendę "Ajt!" / po kazachsku "bierz!"/.

Psy poszły na wilki jak burza. Kokdau w złowieszczym milczeniu, Bobik z niesamowitym ujadaniem. Oba wilki rzuciły się od owcy do ucieczki. Zauważyłem brak jagnięcia - czyżby wilki połknęły go? Uciekające razem wilki po chwili rozdzieliły się: jeden dalej biegł w tym samym kierunku, drugi na lewo od niego. Step, po którym uciekały wilki, wznosił się lekko w górę, widziałem więc wszystko jak na własnej dłoni. Bobik dotarł tylko do czarnej owcy i z głośnym ujadaniem pozostał przy niej. Owca przerażliwie beczała i biegała w kółko. Kokdau biegł coraz szybciej za wilkiem uciekającym na wprost. Bardzo szybko dopadł go. Zakotłowało się na stepie, miejsce walki pokrył obłok kurzu. Najpierw powoli, a potem coraz szybciej w miarę opadania kurzu, pobiegłem w kierunku miejsca walki. Z podniecenia i strachu serce waliło mi jak młotem, ale ciekawość była silniejsza. Na miejscu walki zastałem Kokdaua z mocno zaciśniętymi szczękami na karku martwego już wilka. A obok psa podrygiwało i pobekiwało żywe, nie zadraśnięte nawet, czarne, z białą planką na czole jagniątko.

Kokdau nie chciał dobrowolnie wypuścić wilka z pyska. Naprzód głaskałem go długo i dobrotliwie przemawiałem do niego, w końcu kijem rozwarłem szczęki psa, zaciśnięte na wilku. Potem wziąłem jagnię na ręce i zaniósłem je do matki, a ono, jak gdyby nic się nie stało, natychmiast zabrało się do ssania. Szczęśliwa matka merdała ogonem i lizała swe dziecko. Kokdau powłókł się ociężałe do pobliskiego źródła i przez dłuższy czas leżał w zimnej wodzie.

Po ochłonięciu z wrażenia zacząłem bać się powrotu drugiego wilka lub przybycia innych wilków. Znów wziąłem jagnię na ręce i popędziłem stado w poblizę bazy. Przy studni napoiłem bydło i zostawiłem je tam pod opieką psów, a sam poszedłem opowiedzieć o zdarzeniu mamie i Litwinowowi. Po wysłuchaniu mojej opowieści Litwinow dosiadł na oklep wołu, z tyłu mnie na nim posadził i pojechaliśmy na step. Gdzieś po godzinie wróciliśmy z zagryzioną wilczycą i wtedy wszyscy mnie uwierzyli.

- Wiedz Staśka - powiedział Igubaj - że wilki, kiedy mają młode, kradną owcom jagnięta i przynoszą je ostrożnie do swoich

jam, by nauczyć młode wilczki polowania na żywe stworzenia.

- Mołodiec /zuch/ jesteś, Staśka - rzekł Litwinow - i masz dużo szczęścia. Od gradu uciekłeś i wilki krzywdy ci nie zrobiły. Zasłużyłeś na nagrodę. Uratowane jagnię jest twoje.

Krowa Litwinowa.

Ziemia kazachska! Prawie siedmiokrotnie jesteś większa od Polski przedwojennej, prawie dziewięciokrotnie od Polski obecnej. Gdybyś była wolna i mądrze rządzona, mogłabyś wyhodowaną na twoich przestrzeniach wołowiną i baraniną nakarmić wszystkich głodnych tego świata, a skórami bydłecymi i owczą wełną przyodziać wszystkich nagich i bosych. Zrobiono jednak z ciebie niewolnika, a z niewolnika nie ma robotnika.

Obcy i niemądry włodarze ziemi kazachskiej każą uprawiać zboża na dużych obszarach, tam, gdzie z powodu ustawicznych susz zoięra się bardzo nędzne plony i to nie ~~szk~~ w każdym roku. Są lata, w których nie zbiera się plonów wcale, bo słońce spaliło zboże jeszcze przed jego kwitnieniem. Traci się przy tym bezpowrotnie pastwiska. Kazachowie, urodzeni koczownicy i pasterze, zmuszeni zostali do osiadłego trybu życia i do obcych ich naturze prac na roli. Kazach chce żywić się mięsem i nabiałem, z roślin uznaje tylko cebulę, resztę warzyw nazywa pogardliwie "kok szop" /zielona trawa/. Liczne bogactwa naturalne ziemi kazachskiej też nie służą Kazachom, lecz ich ciemiężcom.

Gnębieni i nie zainteresowani pracą na rzecz ciemiężcy, Kazachowie żyją więc z dnia na dzień, aby tylko przeżyć kolejny dzień, miesiąc, rok. Nie dbają o swoje niby pastwiska, bydło czy domy. Bo i po co, skoro w każdej chwili z woli silniejszego gnębiiciela wszystko można utracić.

Plony zbóż są więc w Kazachstanie bardzo niskie, a bydło, szczególnie kołchozowe i sowchozowe, zaniedbane, wychudzone i wiecznie nie dożywione. Krowy dają przeciętnie po trzy, cztery litry mleka dziennie.

Na tle takich krów, prywatna krowa Litwinowa była bardzo mleczna, bo dawała każdego dnia do sześciu litrów mleka. Litwinowowie wspomagali w biedzie tym mlekiem pracowników bazy, dzielili się nim bezpłatnie z potrzebującymi. Krowę Litwinowa też pasłem codziennie w moim stadzie.

Rzadko kiedy pasłem swoje stado po drugiej stronie linii kolejowej. Dwie były tego przyczyny: po pierwsze, przez tory można było przejść ze stadem w jednym tylko miejscu i to dość

daleko od bazy, wszędzie poza tym miejscem nasyp kolejowy był za wysoki. Po drugie: zaraz za torami wznosiło się pasmo sopek, z pomiędzy których wilki łatwiej mogły podejść do stada i zaatakować bydło.

Kilka razy zaryzykowałem jednak pasienie bydła za torami, bo trawa między sopkami była bujniejsza niż na stepie.

Miało się już ku wieczorowi pewnego dnia pod koniec lata 1944 roku, wracałem ze stadem do bazy z pastwisk za torami. Przepędzałem właśnie stado przez tory, gdy z za zakrętu odległego o około pół kilometra wyłonił się pociąg. Pogoniłem bydło szybciej i wszystkie sztuki przeszły przez tory, z wyjątkiem jednej krowy - krowy Litwinowa. Ta poszła sobie spokojnie między szynami toru w lewo, a z prawej strony szybko zbliżał się do niej pociąg. Całe stado zostawiłem na łaskę losu i zacząłem spędzać z toru krowę Litwinowa. Biegłem to z prawej, to z lewej strony krowy, rzucałem w nią kamieniami, a ona biegła dalej prosto między szynami, po coraz wyższym nasypie kolejowym. Usiłując spędzić krowę z toru, słyszałem za sobą coraz bliższe i coraz głośniejsze ryczenie i sapanie parowozu. W ostatniej chwili dałem za wygraną, zeskoczyłem w dół z nasypu kolejowego. Prawie w tym samym momencie olbrzymi parowóz uderzył w krowę, wyrzucając ją naprzód wysoko w górę. Uderzona krowa potwornie po raz ostatni w swym życiu ryknęła i z wysokiego lotu wpadła znów pod same koła parowozu. Jak gigantyczna maszyna do mięsa, parowóz poćwiartował krowę swymi kołami na drobne kawałki. Pociąg przejechał jeszcze co najmniej trzysta metrów, zanim zatrzymał się. Parowóz stanął akurat obok grupy robotników kolejowych, pracujących przy podbijaniu torów. Zanim dobiegłem do parowozu, trzech maszyniści z parowozu i robotnicy torowi oskubali już z kół i innych mechanizmów maszyny strzępy mięsa z krowy. Maszyniści ładowali swoją zdobycz do kabiny parowozu. Robotnicy torowi, unosząc duże kawałki ściery, pouciekali, chyba do swoich domów. Po paru minutach pociąg odjechał. Na nasypie kolejowym z całej krowy pozostało trochę krwi i kawałek zmiążdżonego łąba krowiego, z jednym rogiem. Wziąłem pod pachę tę resztkę łąba i wróciłem do stada. Popędziłem stado do bazy, z duszą na ramieniu. I z kawałkiem ociekającego jeszcze krwią łąba krowiego pod pachą.

Litwinow spokojnie wysłuchał opowiadania o tym, co się stało.

- Dobrze, że ty żyjesz - powiedział - a krowa rzecz nabyta, postaram się o nową. Żal, bo przez jakiś czas mleka pić

nie będziemy. Idź, umyj się, jak ty wyglądasz, cały jesteś we krwi!

Wielki Tydzień 1944.

W Suurłach byliśmy odcięci od świata i świeżych wiadomości. Nie było tu radiowęzła, posiadanie radioodbiorników było zakazane, gazety docierały do nas okazyjnie i z wielkim opóźnieniem. Jeździłem więc co pewien czas do Czarska i przywoziłem stosunkowo świeże wiadomości: najpierw o powstaniu w ZSRR w 1943 roku Związku Patriotów Polskich pod przewodnictwem Wandy Wasilewskiej, później o utworzeniu Pierwszej Dywizji Piechoty imienia Tadeusza Kościuszki, następnie o jej walkach pod Lenino, a także o tym, że znów jesteśmy sojusznikami Sowieców. Czasem przywoziłem wydawane przez ZPP gazety "Nowe Widnokreśli" i "Wolna Polska" oraz gazety sowieckie z wiadomościami o wyzwolaniu kolejnych miast sowieckich, o zbliżaniu się Armii Czerwonej do granic Polski.

- Już niedługo Polacy będą wracać do Kraju - mówiła mama - a o nas w Suurłach zapomną. Muszę pojechać do Czarska i zapisać się do Związku Patriotów Polskich, chociaż ten Związek jakiś dziwny, chyba komunistyczny.

Poprosiła więc mama Litwinowa o wysłanie jej do Czarska po kolejny przydział mąki dla pracowników bazy. Litwinow zgodził się i mama pojechała po mąkę do Czarska saniami, w Wielki Poniedziałek 1944 roku.

Zostałem sam, z garścią mąki i kubkiem mleka od krowy Litwinowa. Ze świeżą mąką dla wszystkich mama miała wrócić następnego dnia, w Wielki Wtorek. W poniedziałek i we wtorek z resztek mąki zrobiłem sobie rzadką zacierkę na mleku z wodą.

W Wielki Wtorek z rana rozszalał się wyjątkowo silny buran i trwał aż do wieczora Wielkanocnej Niedzieli.

Wielką Środę i Wielki Czwartek przeżyłem o kubku mleka. Zresztą nie tylko ja - inni ludzie w bazie też nie mieli już nic do jedzenia.

W Wielki Piątek Litwinow nie zdzierzył już głodu, załamał się. Było w stajni kilkadziesiąt owiec z niedawnego skupu. Litwinow wszedł do izby Igubajów i powiedział:

- Igubaj, weź nóż i zarznij najładniejszą owcę. Ty, Erysta, nalewaj wodę do kotła na surpę i do samowaru na czaj.

Znał się na rzeczy Igubaj. Przepiękną zarznął owcę, dużą a młodą, o jasnym mięsie i białutkim tłuszczu. Niezbyt długo trzeba ją było gotować.

Baraninę gotowano kazachskim obyczajem: do wrzącej w kotle

wody wrzucono całą poćwiartowaną baranią tuszę oraz osmalone i oskrobane nogi i głowę. Do smaku dodano sól i dwie duże cebule.

Ucztowano również po kazachsku. Najpierw wszyscy umyli ręce i usiedli na podłodze kołem, przy niskim okrągłym stole. W pierwszym rzędzie przy samym stole usiedli mężczyźni i starsi chłopcy. Za mężczyznami, w drugim rzędzie siedziały kobiety z małymi dziećmi i dziewczyny. W trzecim rzędzie poskusznie legły psy.

Igubaj, jako gospodarz, postawił na stole pięknie rzeźbioną, głęboką i dużą jak miednica, tacę z brązu. Każda rodzina Kazachów ma podobną tacę. Do drewnianej miski nalał z kotła chochlę wrzącej surpy, wsypał do surpy jedną drobno posiekaną cebulę i przykrył miskę pokrywką. Teraz zabrał się do mięsa. Na początek wyjął z kotła ugotowaną głowę baranią i błyskawicznymi cięciami ostrego jak brzytwa noża podkrawał z niej na tacę tyle mięsa, ile dało się odkroić. Resztę głowy, wraz z oczami, językiem i mózgiem, podał do ogryzania najstarszemu z obecnych, czyli Dairbekowi. Ten zjadł najpierw oczy, potem język i po rozkucaniu czaszki - mózg. Resztę czaszki podał swojej żonie i dzieciom, by ogryzły ją do końca. Gdy na czaszce nie było już mięsa, kości rzucono psom. Podobnie postępował Igubaj z kolejnymi wyjmowanymi z kotła częściami baraniny: mięso na tacę, kości do ogryzania według Kazachom tylko znanej symboliki starszeństwa dla mężczyzn, mężczyźni kobietom i dzieciom, te na koniec psom. Gdy całe już mięso zostało przez Igubaję oddzielone od kości i na tacy wyrosła góra pokrojonej w drobne kawałeczki baraniny, Igubaj położył mięso surpą z cebulą z drewnianej miseczki i dał znak do rozpoczęcia właściwej uczy.

Zaczęliśmy wszyscy jeść to mięso, palcami. Ujęty w trzy palce kawałeczek mięsa trzeba było wrzucić sobie do ust, przy głowie zadartej do góry. Każdy z nas był bardzo głodny, jedliśmy to mięso na wyścigi: kto więcej, kto szybciej. Zwłaszcza że nie było nadziei na wnętrzności baranie, bo Litwinów kazał przeznaczyć je dla psów: one też od wielu dni nic nie miały w pyskach.

Po zjedzeniu mięsa spokojnie już piliśmy z drewnianych miseczek kazachskich /tzw. kasiejek/ surpę, czyli wywar, w którym gotowała się baranina. Na koniec przystąpiono do wspólnego picia zielonej herbaty: Kazachowie wypili po kilkadziesiąt kasiejek tego płynu. Oni zawsze wypijają tak duże ilości herbaty.

Ja już po pierwszym łyku herbaty poczułem się niedobrze. Ledwo zdążyłem wybiec na korytarz i wszystko co zjadłem, zwymio-

towałem. Bóg mnie pokarał - pomyślałem sobie - za to, że w Wielki Piątek jadłem mięso i wyrwał z mych wnętrzności grzeszne jądło. Teraz znów będę głodny.

Wróciłem do stołu, dopiłem swoją herbatę, podziękowałem i poszedłem spać.

Całą Wielką Sobotę, oraz Niedzielę i Poniedziałek Wielkanocny przeżyłem znów o kubku mleka dziennie.

W Wielkanocny Poniedziałek pod wieczór wróciła moja mama z mąką i z jednym, cudem gdzieś zdobytym i ugotowanym już jajkiem. A także z legitymacją członka Związku Patriotów Polskich w ZSRR.

Dopiero pod koniec Świąt Wielkanocnych podzieliliśmy się z mamą jajkiem /choć nie święconym/, złożyliśmy sobie życzenia rychłego powrotu do Polski, a nadto pojedliśmy wieczorem, do syta, zacierki ze świeżej mąki.

Cztery uroczyste miesiące.

Dwa uroczyste miesiące, choć ze smutnym finałem, przeżyłem w Kazachstanie w roku 1943. Pod koniec czerwca Igubaj, Kairbek, Dairbek i ja zostaliśmy skierowani na sianokosy. Kosiliśmy siano w dolinach między sopkami, w odległości około siedmiu kilometrów od bazy. Na stepach, spalonych słońcem, trawa rosła tylko kępkami i nadawała się wyłącznie do wypasania bydła; w dolinach między sopkami zimą było dużo śniegu, więc w maju i w czerwcu na nasyczonej wilgocią glebie wyrastały bujne, wysokie i wonne trawy, nadające się do koszenia. W końcu czerwca pod palącym słońcem trawy te błyskawicznie wysychały, przemieniały się w suche siano.

W pierwszym dniu pracy rozbiliśmy nasz obóz: zbudowaliśmy cztery niskie szałas, sklecone z przywiezionych ze sobą kilku tyczek i wyciętej na miejscu karagany. Z zewnątrz przykryliśmy, a wewnątrz wymościiliśmy szałas sianem. Obóz urządziliśmy w pięknej dolince, obok małego źródła, którego średnica nie przekraczała dwóch metrów. Z małej piaszczystej niecki, porośniętej dokoła bujną, zieloną i kwiecistą trawą, tryskało kilka stróżek lodowato zimnej wody, unosząc w górę drobinki piasku i bąbelki powietrza. Ze źródła wypływał mały, coraz węższy strumyczek i po kilkunastu metrach zniknął całkowicie w rozpalonej ziemi. Woda ze źródła zaspakajała jednak potrzeby nasze i siedmiu sztuk bydła, które przyprowadziliśmy ze sobą. Nasze stadko bydła składało się z pięciu roboczych wołów i dwóch dojnych krów, a nasz park maszynowy z dwóch kosiarek ciągnionych przez pary wołów, jednych grabi ciągnionych przez jednego wołu, oraz toczydła do

ostrzenia kos. Mieliśmy też kociołki do gotowania stawy i zapas żywności. Niezastąpiony Litwinow sobie tylko znanym sposobem zdobył dla nas większą ilość kaszy jaglanej i co pewien czas przywoził nam trochę mięsa. Do tego mieliśmy mleko od dwóch dojnych krów i swoją przydziałową mąkę. Życ, nie umierać!

Podział pracy był taki: brygadzysta Igubaj i Kairbek kosili siano kosiarkami, przy normie dziennej półtora hektara na kosiarkę. Ja jeździłem grabiami, z normą trzech hektarów dziennie, bo grabie były akurat dwa razy szersze od kos kosiarek. Dairbek w dzień i w nocy pilnował krów i wołów przed wilkami, podsyczał karaganą i saksaułem nieustannie płonące ognisko.

Nasze normy pracy wykonywaliśmy, jednakże z nie małym wysiłkiem, bo popędzane, a często nawet bite woły odmawiały nieraz posłuszeństwa. Stawały nagle, zanurzały swe pyski w trawie i póki sobie trochę nie podjadły, nie chciały pracować.

Skoszone i zgrabione przez nas siano nie wymagało suszenia i było codziennie zwożone do bazy, wozami drabiniastymi. Zwożeniem siana, pod wodzą Tochtyrbaja, zajmowały się żony Igubaja i Kairbeka, najstarsza córka Tochtyrbaja Niurgajsza oraz moja mama.

Dlaczego wspominam ten czas jako miły? Nie tylko z powodu dość pełnego brzucha na sianokosach. Przede wszystkim dlatego, że byłem wówczas słuchaczem cudownych koncertów kazachstańskiej fauny. Z dala od osiedli, na prawdziwym łonie natury, w pachnącym sianem szalasie, każdego dnia długo nie mogłem zasnąć zauroczony przedziwnymi piskami i świstami, pochrząkiwaniami i poszczekiwaniami różnych zwierzątek ziemnych oraz wyciem licznych wilków. Każdego zaś ranka budzony byłem ok świcie trelami, świergotaniem, pohukiwaniami, gwizdami i innymi pięknymi głosami liczego tu ptactwa, budzącego się wraz z naturą do życia. W upalny dzień wszystkie odgłosy zamierały, tylko gdzieś niegdzie wisiał w powietrzu jak na sznurku skowronek, śpiewając mimo upału.

Nie dosypiałem, ale zwierzęce i ptasie koncerty były tego warte.

Wieczorem, po skończonej pracy, ostrzyliśmy na dzień następny trójkątne zęby kos. Z własnej ochoty kręciłem czasami korbę toczydka. Pod koniec drugiego miesiąca pracy czy to z nie wyspania, czy ze zmęczenia, moja ręka ześliznęła się z korby, a wskazujący palec prawej ręki dostał się w tryby toczydka. . Od bólu pociemniało mi w oczach. Wyjąłem z trybów pogruchotany w czubku palec, pobiegłem do źródelka, zanurzyłem całą dłoń w zimnej wodzie. Woda w źródelku zaczerwieniła się natychmiast.

Igubaj oderwał od mojej koszuli pas materiału i zabandażował mi palec. Tej nocy, oprócz gryzoni i ptaków, zasnął przeszkadzał mi silny, rwący ból palca.

Następnego dnia po siano przyjechała mama i na wozie z sianem zabrała mnie do domu. Na bazie pooglądał moją ranę Litwinow i dał jedyne posiadane tu lekarstwo - proszek hipermanganikum, by w jego roztworze moczyć palec.

Przez szereg następnych lat nie miałem czucia w czubku tego palca, jedynie przy słabym nawet chłodzie czułem w nim potworne zimno. Z biegiem czasu wszystko wróciło do normy z wyjątkiem paznokcia, który nigdy nie odrósł tak, jak powinien.

Dwa następne uroczyste miesiące przeżyłem dokładnie za rok, w roku 1944.

W Nowo-Taubince, odległej od Suurków o 50 kilometrów, istniała bliźniacza, ale większa od naszej baza Zagotskotu. Wypasano tam liczne stada owiec i nieco dojnych krów, z własnej hodowli firmy. Na bazę w Nowo-Taubince nałożono plany dostawy /nie wiem, dla kogo/ masła i twarogu. Dyrektor Tarasienko postanowił zatrudnić przy produkcji masła i twarogu kobiety mało-dzietne, aby mniej kradły podczas pracy. Skierował więc do tej pracy własną żonę i córkę oraz moją mamę i mnie.

Żona Tarasienki właściwie nie była jego żoną. Nosiła podobne w brzmieniu nazwisko Tarasowa i miała córkę Lenę, moją rówieśniczkę. Obie pochodziły z Moskwy, ewakuowano je do Kazachstanu w roku 1941, w chwili zagrożenia Moskwy przez Niemców. Tarasow był pułkownikiem i walczył na froncie. Tarasowa poznała w Czarsku wdowca Tarasienkę i związała się z nim na złe czasy. Lena ubóstwiała swego nowego ojca, naśladowała go we wszystkim, nawet w sposobie wyrażania się i chodzenia. Gdy byliśmy w Nowo-Taubince, do Tarasowej przyjechał na parodniowy urlop po szpitalnym leczeniu ranny na froncie jej właściwy mąż. Tarasow przekonał się, że jego żona i córka są pod bardzo dobrą opieką Tarasienki, zdrowo z nim popił i w spokoju ducha odjechał z powrotem na front.

Krowy dojono tylko rano. Dojarki przynosiły mleko w konwiach. Przepuszczaliśmy mleko przez ręczną centryfugę, kręcąc korbą na zmianę - Tarasowa, Lena, mama i ja. Każde z nas, gdy miało na to ochotę, podstawiało kubek pod ciekącą z centryfugi stróżkę śmietany i wypijało życiodajny płyn. Śmietanę wlewaliśmy do dużej bębnowej maselnicy. Nasze mamy, Leny i moja, same kręciły korbą maselnicy dając nam wolny czas, wyganiając Lenę i mnie na zabawy na świeżym powietrzu. Z chudego mleka

wytwarzaliśmy twaróg. Maślanek i serwatki rozdawano za darmo pracownikom bazy, chętnych było bez liku. Zrobione masło przetapiano. Konwie z przetopionym masłem i z twarogiem co parę dni wysyłano gdzieś, ale nie wiem dokąd.

Mogę powiedzieć, że przez dwa miesiące pływałem w mleku, w śmietanie i w maśle. Pieczone podpłomyki smarowałem masłem grubiej, niż wynosiła ich grubość. Nabiału jadłem tyle ile dusza, a raczej ile żołądek zapragnie.

Ale, czy samym chlebem człowiek żyje? Miałem już prawie 14 lat, a Lena była śliczną, smukłą i smagłą dziewczyną. Była cudownym kompanem do rzecznych kąpielii, dzikich hasań po stepie, wspinaczek na piękne wapienne skałki, do łowienia ryb na "morduszkę". I do pierwszych w moim życiu pieszczot, bezgrzesznych jeszcze, ale jakże miłych i przyjemnych.

Tarasienko często zabierał Lenę i mnie, gdy wyjeżdżał swoją dwukółką wizytować wypas stad na odległych pastwiskach. Wizytowani Kazachowie częstowali nas wtedy kumysem, czajem, bursakami /to takie mikroskopijne niby-pączki, pieczone w maśle/ oraz serami owczymi - kwaśnym kurtem i słodkim eremczikiem.

Walcząca na froncie armia była wciąż nie nasycona. Wkrótce trzeba było poświęcić liczne stada owiec i dojne krowy, wysyłając je na rzeź do Semipałtyńska. Skończyła się produkcja nabiału w Nowo-Taubince, wracaliśmy znów do Suurłów.

Wielki żal ścisnął młode serduszką, gdy żegnałem się z Leną.

Czeczeny, tyfus, bochenek chleba.

Gościnnie ziemio Kazachów! Jak ochoczo przyjmujesz wszystkich na swoje łono! Szkoda tylko, że nie czynisz tego dobrowolnie, a na rozkaz swego komunistycznego tyrana, pod jarzmem którego sama też jęczysz. Stwórca hojnie wyposażył twą powierzchnię w niezmiernie, o zróżnicowanej rzeźbie przestrzeni i w całą gamę zdrowych klimatów. Twoje wnętrza wyposażył w liczne bogactwa naturalne, od kamienia wapiennego aż po złoto. Mogłabyś żyjącym na tobie ludziom zapewnić prawdziwy dobrobyt, a dobrowolnym przybyszom dostarczyć niezapomnianych wrażeń, choćby z polowań na wilki i argali, zwanych tu archarami.

Niestety, sama jesteś niewolnicą i rzesze niewolników gościsz u siebie na rozkaz swego rosyjskiego, komunistycznego ciemięzcy. Stałaś się miejscem zesłania i katorgi dla wielu Ukraińców, Białorusinów, Polaków, Litwinów, Łotyszy, Estończyków,

Niemców nadwołżańskich i dla wielu innych narodowości, przesiedlonych tu karnie ze swoich stron ojczystych, na wynarodowienie i na pohybel.

W roku 1944 przyjęłaś na swe łono kolejnych nieszczęśników - Czeczeńców, przesiedlonych w całości z gór Kaukazu za to, że niektórzy z nich dali się namówić na współpracę z okupantem hitlerowskim.

Grupkę Czeczeńców zesłano też do Suurków. Pewnego letniego dnia eszelon z czeczeńskimi zesłańcami zatrzymał się po prostu na stacji w Suurkach, ludziom z jednego wagonu kazano szybko wysiąść, a pociąg z pozostałymi Czeczeńcami po paru minutach pojechał dalej.

Pozostawieni sami sobie, zbici w gromadę Czeczeńcy wraz z ich skromnym dobytkiem przebywali przy torach nie wiedząc, co dalej z sobą począć. Pod wieczór ulitował się nad nimi Litwinow i ulokował wszystkich w dwóch pustych pomieszczeniach bazy: w tym, które zajmował niegdyś owrzodzony koń i w tym, w którym Tochturbaj zarzącał mego Bobika.

Dziwny to naród ci Czeczeńcy. Albo nie zdawali sobie sprawy z czekającego ich losu, albo w ich naturze zakodowana jest obojętność na sprawy doczesne. Dopóki mieli co jeść /a każda rodzina przywiozła ze sobą po 2 - 3 worki mąki kukurydzianej/ nie przejmowali się dosłownie niczym. Na podwórkowych ogniskach piekli codziennie swoje ulubione kukurydziane placki "czureki", gotowali zawiesziste zupy kukurydziane i jedli do syta, a po posiłkach śpiewali wesoło lub tańczyli swe ogniste kaukaskie tańce, klaszcząc przy tym i waląc w tamburyny. Przed posiłkami zaś wszyscy Czeczeńcy, nawet dzieci, chodzili do latryny z fantazyjnymi, wysokimi, srebrnymi lub cynowymi dzbanuszkami wypełnionymi wodą. Dokonywali opróżnienia swych organizmów oraz ablucji, by do kolejnego posiłku zasiąść z czystymi ustami, rękami i... powiedzmy że wylotami.

Mamę i mnie przywieziono do Kazachstanu z Pokucia, gdzie jedną z ulubionych potraw jest kulesza, czyli kukurydziana mama-łyga. Mąki kukurydzianej nie widzieliśmy od czterech lat, a tu nagle tyle jej u Czeczeńców. Chciała mama kupić u nich trochę tej mąki, próbowała zamienić naszą mąkę pszenną na ich kukurydzianą, aby choć raz ugotować kuleszę - nic z tego nie wyszło. Czeczeńcy nie chcieli nawet słuchać o sprzedaży lub zamianie swej mąki. Nawet na mięso nie chcieli mąki wymienić.

Do zimy skończyła się Czeczeńcom ich mąka. Jako wrogów ludu, Czeczeńców nie przyjęto nigdzie do pracy, a jako pasożyci

nie dostali kartek na chleb. Dalej o Czeceńcach wolałbym nie pisać, bo jest to zbyt bolesne - do końca zimy przeżyło niewielu Czeceńców. Przeżyli przede wszystkim dorośli, ale młodzi i przystojni mężczyźni, którymi z braku mężczyzn zaopiekowały się liczne miejscowe wdowy wojenne. Przy okazji przeżyła też część rodzin tych Czeceńców.

Żyło jeszcze sporo "naszych" Czeceńców, gdyż mimo zakazów litował się nad nimi Litwinow dając im czasami /kosztem psów/ jakieś ochłapy, gdy zimą 1944-1945 roku moja mama zachorowała na tyfus. Nie wiem jak to się stało, że ja nie uległem tej chorobie, ponieważ przez cały czas spałem obok mamy na tej samej pryczy i wszy po nas łąziły, a rzekomo one właśnie są roznosicielkami zarazków tyfusu.

Przez tydzień, a może nawet przez dwa tygodnie, już tego nie pamiętam, moja mama leżała zupełnie nieprzytomna, mąjaczyła w wysekiej gorączce. Byłem bezradny i zrozpaczony, nikt nie umiał mi pomóc w tej tragicznej sytuacji, nie było żadnego lekarstwa - a chciałem za wszelką cenę mamę uratować. Nieprzytomna mama nie mogła nic jeść. Na szczęście Litwinow miał już nową dojną krowę i codziennie dawał mi litr mleka. Karmiłem więc nieprzytomną mamę przegotowanym tłustym mlekiem, ostrożnie wlewając je łyżką do ust mamy i uważając, by mama nie zakrztusiła się. Żona Litwinowa miała beczkę kiszzonej kapusty i sokiem z tej kapusty też poikłem mamę.

Później mama odzyskała przytomność, zapadała w majaki tylko sporadycznie, wreszcie zaczęła zdrowieć. Ale garściami zaczęły wypadać jej włosy, z bujnej dotąd fryzury pozostała na głowie nie więcej niż połowa włosów. Od tego czasu aż do końca życia mama obwiązywała głowę chustką.

Wraz z wyzdrowieniem u mamy pojawił się wilczy wprost apetyt. Miałem mąkę, karmiłem zdrowiejącą mamę coraz gęściejszą zacierką na mleku. Wreszcie mama, ciągle jeszcze nie mogąc wstać o własnych siłach, zaczęła domagać się pieczywa. Zagniotłem ciasto i upiekłem na płycie dwa duże placki. Zapach pieczonych placków rozległ się po całej bazie. Odstawiałem je z płyty na bok dla schłodzenia, a tu nagle drzwi z łoskotem otworzyły się i do pokoju wpadło trzech Czeceńców. Najstarszy z nich Zukumbek miał co najmniej 18 lat, dwaj jego bracia byli młodszy. Zukumbek powalił mnie na ziemię, przytrzymał i uderzył kilka razy po głowie pięścią, a jego dwaj bracia uciekli w tym czasie z plackami.

Pobiegłem poskarżyć się Litwinowowi. On, znów z dubeltówką, wpadł do izby Czeceńców by odebrać im moje placki. Niestety, placki były już zjedzone i to bez uprzedniego obowiązkowego rytuału podmywania się w latrynie wodą z wysokiego dzbanka. Litwinow zagroził Czeceńcom, że w przypadku powtórzenia się kradzieży wystrzela ich wszystkich tak, jak świnie rok temu wystrzelał. Z nerwów zapomniał, że Czeceńców przy tym nie było.

Dwa następne placki upiekłem przy drzwiach zamkniętych mocno na zasuwę.

Kiedy mama całkiem już wyzdrowiała, poszła do matki Zułumbeka zapytać ją, dlaczego wychowała swych synów na złodziei bez sumienia, okradających chorą kobietę, bijących małego chłopca. Wychudzona, zaszępiła matka Zułumbeka, nie odrywając wzroku od podłogi odpowiedziała:

- Byli głodni, placki zjedli. A sumienie to nie dym, oczu nie wygryza.

Matka Zułumbeka zmarła z głodu niedługo po tej rozmowie.

My również przymieraliśmy głodem w tym okresie. Tylko przydziałowa mąka i łaskawe mleko od Litwinowa. A mama wciąż miała duży apetyt po przebytych tyfusie. Pewnego wieczoru mama poszła do żony zawiadowcy stacji kolejowej, może u niej uda się coś kupić. Udało się. Ostatnie nasze złoto, swoją ślubną obrączkę, mama wymieniła u niej na duży, czterokilowy bochen chleba własnego wypieku. Jakże cudowny chleb ten miał zapach! Mama schowała chleb pod poduszkę, mieliśmy zacząć go jeść "od jutra" na śniadanie. Zapach chleba nie dawał jednak zasnąć. Nieśmiało zapytałem:

- Mamo, skubniemy po kawałeczku?

Skubnęliśmy. Raz, drugi, trzeci, dwudziesty. Do zaśnięcia zjedliśmy pół chleba, a resztę na śniadanie.

Po wojnie, pod koniec lat sześćdziesiątych, jeżdżąc jako pilot z wycieczkami po Związku Radzieckim, kupiłem w leningradzkim komisie dużą, grawerowaną, zabytkową złotą obrączkę. Sprezentowałem ją mamie ze słowami:

- W Związku Radzieckim za jeden chleb oddałeś swoją ślubną obrączkę. A ja znów tam byłem i odzyskałem Twoją obrączkę, ona przez ten czas nawet trochę urosła. Noś ją na zdrowie. Ale. ale... za obrączkę trzeba oddać bochenek chleba.

- Pół chleba - odpowiedziała mama - drugą połowę przecież ty zżarłeś, a zacząłeś jeść jeszcze w nocy.

Potem uśmiechnięta przez łzy mama ucałowała mnie serdecznie. W drugiej rozmowie wspominaliśmy zły koszmar i dobrych

ludzi, którzy pomogli nam w przeżyciu tego koszmaru.

- o -

Na tym kończę wspomnienia z pobytu w malutkich, "zabitych deskami" Suurłach. Przeżyliśmy tam dużo więcej złych i dobrych chwil, których nie opisałem. W Suurłach jedliśmy z głodu wstrętne, śmierdzące naftą makuchy, w Suurłach też, dla oszukania pustego żołądka, często - zamiast gumy do żucia - żułem smołę wytapianą z papy. Opisałem wszakże wydarzenia, które najbardziej utkwiły mi w pamięci i ludzi, dzięki którym przeżyliśmy bardzo trudne czasy.

- o -

Z dużym opóźnieniem, po dopiero w lutym 1945 roku, dotarła do nas w Suurłach wiadomość o wyzwoleniu Warszawy z niewoli hitlerowskiej. Tego samego dnia mama postanowiła, że musimy opuścić Suurły, gdzie byliśmy jedynymi Polakami i przenieść się z powrotem do Czarska. Mama poszła do Litwinowa.

- Panie Zawiedujszczyj /Litwinow lubił, gdy mama zwracała się do niego per "pan"/ - musimy zaraz wyjechać stąd do Czarska. Jeżeli Hitler oddał Warszawę, to i cała Polska wkrótce będzie wolna. Polacy z Czarska wyjadą do Polski, o nas zapomną. My nie chcemy zostać tu na zawsze, chcemy jak najszybciej wracać do swego Kraju.

Litwinow zgodził się, następnego dnia dał sanie i stary Dairbek odwiózł nas do Czarska.

W Czarsku znów zamieszkaliśmy u Szury Morozowej-Gridasowej, ale nie przy ulicy Hercena, bo tamtem dom Szura w międzyczasie sprzedała, a kupiła sobie nieco mniejszy dom przy ulicy Depawskiej 8 i w tym właśnie domu zamieszkaliśmy. Przy tym domu też był mały ogródek ze studnią z żurawiem, a w małej stajence stał ten sam co przy ulicy Hercena osiołek. Dom, podobnie jak poprzedni, składał się z dwóch izb /pokoju i kuchni/ oraz małej sionki. Ulokowaliśmy się w kuchni, a naszym pierwszym tutaj zajęciem było dokładne odwszenie naszych głów i rąk z kazachskich wszy przywiezionych z Suurłów. Dużo czasu nam to zajęło.

Okazało się, niestety, że nie jesteśmy jedynymi lokatorami u Szury. Mieszkał też u Szury Czecczeniec Zoirbek, dużo od niej młodszy, którego kochliwa Szura przygarneła do siebie nie z litości nad podłym losem Czecczeńców, lecz z potrzeby swej gorącej krwi. Miała do tego pełne prawo, przecież już dawno temu dostała wiadomienie o śmierci męża na wojnie. Zoirbekowi zaś, oraz jego matce

i siostrze, opieka Szury pomogła w przeżyciu ich pierwszej surowej zimy w Kazachstanie.

Nie lubiłem Czezeńców. Pamiętałem o ograbieniu mnie i mojej chorej mamy z placków przez Żużumbeka i jego braci. Pamiętałem, że Czezeńcy nie chcieli nam sprzedać ani garści maki kukurydzianej. Od początku nie darzyłem więc Żoirbeka swymi względami. On mnie też. Nigdy nie rozmawialiśmy ze sobą.

Po powrocie do Czarska mama zaczęła pracować znów jako sprzątaczką w biurze rejonowym "Zagotskotu". Ja też chciałem poszukać sobie jakiegoś zajęcia, ale mama mi nie pozwoliła.

- Pracując dostaniesz o 200 gramów chleba więcej i co z tego? Jesteś jeszcze dzieckiem, nie chcę żebyś stracił zdrowie przed samym wyjazdem do Polski. Za parę tygodni będzie lato, zajmiesz się ogródkiem i łowieniem ryb, to przyniesie nam więcej korzyści niż robocza kartka na chleb.

Nie pracowałem więc w ostatnim roku naszego przymusowego pobytu w Kazachstanie. Moimi codziennymi zajęciami były w tym czasie: poranne wystawanie w kolejkach po chleb i po gazety, handlowanie na bazarze /najczęściej jabłkami i papierosami, kupowanymi od pasażerów przejeżdżających przez Czarsk pociągów/, uprawianie ogródka i łowienie ryb. Brałem też udział w innych ciekawych wydarzeniach, które pomogły nam przeżyć i o których chcę wspomnieć.

Jochim po raz drugi.

W kilka dni po naszym przyjeździe do Czarska, do Szury zawitał jej wujek Jochim, ten z kopalni złota. Serdecznie przywitał się z nami, usiadł i zapłakał:

- Wiecie, po co tu przyjechałem? Po pieniądze za mego jedynego syna! Dostałem powiestkę o jego śmierci na wojnie i wezwanie do odbioru odprawy pośmiertnej za syna. Nasi dochodzą już do Germanii, koniec wojny już bliski, a on zginął, zabili go faszyci, zabili mego jedynego, dobrego syna, kapitana. Nie pokazałem powiestki mojej starej i nigdy nie pokażę. Ona już stara i chora, niedługo umrze, niech ma do końca życia nadzieję na powrót naszego kochanego, jedynego syna. Oj, gorie, gorie!

Wypłakał się Jochim rzewnymi łzami i poszedł do banku po pieniądze za syna. Przyniósł ponad dwa tysiące rubli, rzucił je na stół i znów gorzko zapłakał.

- Jak można dawać rodzicom pieniądze za życie syna? Gdybym pokazał te pieniądze zamiast syna swojej żonie, natychmiast by umarła z rozpaczy. Ja też nie chcę widzieć tych pieniędzy. Staśka,

bierz bańkę, przynieś za wszystkie pieniądze spirytusu.

Poszedłem. Spirytus sprzedawano w sklepie tzw. komercyjnym, po 800 rubli za litr. Kupiłem trzy litry spirytusu. Za resztę pieniędzy kupiłem po drodze od jakiejś starowiny-przekupki cztery duże kiszone ogórki. Tyle było warte życie oficera Armii Czerwonej.

Miała Szura w domu wiadro kartofli. Kilka sztuk obrała, pokroiła w talarki i usmażyła szybko na baranim łożu. Podała "ziarienuju kartoszku" wraz z patelnią na stół, postawiła obok talerz z kiszonymi górkami, bańkę ze spirytusem i cztery błaszane kubki. Jochim dodał do tego ćwiartkę swego chleba. Jochim, Szura, mama i ja usiedliśmy przy stole do stypy za zabitego na wojnie syna Jochima.

Dla mnie też nalano do kubka odrobinę spirytusu, mimo protestów mojej mamy. Z mieszanymi uczuciami wypiliśmy ten pierwszy w moim życiu łyk alkoholu. Z jednej strony żał mi było starego Jochima - człowieka, który w poprzednich latach tak bardzo pomógł nam w przetrwaniu, uchronił nas od głodu. Z drugiej zaś strony odczuwałem wyrzuty sumienia uczestnicząc w stypie za zabitego oficera sowieckiego. Kto wie - myślałem sobie - co on robił w 1939 roku, może też wbijał nóż w plecy walczącym z Niemcami Polakom, może właśnie on lub jego podwładni zabili mego ojca?

Krótko walczyłem z własnymi rozterkami duchowymi, bo wypity spirytus zaraz zwałił mnie z nóg i mama ułożyła mnie do snu.

A Jochim pił na umór przez trzy dni, dopóki nie wypił spirytusu z bańki do dna. Pijąc, ciągle płakał i powtarzał:

- Nigdy nie powiem swojej staruszce o śmierci naszego syna! Niech czeka na niego do ostatnich dni swoich. Niech ma nadzieję!

Potem odjechał do swojej kopalni. Na pożegnanie powiedział mojej mamie:

- Masz dobrego syna, Marusia. I na szczęście za małego do wojska. Dbaj, żebyś go nie straciła. Ja też będę o nim pamiętał - ile razy przyjadę, przywiezę coś dla niego. Staśka to mądry chłopak, przypomina mi mojego syna, on też był taki "umnyj".

I rzeczywiście, za każdym przyjazdem do Czaraka Jochim przywoził dla nas trochę mąki i konserw. W owych czasach, gdy ludzie dokoła głodowali, dary Jochima stanowiły dla nas pomoc wprost nieocenioną. Na handel, jak przed laty, Jochim nie już nie przywoził.

- Po co mi pieniądze - mówił - skoro nie mam syna. Dla niego ryzykowałem, chciałem by dobrze urządził się po wojnie. A zabili go, kochanego, gady faszyci. Nigdy nie powiem o tym mojej staruszce.

W co się ubrać?

Miałem niespełna dziesięć lat, gdy przywieziono nas do Kazachstanu. A teraz, w roku 1945, byłem już prawie piętnastoletnim wyrostkiem. Wyrosłem ze wszystkiego co miałem - z ubrań, z bielizny i z obuwia. Ponadto wszystko było już zdarte i wielokroć łatanie. Moja mama dokonywała cudów sztukując i poszerzając moje odzienia, łatając je i cerując. W kłopotach z odzieżą nie byłem odesobniony: wszyscy mieli podobne problemy, wszyscy chodzili w byle jakich łachmanach, rozmiarami najczęściej za małych lub za obszernych.

Z obuwia miałem tylko stare walonki na zimę i spękane kalosze na okresy przejściowe. Latem, jak wszyscy, chodziłem boso. Z bielizny i z ubrania w roku 1945 nie miałem już dosłownie nic.

Pewnego razu nasza gospodyni Szura przyniosła do domu piękny, nowy, solidnie i gęsto utkany worek. W takich workach jeden jedyny raz dostarczono mąkę do piekarni i tam, kto tylko miał możliwość, zaraz ukradł dla siebie taki worek. Szura rozwoziła mąkę i chleb, więc skorzystała z okazji.

Piękne spodnie można by uszyć z tego worka - pomyślałem sobie. Wielu chłopców, a nawet dorosłych mężczyzn, nosiło wówczas spodnie uszyte z worków, nawet z tych rzadko tkanych, przez które przeświecało gołe ciało. A tu taki śliczny, gęsto tkany worek, prawie że samodział!

Dokonaliśmy z Szurą wymiany. Ona dała mi worek, a ja jej kilka rolek szerokiej gazy opatrunkowej. Szura uszyła z gazy firanki do okien i falbankowe przykrycie na łożko, a ja własnoręcznie uszyłem sobie spodnie z worka. Własnoręcznie, bo nie zgodziłem się z mamą co do fasonu spodni. Mama chciała uszyć mi spodnie z wąskimi nogawkami a ja chciałem, by one były jak najszersze, bo takie były wtedy "w modzie". Poza tym tylko ja wiedziałem, jak przepastne muszą być w spodniach kieszenie, by ukryć w nich co trzeba przed wzrokiem ciekawskich, a szczególnie milicjantów.

Skąd wziąłem gazę na wymianę za worek? Skolegowałem się w tym czasie z rosyjskim rówieśnikiem Wadikiem, zupełnym sierotą, ewakuowanym do Czarska z obłązonego Leningradu tzw. "drogą życia" przez jezioro Ładoga. Jego rodzice zmarli z głodu w Leningradzie, a on przyjechał do Czarska z młodą ciotką lekarką Walą Akułową i starym wujkiem aptekarzem. Wspólnie z Wadikiem wyślągaliliśmy u jego ciotki wypisanie kilku recept na gazę i watę opatrunkową, a wujek Wadika zrealizował nam te recepty w aptece, mimo że mate-

riały te, ze względu na toczącą się wojnę, były wprost na wagę złota.

Gazę wymieniłem za worek, została mi wata. Pożyczyłem od Szury wrzeczono i sam uprządziłem z waty włóczkę. Nawet zgrabnie mi to wyszło. Z tej włóczki, znów własnoręcznie, zrobiłem sobie na drutach ni to koszulę, ni to sweter. Nareszcie miałem coś na miarę, z długimi jak trzeba rękawami. Niestety, nie można było tego koszulo-swetra prać, bo włóczka z waty rozlazła by się w wodzie. Po pełnym czasie moje wdzianko przybrało więc postać brudnego, przepeconego pancerza - ale kto by się tym przejmował - grunt, że nie chodziło się nago. Z braku ubrań i mydła wszyscy chodzili oberwani, brudni i zawszeni.

W owych spodniach z worka /z kilkoma naszytymi na nich później łatkami/, w brudnym koszulo-swetrze z waty i na bosaka, w maju 1946 roku powróciłem do Polski.

Biały chleb i cukierki.

29 kwietnia 1945 roku wieczorem, Szura zdradziła mi tajemnicę służbową:

- Staśka, jutro wstań bardzo wcześnie, zajmij dobre miejsce w kolejce pod sklepem. Jutro, z okazji Pierwszomajowego Święta i naszego zwycięstwa - bo nasi są już w Berlinie - w sklepie będą dawać biały chleb zamiast czarnego, na dwa dni. Będą też wydawane cukierki na kartki na cukier.

Kartki na cukier dostawaliśmy przez cały czas, co miesiąc, z normą od 200 do 400 gramów miesięcznie. Przez szereg lat nie realizowano jednak tych kartek i nie wiem, po co zadawano sobie trud ich drukowania. Podobnie było z kartkami na mięso-rybę, kaszę-makarony i na tłuszcz, które realizowano bardzo rzadko, a nigdy w przewidzianej ilości /miesięczne normy w różnych okresach wynosiły: mięso-ryba od 1200 do 1800 gramów, kasze-makarony od 1000 do 1200 gramów, tłuszcz od 200 do 400 gramów/.

O czwartej rano stałem już w kolejce i wcale nie byłem pierwszy - uplasowałem się w drugiej dziesiątce głodomorów. Było zimno. Miałem na sobie swój przedwojenny jeszcze płaszcz, który teraz był dla mnie przyciasną kurtką, z rękawami do łokci. Płaszcz był koloru granatowego i miał duży, brązowo-czarny, futrzany kołnierz. Przed wojną chodziłem w tym płaszczu zimą do szkoły.

Kolejka pod sklepem wydłużała się i gęstniała z minuty na minutę, przed godziną szóstą przemieniła się w duży, bezładny tłum. O szóstej rano otwarto sklep. Tłum wdarł się do sklepu

jak tabun oszalałych komi, tratując i pozostawiając na zewnątrz słabych i niedołączonych. Cudem udało mi się w ostatniej chwili podskoczyć do góry, uczeplić się roślejszych ode mnie i dosłownie wjechałem do sklepu na plecach ludzkiej fali. W sklepie, przy samej ladzie, z wielkim trudem ześliznąłem się z cudzych pleców na podłogę. Fanfary duszy grały zwycięstwo! Dzięki szturmowi tłumu i własnemu sprytowi znalazłem się przy samej ladzie, bardzo blisko wagi, nie dalej niż na piątym miejscu w kolejce. Już po paru minutach stałem się posiadaczem dwóch kilogramów białutkiego chleba i 600 gramów białych i czerwonych cukierków, o kształcie ptasich jaj.

Oburącz przycisnąłem cenną zdobycz do piersi. Wydostanie się ze sklepu, przedarcie się przez ściśnięty i zdesperowany tłum, zajęło mi dużo więcej czasu niż dokonanie zakupu. Po wyjściu ze sklepu byłem cały mokry, z wysiłku i z emocji.

Mama była jeszcze w domu, gdy wróciłem ze sklepu. Na mój widok złapała się za głowę i zawołała:

- Stasiu, co się stało z twoim płaszczem? W czym teraz będziesz chodził?

Dopiero wtedy zauważyłem, że u płaszcza brak lewej poły i kołnierza. Nie miałem pojęcia, kiedy je oderwano - czy podczas szturm na sklep, czy w ścisku w sklepie, czy w czasie wydostawania się ze sklepu.

- Mamo, za parę dni będzie już ciepło, a latem wrócimy chyba do Polski, kupimy nowy płaszcz. Mam za to białuśki chleb i cukierki - popatrz, jakie ładne, biało-czerwone, polskie. Za cztery dni wielkie święto, Trzeciego Maja, napijemy się herbaty z polskimi, biało-czerwonymi cukierkami.

Co do powrotu do Polski, omyliłem się, niestety. Czekają nas jeszcze cały rok pobytu w Kazachstanie, jeszcze jedna sroga tutejsza zima. Przetrzymałem ją dzięki szynelowi wojskowemu, o czym m.in. za chwilę. A mój stary płaszcz, bez kołnierza i bez lewej poły, mama sprzedała jednej Rosjance za 40 rubli. Kobięcina była zachwycona nabytkiem.

- Taki dobry materiał, chyba carski - mówiła, cmokając ustami - to nie, że bez jednej poły. Mój synek maleńki, starczy materiału na płaszczyk dla niego.

Za 40 rubli mama kupiła wiaderko ziemniaków. Przez kilka dni delectowaliśmy się "żarioną kartoszką".

G r i s z a .

9 maja 1945 roku zakończyła się druga wojna światowa, a w czerwcu Szura otrzymała trójkątny list. Jego nadawcą okazał się Grigorij Gridasow, dawno uznany za zabitego męż Szury. Skąd list napisał - nie wiadomo. Połowa poczta numer taki to a taki i koniec.

List był krótki i bardzo uprzejmy. Grisza pisał, że zgodnie z daną obietnicą wojnę przeżył i zamierza wrócić do domu. Pytał, czy jest po co wracać - niech Szura odpisze, czy ona żyje i czy nikt inny nie zajął jego miejsca w jej sercu. A także, czy jego akordeon leży na swoim miejscu.

Zamiast radości, Szurę ogarnęło przerażenie.

- Nie odpiszę! Przyjedzie i zabije mnie. Naprzód za sprzedany akordeon, a później za Pietkę i za Zoirbeka. Baby nie zmilczą, wszystkie kochały się w moim Griszy, teraz każda zechce go dla siebie, powiedzą mi o wszystkim. Przyjedzie i zabije. Nie odpiszę! Niech myśli że mnie tu nie ma, albo że umarłam. Może nie wróci do Czarska. Nie odpiszę!

- Tiotia Szura - wtrąciłem swoje trzy grosze - tak nie można, trzeba odpisać. Każdy tęskni za swoim domem i chce do niego wrócić. My już pięć lat czekamy na powrót do Polski i coraz większa tęsknota nas zżera. Nie bójcie się swego męża, pokażecie mu czarną powiestkę o jego bohaterkiej śmierci i zobaczycie, że on przebaczy wam wszystko. Siadajcie, tiotia Szura, odpisujcie na list. Mam kartkę papieru i chemiczny ołówek, proszę, piszcie.

- Nie odpiszę. Przyjedzie i nie przebaczy, zabije. Zwłaszcza za harmonię. Zakazał sprzedawać, a sprzedawałam, o ja nieszczęśliwa!

- Siadajcie, tiotia Szura, piszcie. Przebaczy, zobaczycie.

- Nie będę pisać! Przyjedzie, to zabije. Chcesz, to sam napisz do niego. A pisz całą prawdę, niczego nie ukrywaj!

Usiadłem i napisałem. Po miesiącu dostałem odpowiedź. Grisza pisał, że rozumie ją żonę i przebacza jej, że wkrótce przyjedzie. Przykro mu, że nie Szura, a obcy chłopak do niego odpisał.

Po przeczytaniu tego listu Szurą zaraz odstawiła Zoirbeka od ciepła jej domowego ogniska i z drżeniem serca czekała na Griszę.

W połowie lipca Grisza przyjechał. W mundurze, ale bez żadnych dystynkcji i bez jakichkolwiek odznaczeń, podczas gdy inni wracali obwieszani orderami i medalami. Przyjechał za to z nowym akordeonem, nabytym gdzieś po drodze. Czułe przywitał się z Szurą, serdecznie z moją mamą i ze mną. Z ciekawością pooglądał "powiestkę" o swojej śmierci na polu walki, po czym powiedział:

- Kogo fałszywie uśmiercili, ten bardzo długo żyć będzie!

Na powitanie męża Szura przygotowała wspaniałe przyjęcie: nagotowała barszczu i pielmeni /pierożków/ z mięsem, napiekła dużych pierogów nadziewanych kapusta, farszem mięsnym i burakami, usmażyła kartofli całą dużą patelnię, kupiła litr spirytusu. Jej tajemnicą pozostało, skąd i jak to wszystko zdobyła. Na powitalne przyjęcie przyszło mnóstwo proszonych i nie proszonych gości, przeważnie kobiet. Niektórzy przynieśli wódkę albo jakieś przekąski, co kto miał. Do późnej nocy gospodarze i goście ucztowali, śpiewali i tańczyli, w domu i przed domem. A Grisza grał i grał na swym akordeonie, ślicznie, po mistrzowsku, nie Szura nie przesadziła w wychwalaniu jego gry.

Grisza był jednym z pierwszych, którzy wrócili z wojny i już dlatego stał się obiektem ogólnego zainteresowania. Ludzie pytali go o to, gdzie przebywał, w jakich stronach wojował, czy nie spotykał się z tymi, od których brak wiadomości. A Grisza jakby nabrał wody w usta, zbywał wszystkie pytania milczeniem lub nic nie znaczącą odpowiedzią - "było, minęło, nie ma o czym mówić, nie chcę wspominać". Ja też chciałem wiedzieć jak Grisza wojował i dlaczego podczas wojny nie napisał do Szury ani jednego listu. W odpowiedzi usłyszałem: "To moja sprawa, nigdy mnie o to nie pytaj".

Coraz więcej żołnierzy powracało z wojny. Powracających witano serdecznie, z całą rosyjską wylewnością, czym chata bogata. Na każdą taką uroczystość zapraszano Griszę z akordeonem, a Grisza zabierał mnie ze sobą. Mówił do mnie:

- Pójdziemy razem, Staśka. Dzięki tobie jestem w domu. Rodzina żona nie odpisała na list, a obcy chłopak odpisał. Będę za to zabierał ciebie na wszystkie "wiesielija" i "swadby", chociaż pojedziesz sobie dobrze za to, żeś napisał do mnie. Nie i do domu mnie odprowadzisz, jeśli wypiję za dużo, akordeonu też przypłnujesz.

Nie było w zasadzie tygodnia bez uroczystości powitalnych, a wkrótce i weselnych, bo masowo ludzie pobierać się zaczęli. Grisza grał, śpiewał i pił, a ja pilnowałem Griszy i akordeonu, a przede wszystkim swego: opychałem się żarciem sam i po kilka dużych pierogów chowałem do kieszeni dla mamy. Z każdego przyjęcia przynosiłem też w kieszeniach po kilka kromek chleba. Nie jedliśmy tego chleba, suszyliśmy z niego suchary na drogę do Polski.

I tak, dzięki Griszy udało się nam stosunkowo znośnie przeżyć ostatni rok naszego pobytu w Kazachstanie i zgromadzić cały worek sucharów na podróż do Polski.

Ostatnie miesiące na wygnaniu.

W lipcu 1945 roku gazety Związku Patriotów Polskich podały wiadomość o powołaniu Polsko-Radzieckiej Komisji Mieszanej do spraw ewakuacji osób narodowości polskiej i żydowskiej. Wiadomość ta tchnęła w nas nowe życie, teraz już z dnia na dzień oczekiwaliśmy na wyjazd do Kraju. Jednakże w Czarsku aż do zimy 1945 - 1946 roku nic się w tej sprawie nie działo. Dopiero zimą NKWD /przemianowane niedawno na MWD, ale wszyscy i tak używali starej nazwy tej groźnej firmy/, a nie żadna Komisja Mieszana, rozpoczęło działania w sprawie wyjazdu Polaków z Czarska i okolic do Polski.

Każdy, kto miał ukończone 14 lat, był wzywany /nierzaz kilkakrotnie/ do NKWD, gdzie musiał osobiście i na piśmie wyrazić swą wolę powrotu do Polski, udowodnić swoją polskość, przedłożyć liczne wymagane dokumenty. Pod groźbą nie wypuszczenia z ZSRR przykazano złożyć w NKWD wszystkie posiadane przedwojenne polskie dokumenty. Grożono zawróceniem z powrotem nawet z granicy polsko-radzieckiej w przypadku znalezienia tam przy kimś jakichkolwiek dokumentów. Ze strachu mama oddała w NKWD nawet książeczkę wojskową mego ojca, którą mieliśmy jako jedyną pamiątkę po ojcu /do dziś najbardziej mi żał utraty tego właśnie dokumentu/. Zażądano od nas zaświadczeń i opinii ze wszystkich miejsc pracy, w których byliśmy zatrudnieni. Na szczęście mieliśmy odnośne zaświadczenie z sowchozu w Czałabaju, wystawił je mamie przezorny Sabirow. Do Suurłów i do Nowo-Taubinki trzeba było jednak pojechać po "bumagi", bo dla NKWD nie miało wartości zaświadczenie z Rejonowego Zarządu "Zagotskotu", jednostki nadrzędnej wobec baz w Suurłach i Nowo-Taubince. Wydaje się, że mnożąc wymagania, NKWD chciało po prostu utrudnić lub uniemożliwić nam wyjazd do Polski.

Mama przywiozła papiery z Suurłów, ja pojechałem po nie do Nowo-Taubinki. Pojechałem w szynelu wojskowym, który na początku zimy sprezentował mi Grisza i w pożyczonych od niego butach z cholewami, bo w dniu wyjazdu było stosunkowo ciepło, a Nowo-Taubinkę od przystanku kolejowego dzieliła odległość ponad dwóch kilometrów, w walonkach ciężko przebywa się takie odległości. Tam i zpowrotem jechałem na stopniach wagonu, bez biletu, bo bilety sprzedawano tylko posiadaczom przepustek i delegacji, po wielodniowym oczekiwaniu. Do Nowo-Taubinki jechało się pociągiem niecałą godzinę. Pojechałem więc przy ładnej pogodzie, w Nowo-Taubince przenocowałem u znajomych Polaków, następnego dnia z rana pobrałem u kierownika bazy zaświadczenia i opinie i poszedłem z powrotem do przystanku kolejowego, usytuowanego w szczerym polu. Niestety,

w nocy chwycił i nadal trzymał tęgi mróz, napewno poniżej trzydziestu stopni. Coraz bardziej marzły moje nogi odziane w skórzane buty i owinięte tylko lichymi onucami. Na dobitkę pociąg miał ponad godzinne spóźnienie, a przystankowa służbistka nie chciała mnie wpuścić do swojej dyżurki dla ogrzania się. Biegałem więc jak wariat wokół tej dyżurki, ale nogi i tak marzły coraz bardziej. Wreszcie pociąg przyjechał, usiadłem na stopniach i po niecałej godzinie byłem w Czarsku. W czasie jazdy przestałem odczuwać zimno w nogach. W Czarsku zsunąłem się ze stopni wagonu na ziemię, upadłem i nie mogłem powstać, nie potrafiłem utrzymać się na własnych nogach. Nie wiedziałem, co się stało z moimi nogami, przeraziłem się. Na czworakach, na rękach i kolanach dowlokłem się do domu - dobrze, że było blisko. Mama, Szura i Grisza też przerazili się na mój widok.

- Co z tobą, Stasiu?

- Nie wiem, nóg nie czuję.

- Odmroził sobie nogi - powiedział Grisza - Marusia, nalewaj szybko zimnej wody do miednicy.

Zdjęto mi buty z nóg, odwinęto onuce. Moje stopy były białe jak śnieg. Grisza włożył moje nogi do miednicy z zimną wodą. Nic nie czułem - ani zimna, ani ciepła, ani dotyku jego rąk. Co najmniej przez godzinę mama, Szura i Grisza masowali moje stopy zanurzone w zimnej wodzie aż do czasu, gdy zacząłem odczuwać ich dotyki i ciepło zimnej wody. Wtedy zmieniono w miednicy zimną wodę na ciepłą i dalej masowano mi nogi, bardzo długo, aż do lekkiego zaczerwienienia się stóp. W ten sposób uratowano moje nogi, jednakże do dzisiaj muszę na nie szczególnie uważać, bo przy byle zmarznięciu moje stopy, a szczególnie palce u stóp, puchną i pieką, stają się sino-czerwone.

Miałem już ukończone 14 lat i musiałem osobiście zdecydować, czy chcę wracać do Polski. Zdanie mojej mamy w tej sprawie nie miało dla NKWD żadnego znaczenia. Dwukrotnie wzywano mnie do NKWD, gdzie bardzo grzecznie zachęcano mnie do rezygnacji z wyjazdu do Ojczyzny. Obiecywano skierowanie mnie do dobrych szkół, kusząco stanowiskiem... przewodniczącego kołchozu, po ukończeniu odpowiedniej szkoły. Za drugim razem poczęstowano mnie nawet w NKWD kromką białego chleba i kubkiem słodzonej herbaty. Byłem jednak nieugięty, nie nęciły mnie rajskie sowieckie perspektywy, dwukrotnie napisałem i podpisałem własnoręcznie oświadczenie o chęci powrotu do Polski. Mamę też zachęcano do pozostania na miejscu lub do powrotu w strony rodzinne. Wtedy wiedzieliśmy już, że Patrioci spod znaku Wandy Wasilewskiej zrezygnowali z naszych

ziem wschodnich na rzecz ZSRR, więc nawet do KMT nie chcieliśmy wracać. Woleliśmy jechać znów w nieznane, ale do Polski.

W międzyczasie czyniłem inne przygotowania do powrotu do Polski. Wiedziałem, że podróż będzie długotrwała. Z Polski do Kazachstanu jechaliśmy trzy tygodnie. Droga powrotna - tak uważałem - potrwa zapewne znacznie dłużej, bo dalej na zachód będziemy jechać. Trzeba przygotować - pomyślałem - jakieś trwałe jedzenie na drogę. O sucharach już wspomniałem: szykowałem je na drogę z chleba podbieranego na uroczystościach powitalnych i weselnych. Nie samym chlebem człowiek jednak żyje. W wolnych chwilach chodziłem więc na ryby i wszystkie złowione kiełbki solikiem, nawlekałem na druty i suszyłem pod upalnym kazachstańskim słońcem. Inne złowione ryby zjadaliśmy na bieżąco. Pod koniec lata 1945 roku miałem już cały worek suszonych kiełbki. Świetnie zachowały się te rybki przez całą zimę, aż do naszego wyjazdu.

Japończycy.

Surową była zima 1945-1946 roku w Kazachstanie, nasza ostatnia zima na wygnaniu. W środku zimy od strony Ałma-Aty a w kierunku Nowosybirsk, przez Czarsk zaczęły przejeżdżać eszelony z jeńcami japońskimi. Straszne to były pociągi.

Sowieci przystąpili do wojny z Japonią w sierpniu 1945 roku, wypełniając swe zobowiązania sojusznicze wobec walczących z Japończykami Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Zrobili to jednak dopiero po atomowym zbombardowaniu przez Amerykanów Hiroszimy i Nagasaki, gdy losy wojny amerykańsko-japońskiej były i tak już przesądzone. Wkrótce też nastąpiła kapitulacja Japonii. Sowieci walczyli około dwóch tygodni w Mandżurii z japońską, tzw. kwantuńską armią. Armia ta, licząca około miliona żołnierzy i oficerów, po dwóch tygodniach walki otrzymała rozkaz poddania się Sowieciom. Sowieci prawie bez walki wzięli do niewoli milion Japończyków - podobnie jak w 1939 roku brali do niewoli polskich żołnierzy i oficerów, którym rząd polski kazał nie walczyć z Sowieciami.

Przez wiele zimowych tygodni przejeżdżały przez Czarsk straszne pociągi z Japończykami. Budziły zgrozę u ludzi, którzy je oglądali. Każdy pociąg zatrzymywał się w Czarsku na dłuższy postój, bo zmieniano tu parowozy lub uzupełniano w nich zapasy węgla i wody. Podczas postojów eszelonów z Japończykami sowiecka eskorta wojskowa otwierała drzwi w wagonach z jeńcami i zezwalała im na wyjście z wagonów, w celu załatwienia swych potrzeb fizjo-

logicznych tuż obok wagonów lub pod wagonami, na oczach wszystkich obecnych! Japończycy byli przerażeni, zziębnięci i głodni. W ich wagonach nie było żadnych piecyków, nie było nawet dziur w podłogach dla załatwiania się! Większość jeńców japońskich ubrana była w letnie mundury /przecież w sierpniu poddali się/, zamiast ciepłych kaleson jeńcy nosili letnie biodrowe przepaski z białego płótna. W oczach Japończyków /w wielu przypadkach za okularami/ czaił się zwierzęcy strach. Za kawałeczek chleba, sera czy jakiegokolwiek innego jada oddawali, co kto jeszcze posiadał: pasy, wieczne pióra, nawet zegarki. Ci, którzy mieli na sobie kurtki, oddawali je za odrobinę jedzenia, pozostając na trzaskającym mrozie jedynie w bluzach żołnierskich. A najbardziej straszne i potworne było to, że każdy z eszelonów miał w swym składzie dwie platformy, na których, pod byle jak narzuconą plandeką, wieszono stosy nagich, martwych już jeńców japońskich. Z pod plandek sterczały w różnych kierunkach głowy, nogi i ręce martwych Japończyków, jakby wołając o pomstę do nieba. Martwych nie grzebano po drodze, bo na miejscu przeznaczenia eskorta musiała rozliczyć się co do jednego Japończyka, łączny rachunek żywych i martwych musiał być na końcu zgodny ze stanem początkowym. Eskortujący Japończyków żołnierze sowieccy jechali w wagonach ogrzewanych, na wesoło, ze śpiewami i z muzyką...

Tragedia Japończyków poruszyła moje serce. Około ćwierci swoich zapasów sucharów i kiełbi rozdałem za darmo jeńcom japońskim. Jeden z jeńców dał mi w podziękę za suchary piękny pas oficerski, wcisnął mi go na siłę. Jako cenną pamiątkę nosiłem ten pas przy spodniach aż do późnych lat pięćdziesiątych, dopóki nie popękał ze starości.

Trzeba oddać sprawiedliwość eskortie Japończyków - rzadko tylko przeszkadzała w darmowym dożywianiu jeńców japońskich lub w handlowaniu z nimi.

Nie wiem, dokąd Japończyków zawieziono. Pociągi jechały w kierunku północnym, na Nowosybirsk. Chyba do tajgi, może nawet do tundry. Nie wiem, ilu z nich dojechało na miejsce przeznaczenia w wagonach, a ilu na platformach. Ale pamiętam, że kiedy kilka lat po wojnie rząd japoński zażądał od Sowietów zwrotu jeńców wojennych, rząd sowiecki oświadczył, że żadnych japońskich jeńców wojennych w ZSRR nie ma, za wyjątkiem garstki sprawiedliwie osądzonych zbrodniarzy wojennych. Cała armia kwantuńska po prostu wyparowała! Wcale nie zdziwiłem się oświadczeniu rządu ZSRR. Na własne oczy widziałem przecież, że znacznej części jeńców ja-

pońskich nie było wśród żywych już zimą 1945-1946 roku. A co dopiero po latach katrorzniczej pracy w tajdze lub w tundrze. I nic dziwnego, że ocalała jakaś tam garstka japońskich zbrodniarzy wojennych - kruk krukowi oka nie wykole...

Nerwowe oczekiwanie.

Nastał rok 1946. Od zakończenia wojny minęło siedem, osiem, dziewięć miesięcy. Gazety Związku Patriotów Polskich w ZSRR z zachwytem pisały o odzyskanej przez Polskę prawdziwej, demokratycznej wolności, o nowym, sprawiedliwym kształcie granic naszej Ojczyzny, o odzyskaniu prastarych piastowskich i uprzemysłowionych Ziemi Zachodnich i Północnych wzamian za utracone na rzecz ZSRR zacofane błota poleskie. Pisały o konieczności szybkiego zasiedlenia Ziemi Odzyskanych, czego wkrótce dokonamy i my, repatrianci ze Związku Radzieckiego. W Norymberdze toczył się tasiencowy proces hitlerowskich zbrodniarzy wojennych. Pociągi z japońskimi jeńcami wojennymi nadal jechały na północ.

A my ciągle czekaliśmy na wyjazd do Polski i nie mogliśmy doczekać się dnia wyjazdu. Myślałem sobie wówczas: może Sowietci wagonów tylu nie mają, żeby wozić równocześnie Japończyków na północ i Polaków na zachód? Może czekamy na wagony po Japończykach?

Zgrozą i niepokojem napełniło nas pierwsze po wojnie nieporozumienie brytyjsko-sowieckie. W lutym czy też w marcu 1946 roku /nie pamiętam/ brytyjski minister spraw zagranicznych Bevin wygłosił przemówienie, które wywołało wściekłość rządu sowieckiego. W "Prawdzie" pojawiły się nagonki na Wielką Brytanię, niedawnego sojusznika ZSRR. Wydrukowano m.in. wiersz, w którym sowiecki poeta tak opisał przebieg II wojny światowej: Na początku walczyli ze sobą "korszun" /sęp/ czyli Niemcy z "woronom" /krukiem/ tzn. z Wielką Brytanią. Nie wiadomo jak skończyłaby się ich walka, gdyby nie włączył się do niej "wielikan orioł" /orzeł olbrzym/ czyli ZSRR, który szybko dał sobie radę z korszunem. Utwór kończył się takim oto dwuwierszem, nawiązującym do mowy Bevina:

Karkaj, karkaj, woron, s jarostiu w zobu,
kol izwiedat' chcesz korszuna sud'bu!

A zatem jawna, w oficjalnym organie prasowym, pogrożka wypowiedzenia wojny Wielkiej Brytanii przez ZSRR! Więc jak to, znów wojna i odroczenie naszego wyjazdu do Polski, może nawet na zawsze?

Na nasze szczęście, przestano na wojnie nerwów.

20 marca 1946 roku dostaliśmy wreszcie do rąk upragnione dokumenty wyjazdu - dwujęzyczne, zielonkawe zaświadczenia uprawniające do wyjazdu z ZSRR. Nasze zaświadczenie miało numer GE 21894 i następujące brzmienie: Ob. Szuwart Maria c. Michała zamieszkała w st. Czarsk ul. Depowska 8, Semip. obł. Kaz. SRR udaje się wraz z członkami rodziny syn Stanisław na stały pobyt do Polski na podstawie umowy Polsko-Radzieckiej z dnia 6 lipca 1945 r. Semipałatyńsk, dnia 16 marca 1946 r. Okrągła pieczęć i nieczytelny podpis.

Niestety, na zaświadczeniu nie było daty wyjazdu, więc w dalszym ciągu nie wiedzieliśmy, kiedy naprawdę wrócimy do Polski.

Pożegnanie z Jochimem.

Jak w każdym miesiącu, tak i pod koniec marca do Czarska zawitał Jochim i jak zwykle o mnie nie zapomniał, przywiózł gościniec. Mama natychmiast pochwaliła się przed Jochimem naszym zaświadczeniem. Jochim przeczytał rosyjską część zaświadczenia, pogratulował wyjazdu do Ojczyzny i powiedział:

- Nie wyjeżdżajcie jeszcze przez miesiąc. Za dobrą znajomość chcę zaopatrzyć was na drogę i na nowe życie. Przyjadę pod koniec kwietnia, nie wyjeżdżajcie do tego czasu!

Tak, jakby od nas zależał termin naszego wyjazdu.

Nie wyjechaliśmy, jakby zgodnie z życzeniem Jochima.

Co prawda od kwietnia potoczyły się po torach, co parę dni przejeżdżały przez Czarsk pociągi z Polakami, wracającymi do Kraju. Jechały te pociągi od strony północnej, od Semipałatyńska i Nowosybirsk, a pędziły na południe, w stronę Alma-Aty. Jechały w odwrotną stronę niż te z Japończykami - może faktycznie wieziono Polaków do Kraju w wagonach po Japończykach?

Jakże inne jednak były teraz te eszelony! Rozśpiewane i roztańczone, wiozące ludzi pełnych radości i bez żadnej eskorty. Jakże my, w Czarsku, zazdrościliśmy wybrańcom z północy, którzy już wracali, a my wciąż nie znaleźliśmy daty naszego wyjazdu! Chodziliśmy na dworzec witać każdy taki pociąg. W jednym z nich wracał do Polski z Semipałatyńska Rudek Pilichowski z mamą Stanisławą - nasi współklokatorzy z Czałabaju. A więc oni, dzięki Bogu, też przeżyli! Mama i ja serdecznie witaliśmy i żegnaliśmy ich przy pociągu, życząc im szczęśliwej podróży. Potem już nigdy nie spotkaliśmy się: dowiedziałem się tylko, że Pilichowscy wyjechali na stałe z Polski do USA.

Pod koniec kwietnia przyjechał, jak obiecał, Jochim. Rad był, że jeszcze jesteśmy. Przywiózł dla nas dziesięć dużych konserw mięsnych na drogę. Usiadł przy stole w zajmowanej przez nas kuchni, poprosił Szurę i Griszę by nam nie przeszkadzali, bo ma z nami "sekretną rozmowę". Usiadł więc i nas poprosił o zajęcie miejsca przy stole. Wyjął z zanadru szare zawiniątko i rozwijając je, mówił ze łzami w oczach:

- Trzymałem to dla swego syna, aby urządził się po wojnie. Ale zabili go przekłęci faszyci! Nigdy nie powiem swojej staruszcze, że go zabili, niech wierzy do końca życia, że wróci kiedyś ukochany synek. Marusia, mój syn był taki jak twój - mądry, uczony. Weź to dla Staśki, urządzić się w Polsze.

- A co to jest? - zapytaliśmy naraz mama i ja, patrząc na połyskujący w świetle srebrzysto-złoty, gruboziarnisty piasek.

- Złoto, najprawdziwsze złoto z naszej kopalni. Złoty piasek, nie obrobiony jeszcze. Każdy jubiler będzie wiedział, co z nim zrobić. Bierz, Marusia, schowaj i nie mów nic nikomu. Dobrze schowaj, dla dziecka.

Wzięła mama zawiniątko ze złotym piaskiem do ręki i położyła je z powrotem na stół. Wziąłem i ja, pottrzymałem w ręku przez chwilę.

- Diadzia Jochim - powiedziałem - chyba z kilogram tego złota będzie?

- Trochę więcej, Staśka, trochę więcej. Nu, bierzcie już i chowajcie to złoto, mnie ono nie potrzebne. My z żoną starzy, niedługo pomrzemy, a synka nie ma, zabili go gady faszyci. Nigdy nie powiem swojej staruszcze, że zabili go, kochanego. Więcej dzieci nie mieliśmy, po co nam złoto? Nu, bierzcie i schowajcie.

Mamie też pociekły łzy z oczu. Owinęła starannie złoty piasek w szarą chustkę i wcisnęła zawiniątko do rąk Jochima.

- Słuchajcie, dobry Jochimie - powiedziała mama - w NKWD powiedzieli nam, że jeśli u kogoś znajdą na granicy nawet jakiś dokument tylko, to zawrócą go tutaj z powrotem. A co dopiero, jeżeli znajdą złoto? Ześlą jeszcze dalej, na Kołymę. Boimy się, dobry człowieku, tego złota. Chcemy wolności, chcemy do Ojczyzny. Wy, ruscy, macie takie przysłowie: "ptaszkie wietka daroże załatwej kletki". Sześć lat czekamy na naszą gałązkę wolności.

- Masz rację, Marusia - rzekł Jochim chowając zawiniątko za pazuchę - ale co ja mam zrobić teraz z tym złotem? Nie potrzebne mi ono, wysypię chyba z powrotem do ziemi.

Następnego dnia, serdecznie pożegnawszy się z nami i życząc

nam szczęśliwego powrotu do Polski, smutny Jochim odjechał. Adresu swego nam nie dał - nie wolno mu było. Nie widzieliśmy więcej Jochima i nigdy też od tego czasu nie słyszeliśmy o nim.

J e d z i e m y !

30 kwietnia 1946 roku z rana Zarząd Koła ZPP w Czarsku i miejscowe NKWD zgromadziły wszystkich Polaków na zebraniu. Ogłoszone tak długo oczekiwaną wiadomość: wyjeżdżamy z Czarska do Polski, trzeciego maja! Drugiego maja wszyscy mają zgłosić się po prowiant i pieniądze na drogę! Nie pamiętam, po ile rubli nam dano, ale coś dano. Dano też dla każdego po kilka bochenków chleba i jakieś konserwy. Nie pamiętam, co nam dano na drogę, bo nie było to dla nas tak istotne: mieliśmy przecież konserwy od Jochima oraz swoje suchary i suszone kiełbkie. Godziny wyjazdu na zebraniu nie podano, powiedziano, że od rana w dniu wyjazdu mamy czekać na pociąg.

W ostatniej chwili zapragnąłem upamiętnić swój pobyt w Kazachstanie. Zaraz po zebraniu chwyciłem za szpadel i pobiegłem szukać jakiegoś drzewka do zasadzenia. Wśród nadrzecznych zarośli znalazłem jakąś siewkę, coby wierzby, wykopałem ją z korzeniami i zasadziłem w ogródku Szury, tuż przy domu w którym mieszkaliśmy, przy ulicy Depowskiej 8. Poprosiłem Szurę i Griszę o częste podlewanie drzewka: obiecali to czynić. Żadne inne drzewo w tym miejscu nie rosło - jeżeli jakieś drzewo rośnie tam teraz, to jest ono moim drzewem.

Trzeciego Maja! Nasze święto narodowe! Podwójne tym razem, w roku 1946! Rocznica Konstytucji, ale przede wszystkim nasz powrót do Polski! Po równych sześciu latach, bo w 1940 roku, też trzeciego maja, przywieziono nas na miejsce przymusowego zesłania - do Czałabaju.

Trzeciego maja już o świcie byliśmy wszyscy na peronie dworca kolejowego w Czarsku. Dzień wstawał piękny, słoneczny i ciepły. Najpiękniejszy dzień w życiu! Żegnało nas mnóstwo miejscowych, z którymi żyliśmy się podczas długiego pobytu. Płakały miejscowe dziewczyny żegnające doroslejszych chłopaków, niejednej polskiej dziewczynie też łezka kapnęła. Wesołymi melodiami żegnał nas akordeon Griszy i gitary innych tutejszych muzykantów. Biegała po całym peronie w te i nazad pani B., gryząc swe palce do krwi i garściami wrywając swe włosy, bo jeszcze w Czałabaju kazała sobie wpisać do paszportu narodowość niemiecką i teraz odmówiono jej prawa wyjazdu do Polski, pozostawała na zawsze w Czarsku. Skamieniały jak słup soli, z obłąkanym wzro-

kim stał na peronie staruszek, któremu na jego życzenie wpisano do paszportu narodowość ukraińską, a teraz też nie pozwolono na wyjazd do Polski. Niektórzy wygłodzeni, a obdarowani bochenkami chleba na drogę, już na peronie opychali się tym chlebem bez umiaru, nie troszcząc się o następne dni podróży.

Około godziny dziesiątej rano, od strony Semipałatyńska na peron w Czarsku wtoczył się długi pociąg, składający się z bydłych wagonów towarowych. Cztery puste wagony w tym pociągu były przeznaczone dla Polaków z Czarska i okolic. Załadowaliśmy się błyskawicznie, bez żadnego ładu i składu. Dopiero później, podczas jazdy, w każdym wagonie wybrano starostę i sporządzono dokładne listy "pasażerów".

Wreszcie pociąg zachrypiał, zasapał i ruszył. W tym momencie jak na komendę, ze wszystkich czterech załadowanych w Czarsku wagonów buchnęło gromkie "Jeszcze Polska nie zginęła". Podchwyciła hymn reszta pociągu, popłynęły łzy radości.

Pociąg nabierał rozpędu, Czarsk pozostawał coraz dalej za nami. Malały, aż w końcu znikły z naszych oczu sylwetki biegnącej w szale po peronie pani B. i nieruchomego, nieszczęśliwego staruszka - pseudo Ukraińca. Tak została ukarana, chociaż nie przez Polaków, zdrada polskości.

Wracaliśmy do Polski inną trasą. Do Kazachstanu przywieziono nas trasą północną, przez góry Uralu i tajgę Syberii. Wracaliśmy południowymi obrzeżami ZSRR. Teraz inne widoki roztaczały się przed nami, jadącymi niby w takich samych, a jakże innych wagonach. Jechaliśmy teraz przy drzwiach rozsuniętych na całą szerokość, bez krat w okienkach, bez uzbrojonej eskorty i bez strachu, za to z radością i z wiadomym celem podróży. To nic, że wracaliśmy zawszeni i brudni, w nędznych łachmanach na grzbietach i w większości na bosaka. Ja wracałem w połatanych spodniach z worka, w brudnym koszulo-swetrze z waty i boso, moja mama niewiele lepiej była ubrana, miała jednak stare buty na nogach. Nasze serca rozpierała radość i nadzieja: liczyło się tylko to, że po sześciu latach niewoli i nędzy nareszcie wracamy do siebie.

Pociąg gnał, coraz bliżej Ojczyzny, cały rozśpiewany i rozmodlony. W godzinach przedwieczornych w każdym wagonie odprawiano nabożeństwa "majówki", prowadzone na zmianę przez osoby posiadające odpowiednie modlitewniki.

Jechaliśmy do Polski przez Ałma-Atę, Taszkient, pustynię Kyzyk-Kum, trochę wzdłuż brzegów jeziora-morza Aralskiego, przez Aralsk, Saratow, Charków i Kijów. Wymieniłem tylko większe miasta na trasie naszego przejazdu.

Wiele razy nasz pociąg miał długie, wielogodzinne, a trzy razy nawet dwudobowe postoje. Przy takich postojach nikt nie umiał udzielić nam odpowiedzi, kiedy pociąg znów ruszy, toteż baliśmy się odchodzić od pociągu zbyt daleko. Ci, którzy szybko zjedli swój prowiant i znów głodowali, ryzykowali jednak chodzenie na zakupy. Tylko jednej dziewczynie nie udało się wrócić na czas do pociągu, ale w jakiś cudowny sposób dogoniła nas tuż przed granicą.

Pierwszy dwudobowy postój mieliśmy już w Ałma-Acie. Gdy wczesnym rankiem przyjechaliśmy do tego miasta, całe ono i jego okolice otulone były tak gęstą mgłą, że baliśmy się odejść na krok od pociągu. Za to następny dzień wynagrodził nam długotrwały postój: dzień był słoneczny, a przed naszymi oczami rozciągnął się od sześciu lat nie oglądany widok - białe miasto tonęło wśród zieleni i sadów, a nad całością królowały dwie niebotyczne góry z ośnieżonymi szczytami, o które rozbijały się cumulusy, wolno i wysoko płynące nad miastem. Piękny, niezapomniany widok.

W Taszkencie uprzedzono nas, że dopiero w następnym dniu doczepią do naszego pociągu nowy parowóz, łaziliśmy więc śmiało po tym mieście przez cały dzień podziwiając rosnące tu palmy i inną egzotyczną roślinność, oraz kupując na bazarach lepioszki, mleko, sery i suszone owoce.

Jezioro-morze Aralskie było dla mnie i dla wielu innych z pośród nas pierwszym widzianym w życiu morzem.

W Saratowie nad Wołgą zapowiedziano z góry dwudobowy postój, a to w celu umożliwienia nam skorzystania z łaźni. Podczas kąpieli nasze łacchy poddawano odwieszeniu w wysokiej temperaturze, z mizernym zresztą skutkiem

Saratow pozostał w mej pamięci z innego jednak powodu. Tu po raz pierwszy zobaczyłem żołnierzy niemieckich. Byli to jeńcy wojenni, pracujący przy odbudowie całkowicie zniszczonego podczas działań wojennych tutejszego dworca kolejowego. Niemcy pracowali pod nadzorem uzbrojonych żołnierzy sowieckich, ale nie widziałem, by byli w pracy poganiani - mieli raczej dużo swobody, bez przeszkód ze strony swoich nadzorców podchodzili do naszego pociągu, żebrząc o pożywienie. Żałosny był widok tych jeńców: zarośnięci, brudni, ubrani w strzępy niemieckich mundurów. Bez wstydu i zażenowania wyciągali ręce po kawałek chleba do takich łachmaniarzy jak my. W oczach Niemców czaiła się psia pokora i uległość, jakaś dziwna rezygnacja z godności ludzkiej - nawet przerażeni Japończycy byli bardziej godni. Po raz drugi w życiu

pomyślałem wtedy: jak mogliśmy przegrać wojnę z taką armią? Ogarnęła mnie jakaś dziwna wściekłość, chciałem zemścić się na tych Niemcach za napaść na Polskę. Brałem z worków garściami suchary i suszone kiełbki, rzucałem je pod nogi żebrzących Niemców, a oni pokornie zbierali je z ziemi i zaraz zjadali. W ten sposób dawałem Niemcom do zrozumienia kto jest naprawdę "herrenvolkiem" bo zawsze czułem się Polakiem, chociaż jeden z moich pradziadków, Feliks Ott, był Niemcem.

Przejeżdżając przez tereny Rosji i Ukrainy kilka razy dosłownie kapaliśmy się w mleku. Podczas długich postojów na różnych stacjach zdarzało się, że staliśmy obok pociągów jadących w przeciwnym kierunku. Pociągami tymi wywożono z Niemiec do ZSRR wyposażenia różnych fabryk oraz konie i krowy. Krowy, nie dobrane w podróży, okrutnie w swych wagonach ryczały. Eskortujący krowy żołnierze przychodzili do naszych kobiet z błaganiami: Kobiety, wydojcie te krowy, już nie możemy słuchać ich ryczenia. Kilka razy wydoiły nasze panie te krowy, mieliśmy dużo świeżego i zsiadłego mleka pod koniec naszej podróży.

27 maja 1946 roku dojechaliśmy do granicy polsko-sowieckiej, tej nowej już granicy, w Jagodzinie nad Bugiem. Po stronie sowieckiej przeładowano nas do polskich wagonów. Teraz nikomu już nie wolno było wyjść z wagonu. Do każdego wagonu weszło po dwóch enkawudzistów i po jednym przedstawicielu władz polskich.

Wszystkim w wagonie kazano przejść na jedną stronę wagonu. Jeden z enkawudzistów wyczytywał z listy kolejno nazwiska obecnych. Drugi, po sprawdzeniu zgodności wyczytanego nazwiska z nazwiskiem wypisanym na zaświadczeniu repatriacyjnym, oddzielał od zaświadczenia jego lewą, rosyjskojęzyczną stronę i chował ją do swej raportówki. Sprawdzonej w ten sposób osobie kazano przechodzić na drugą stronę wagonu. Ta procedura trwała około pół godziny. Żadnych innych dokumentów nie sprawdzano i nie szukano ich, nie zaglądano też do naszych skromnych bagaży.

Po sprawdzeniu tożsamości wszystkich obecnych w każdym wagonie, sprawdzający opuścili wagony, zasunęli za sobą drzwi i zaryglowali je od zewnątrz. Pociąg ruszył i jadąc bardzo wolno przejechał przez most na Bugu. Po przejechaniu na polską stronę pociąg zatrzymał się. Żołnierze polscy odryglowali i rozsunęli drzwi w wagonach. Na polską ziemię z wagonów runęła rozszlochana ława ludzka, całując i obejmując naszą ukochaną polską ziemię. Bosi łachmaniarze z pociągu wyciskali też, omal nie podusili z radości polskich żołnierzy.

Po krótkim postoju na granicy pociąg ruszył dalej, w kierunku Lublina. Ze wszystkich wagonów rozległo się głośne i żarliwe "Boże, coś Polskę" a potem śpiewano inne, coraz weselsze piosenki.

Gdy ochłonęliśmy nieco, powiedziałem do mamy:

- Przydałoby się teraz złoto Jochima. Nic nie sprawdzali na granicy.

- Żyjemy, Stasiu, i to jest najważniejsze. Jakos się w Polsce urządzimy, damy sobie radę i bez złota. Od września pójdiesz do szkoły, a potem zobaczymy co Bóg da, On nigdy nas nie opuści.

Co daliśmy Polsce, a co Polska nam dała, to temat na zupełnie inne opowiadanie. Może kiedyś je napiszę.

Moja mama zmarła 7 stycznia 1981 roku. Pod koniec życia zaznała prawdziwej wolności, nie doznała upokorzeń stanu wojennego.



ARCHIWUM WROCŁAWSKIE

Stanisław Szewart

Oława, sierpień 1989 - grudzień 1990 r.

Stanisław Szewart
Rynek 37 m. 4
55-200 OŁAWA
woj. wrocławskie